W NUMERZE: Na temat 20 lat WAM rozmowa z gen. Jerzym Bończakiem ■ Dalszy ciąg opowiadania M. Bułhakowa „Morfina" ■ Kowal – zawód wymierający ■ Trzeci reportaż z Włoch ■ MUNDIAL'78 widziany z Argentyny i sprzed telewizora ■ Żyć po amerykańsku ■ Eskimosi i cywilizacja ■ Recenzje ■ Magazyn Kulturalny

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 26 (1072) ROK XXI 25 CZERWCA 1978 R. CENA 3 ZŁ

JERZY URBANKIEWICZ

PIĘKNE ŚWIATŁO JADWIGI ANDRZEJEWSKIEJ

Jej popularność była tak wielka, że kiedy wchodziła do kawiarni lub restauracji, orkiestra grała tusz. Nazwisko tej 17-letniej dziewczyny wymieniano obok największych międzywojennych amantek sceny i filmu: Zofii Batyckiej, Nory Ney, Hanki Ordonówny, Lili Zielińskiej, Toli Mankiewiczówny, Jadwigi Smosarskiej, Niny Grudzińskiej, Marii Malickiej, Karoliny Lubieńskiej. To nic, że patrząc na niektóre z tych gwiazd z pozycji wymagań naszych czasów, przymrużamy oko.

Jeśli idzie o Jadwigę Andrzejewską, zarówno krytycy obserwujący ją u początków kariery, jak i na krótko przed śmiercią, nie szczędzili jej słów zachwytu. A nosili nazwiska w kulturze naszej znaczące. Na marginesie komedii „Papa się żeni", w której wystąpiła obok Antoniego Fertnera, zastanawiano się, kto należy do światowej czołówki aktorek grywających role komiczne. I znów: Lilian Harvey, Anny Ondra, Shirley Temple, Franciszka Gall i — Jadwiga Andrzejewska. „...nabytkiem nieocenionym — pisał krytyk — jest Jadzia Andrzejewska, która w przedziwny sposób kojarzy wielki talent dramatyczny z komicznym".

Fakt, że nasza aktorkę krytycy międzywojenni wymieniali obok tamtych gwiazd, nie świadczył bynajmniej o ich narodowej megalomanii. W roku 1933 zagrała rolę Małej w filmie „Wyrok życia" w reżyserii Juliusza Gardana. Jej kreacja zwróciła uwagę krytyki francuskiej, w związku z czym wytwórnia „Spardice" za-

Dalszy ciąg na str. 5

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SZEŚĆ SALUTÓW

16 czerwca 1978 roku agencja TASS nadała komunikat o wystrzeleniu z terytorium ZSRR kolejnego statku kosmicznego **„Sojuz-29"**. Na pokładzie tego statku polecieli w Kosmos: pułkownik **Władimir Kowalenok** i inżynier **Aleksander Iwanczenkow.** Wiadomość ta wzbudziła żywe zainteresowanie opinii publicznej na całym świecie.

Foto: Archiwum

Wystrzelenie kolejnego statku kosmicznego w ZSRR — a w tym wypadku 29 z serii „Sojuz" — nie jest niczym szczególnym, ani nadzwyczajnym. Skąd więc to zainteresowanie?

„Reuter" twierdzi na przykład, że należy spodziewać się kolejnego pobicia rekordu przez radzieckich kosmonautów. Agencja nie jest jednak pewna, czy będzie to rekord w dziedzinie techniki, czy też w długości pobytu w Kosmosie. Przypomina jednak, że poprzednia załoga **„Saluta — 6"** w składzie **Jurij Romanienko** i **Gieorgij Greczko** byli w Kosmosie 96 dób, a więc dłużej niż załoga amerykańskiej stacji orbitalnej **„Skylab — 4"**: G. Carr, E. Gibson i W. Pogue.

„Reuter" i inne agencje zachodnie przypominają też, że poprzednio, kiedy w **„Salucie — 6"** przebywali J. Romanienko i G. Greczko, do radzieckiej stacji orbitalnej przycumował **„Sojuz — 28"**, na pokładzie którego poleciał w Kosmos pierwszy kosmonauta, który nie był obywatelem ZSRR czy USA. Był nim **Vladimir Remek** — kosmonauta CSRS. W ten sposób do klubu kosmicznego weszło nowe państwo: CSRS. Zdaniem agencji zagranicznych należy spodziewać się, że w tym locie również wejdzie na pokład stacji orbitalnej **„Salut — 4"** kosmonauta z innego państwa socjalistycznego.

15 i 16 czerwca 1978 roku obradował w Warszawie Komitet Centralny PZPR. W dyskusji głos zabrał przewodniczący Komitetu Badań Kosmicznych PAN — prof. **Jan Rychlewski.** Powiedział on między innymi:

„Radziecki program komiczny jest z najwyższą uwagą obserwowany przez specjalistów, odnotowujących jego konsekwentny i planowy charakter. Jednym z kanonów tego programu jest umiejętne łączenie licznych bezzałogowych programów i przedsięwzięć z lotami załogowymi. Te same cechy posiada program „Interkosmos" planowo rozwijany i wzbogacany.

Obecnie jesteśmy uczestnikami jakościowo nowego etapu wspólnego programu, realizacji międzynarodowych, załogowych lotów kosmicznych...

Pragnę poinformować Komitet Centralny — mówił dalej prof. J. Rychlewski — **że międzynarodowy lot kosmiczny z udziałem Polaka, od strony programu naukowego, aparatury, wyszkolenia załóg, zgrania pracy układów orbitalnych i naziemnych jest przygotowany. Program naukowy i techniczny lotu, opracowany i zabezpieczony przez polskie i radzieckie jednostki badawcze, jest bogaty i złożony".**

W grudniu 1976 roku agencja doniosła z Moskwy, że w ośrodku szkolenia kosmonautów pod Moskwą rozpoczął się kurs przygotowujący do startu w Kosmos przyszłych kosmonautów CSRS, Polski i NRD. W ramach wspólnie realizowanego przez państwa socjalistyczne programu **„Interkosmos"** do ośrodka szkolenia kosmonautów przybędą też w późniejszym terminie przyszli kosmonauci z Bułgarii, Kuby, Mongolii, Rumunii i Węgier.

W marcu 1977 roku były kosmonauta, a obecnie kierownik Centrum Przygotowań Kosmonautów im. J. Gagarina pod Moskwą — gen **Władimir Szatałow,** udzielając wypowiedzi dla **„Trybuny Robotniczej"** stwierdził między innymi:

„Perspektyw obecnego etapu badań kosmicznych upatrywać trzeba w pilotowanych stacjach orbitalnych, przystosowanych do długotrwałych prac w Kosmosie. Jestem przekonany, że w niedalekiej przyszłości po-

Dalszy ciąg na str. 7

ZAMIAST „DROBNYCH" – ZMIĘTE KARTELUSZKI, ODPOWIEDNIKI 50, 100, 200, 500 LIRÓW. BILON WŁAŚCIWIE ZNIKNĄŁ, BOWIEM WARTOŚĆ METALU BYŁA WYŻSZA OD NOMINAŁU MONET. JESZCZE ROK TEMU WSKAŹNIK INFLACJI WAHAŁ SIĘ MIĘDZY 22 A 25 PROC., ALE PRODUKCJA PRZEMYSŁOWA ZACZĘŁA WZRASTAĆ, TO SAMO MOŻNA POWIEDZIEĆ O EKSPORCIE. NIESTETY, LICZBA BEZROBOTNYCH OSÓB CZĘŚCIOWO ZATRUDNIONYCH BYŁA CIĄGŁYM ŹRÓDŁEM SPOŁECZNYCH NIEPOKOJÓW I NAPIĘĆ. DZIŚ BEZ PRACY POZOSTAJE WE WŁOSZECH OK. 1.700 TYS. LUDZI.

KRZYSZTOF POGORZELEC

WŁOCHY 1978 (III)

Korzenie kryzysu

Foto: CAF

Kiedy przed kilkoma miesiącami upadł rząd Andreottiego, ośrodki dyspozycyjne Zachodu ogarnęła panika. A departament stanu USA uznał za potrzebne „ostrzec" włoskich chrześcijańskich demokratów będących u władzy, że nie można dopuścić komunistów do rządu. To bezceremonialne mieszanie się do nie swoich spraw wywołało spontaniczny odruch gniewu włoskiego społeczeństwa. W sztabach europejskiej wspólnoty gospodarczej i paktu północnoatlantyckiego rozległy się dzwonki na alarm. W samych Włoszech natomiast coraz częściej zaczęto nie tylko mówić o gwałtach i zamachach, ale i żyć z terrorem.

Kiedy się patrzy na włoską ulicę wiosną 1978 roku, i to obojętnie którego z miast, na północy czy odległym południu, można odnieść wraże-

Dalszy ciąg na str. 8

NUDA W KINIE „KIJÓW"

Znane twierdzenie, że film to nie tylko sztuka, ale także (przede wszystkim) przemysł — znajduje swoje potwierdzenie w praktycznych konsekwencjach nagród rozdzielanych na festiwalach filmowych. Oczywiście względy artystyczne są bardzo istotne, ale fakt, że nagrodzone filmy zakupywane są przez zagraniczne centrale zajmujące się rozpowszechnianiem, nie jest obojętny zwłaszcza ze względów finansowych. Nagroda dla twórcy jest sprawą o wiele mniej ważną, lecz nie do pogardzenia. Festiwale filmowe to z jednej strony zjazd twórców, krytyków, producentów — a więc okazja do przeglądu najnowszej twórczości (produkcji) i czasem także okazja do dyskusji, z drugiej natomiast spotkanie przemysłowców prezentujących w konkursie swój towar — chcących uzyskać dla niego znak najwyższej jakości.

Oczywiście nie wszystkie imprezy filmowe mają taki charakter. Na niektórych to drugie oblicze jest zupełnie umowne, albo jawnie nieobecne. Tak jest właśnie na Festiwalach Krakowskich, zwłaszcza dotyczy to Międzynarodowego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych (w tym roku odbywał się już po raz piętnasty) Nagrody dla twórców (pieniężne) są raczej symboliczne, także transakcje zawierane po festiwalu (jeżeli w ogóle mają miejsce) nie oszałamiają wielkością sum. Festiwal międzynarodowy skazany jest więc na nastawienie się na pierwszy aspekt imprez tego typu — artystyczny. Stwierdzenie to nie jest zarzutem, przymusowy wybór sugeruje raczej ambitny program. Jest to zresztą ważne z przyczyn zupełnie podstawowych. Organizacja festiwalu w Polsce traktowana musi być jako sprawa prestiżowa. Festiwal krakowski jest bowiem jedynym festiwalem filmowym w kraju o zasięgu pozalokalnym. Co prawda przyczepiony do festiwalu gdańskiego przegląd filmów krajów nadbałtyckich (dziwny wyróżnik w dziedzinie filmu — „nadbałtyckość"!) ma od trzech lat ochotę na przekształcenie się w poważniejszą imprezę, ale na razie odbywa się bez nagród i jury. Pozostaje więc zaspokajanie swoich ambicji międzynarodowych na festiwalu w Krakowie. O tym, że ambicje te istnieją przekonują chociażby wypowiedzi starych bywalców festiwali międzynarodowych starających się nie stwarzać barier pomiędzy naszym festiwalem a zachodnimi. Oberhausen, Cannes, Kraków, Paryż — pojawiają się w wypowiedziach o tym samym tonie głosu i tej samej temperaturze emocjonalnej (ostatnio w wypowiedzi radiowej Aleksandra Jackiewicza, który właśnie prosto z Cannes zawitał do Krakowa).

Na dużych festiwalach ich ranga mierzona jest przede wszystkim poziomem artystycznym filmów, z drugiej zaś strony sygnalizowanym już aspektem finansowym. W sytuacji festiwalu krakowskiego sprawa jest prostsza: o jego charakterze decydują wyłącznie prezentowane filmy. Oczywiście organizatorzy filmów nie produkują — komisja selekcyjna może wybierać tylko z tego, co zostało jej zaproponowane. W tym momencie jednak sprawy finansowe stają się powtórnie istotne. Okazuje się bowiem, że twórcy i producenci wolą zgłaszać filmy na imprezy, na których można zarobić. Poziom artystyczny jest więc niestety nierozerwalnie związany z opłacalnością. Skutki tej sytuacji dały się zaobserwować także na festiwalu tegorocznym. O ile festiwal krajowy — niezależnie od poziomu poszczególnych filmów, jest zawsze imprezą wartą organizowania dlatego chociażby, że daje szczegółowy obraz produkcji rocznej — reprezentatywnej dla stanu filmu krótkometrażowego, o tyle festiwal międzynarodowy (nie tylko krakowski zresztą) nie może mieć zamiaru prezentacji nawet części tego, co charakterystyczne dla produkcji światowej. Corocznie produkuje się na świecie wiele tysięcy filmów krótkometrażowych, a zobaczyć można w ciągu kilku dni najwyżej około stu. Jasne jest więc, że przeważać musi nastawienie na staranny dobór tytułów. Atrakcyjność festiwalu gwarantuje rezygnacja z przeglądu tego, co typowe, na rzecz tego, co wyjątkowe, szczególnie istotne. Jest to oczywiste ale zarazem trudne z omówionych przyczyn pozaartystycznych. Właśnie trudności w przestrzeganiu tej zasady, na równi z opisaną sytuacją — powodują przewagę liczebną filmów problemowo nieistotnych, często typowych etiud warsztatowych. Wytłumaczenie takiego stanu rzeczy znajdujemy przeglądając informacje o autorach. Znaczna część to albo debiutanci (nie twierdzę przez to, że debiuty muszą być nieinteresujące, ale tu akurat były), albo specjaliści z innych dziedzin. Oto przykłady: Inaki Nunez („Stan wyjątkowy") jeszcze student architektury, Jarmo Husso („Dzień w królestwie okonia") reżyser filmów reklamowych, Willeke van Ammelrooy („Telefon") — aktorka po raz pierwszy w roli reżysera, Roger Nainwood („Klatka") także student podobnie jak Naji Elias („Kolorowy film") jego młodsza koleżanka łącząca studia medyczne z reżyserią, Noel Very — do wczoraj operator, w Krakowie po raz pierwszy jako reżyser („Z chryzantemą"), Gianni Scarpellini („Z przyjacielskimi pozdrowieniami") — filmowiec amator, autor reportaży o tematyce górskiej. Listę tę można by ciągnąć długo. Nie zamyka ona sprawy. W wielu wypadkach w materiałach festiwalowych brak jakichkolwiek informacji o twórcach. Czyżby byli do tego stopnia nieznani?

Nie to jest jednak najważniejsze. Wystarczająco przekonują o personalnej obsadzie festiwalu filmy. Biorąc pod uwagę, że festiwal odbywał się pod hasłem **„Nasz wiek XX"**, to sądząc po filmach nie jest on epoką specjalnie interesującą. Oczywiście, że trafiają się także utwory warte uwagi, ale jest ich może pięć, może siedem Regularnie jednak powracają te same tematy, w coraz nudniejszym ujęciu: zagrożenie naturalnego środowiska, przemiany wsi, niszczący wpływ cywilizacji na kulturę. Filmowcy dokumentaliści od wydarzeń politycznych nie interesują się przeobrażeniami w Afryce, obca jest im sytuacja w Etiopii. Do głosu dochodzą ich koledzy oświatowcy — bardziej fascynujące okazują się opowieści o historii zaopatrywania Istambułu w wodę, czy analiza budowy narządów, którymi wydają dźwięki świerszcze i cykady (dość luźny związek z wiekiem XX).

Na tle miernoty jedynie dość przekonująco wyodrębniają się filmy nagrodzone, z których część nie wzbudziłaby takiego zainteresowania w lepszym towarzystwie. Grand Prix („Metamorfoza pana Samsa") animowany film Caroline Leaf na podstawie opowiadania „Przemiana" Kafki — znakomity plastycznie — ale przeznaczony chyba wyłącznie dla czytelników Kafki (nie jest to pretensja, jedynie stwierdzenie) — odbiega zdecydowanie od usypiającej przeciętności.

Przeciętność ta nie wywołuje jednak specjalnej frustracji na widowni. Publiczność krakowska wie w jakiej imprezie uczestniczy, potrafi zachować się odpowiednio, jak przystało na festiwalu, w którym uczestniczą 34 kraje. Atmosfera jest zresztą międzynarodowa — zewsząd słychać ożywione dyskusje w językach obcych. Na widowni panuje ogólna życzliwość dla twórców i ich produktów. Po najnudniejszym, półgodzinnym filmie nieśmiałe gwizdy zagłuszane są przez solenne oklaski. Ogólny optymizm dyktują jednak nie tylko ci, którym bez wejściówek udało się przedostać do sali projekcyjnej — to byłoby w końcu zrozumiałe. Dotyczy to jednak większości. Bycie widzem na festiwalu międzynarodowym przestaje być sprawą prywatną, reprezentuje się barwy narodowe. Wypowiedzi gości festiwalowych na łamach **„Gazety festiwalowej"** podtrzymują nastrój ogólnej celebracji. **„Jest to jedna z najpoważniejszych w świecie imprez tego typu"** — stwierdza w wywiadzie przybysz z NRD. Widocznie duszna atmosfera panująca w kinie „Kijów" działa także na gości, czyniąc ich wypowiedzi równie uprzejmymi co nieszczerymi. A kiedy wszyscy normalni ludzie siedzą przed telewizorami i oglądają pierwszy mecz „naszych chłopców" (1—VI) — reprezentacja widzów zapełnia sale. Festiwal jest imprezą poważną — **„bo właściwie co się dzieje poza Festiwalem"** zadaje retoryczne pytanie felietonista „Gazety festiwalowej". Nuda w kinie „Kijów" powoduje, że nawet pisanie o festiwalu musi stać się zajęciem nudnym.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

WISŁA

Na XII plenarnym posiedzeniu Komitet Centralny PZPR podjął uchwałę o kompleksowym zagospodarowaniu i wykorzystaniu Wisły.

„Z myślą o przyszłości Ojczyzny — czytamy w tej uchwale — Komitet Centralny PZPR uznaje za niezbędne przygotowanie programu zagospodarowania i właściwego wykorzystania zasobów wodnych kraju. Znaczenie tego przedsięwzięcia jest doniosłe. Polska bowiem, jak wiele innych krajów świata, stoi w obliczu powiększającego się deficytu wody. (...) Kompleksowe zagospodarowanie naszych zasobów wodnych, przede wszystkim Wisły i jej dorzecza, a także dorzeczy Odry i Warty, stanowi warunek zaspokojenia potrzeb kraju w wodę obecnie i w przyszłości".

Komitet Centralny PZPR zalecił rządowi opracowanie programu realizacji tego przedsięwzięcia w latach 1981—2000. Program będzie przedstawiony do akceptacji przez VIII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Wisłę nazywamy królową polskich rzek, śpiewamy o niej pieśni, poeci piszą wiersze. Wisła jest symbolem naszej Ojczyzny. Obie stolice Polski — i ta historyczna i ta współczesna — leżą nad Wisłą. Wisła była szlakiem wodnym w dawnych czasach, płynęły nią do Gdańska barki pełne pszenicy, miodów, skór i innych płodów dawnego rolnictwa i wytworów przemysłu. To nie przypadek, że największy w historii Polski port morski został zlokalizowany u ujścia Wisły. Rzeka ta w naszej historii odgrywała nie tylko rolę symbolu. Polacy mówili: — nie będzie wróg poił swoich koni w Wiśle. I walczyli o to, choć nie zawsze z powodzeniem. Wykorzystywali też tę rzekę, jej wody dla swoich celów gospodarczych. Była dla nich drogą wodną. Dawała schronienie przed wrogiem, zagradzając mu drogę. Budowali nad rzeką swoje miasta, wsie. Ileż pięknych miast leży nad Wisłą: Kraków, Sandomierz, Płock, Włocławek, Toruń, Grudziądz i wreszcie Warszawa.

Pokolenia Polaków marzyły o tym, aby Wisła nie rozlewała bezpańsko swoich wód, bo i wiosenne powodzie przynosiła ta rzeka. Rwała mosty, zalewała pola, ludzkie siedziby, wyrywała drzewa i niosła je w spienionych wodach do morza. Marzyli Polacy, aby ujarzmić rzekę, podporządkować ją swojej woli. Było to jednak wielkie przedsięwzięcie, na które nie zawsze było nas stać. Zbudowano stopień wodny pod Włocławkiem, spiętrzając wodę w zalew i zmuszając ją, aby wytwarzała energię elektryczną. A przecież takich stopni wodnych powinno powstać więcej.

Znikną piaszczyste łachy na Wiśle — biadali esteci — zatraci się jej cały urok. Piękna jest Wisła — to prawda. Piękna w swojej żywiołowości, niepodporządkowaniu, dzikości. Ale ta piękność jest też grozą niosącą zniszczenia, jest marnotrawstwem. Opanowanie naszej największej rzeki nie musi oznaczać zniszczenia całego jej uroku. Wisła — służąc nam — nadal będzie piękną rzeką, nadal budzić będzie emocjonalne skojarzenia, zostanie symbolem naszej Ojczyzny. Ale będzie to już symbol jej nowego kształtu, jej siły i potęgi.

Stworzenie znacznego potencjału gospodarczego pozwoliło podjąć to trudne zadanie, o jakim od dawna marzyli Polacy. Do jego realizacji potrzebny będzie wysiłek całego narodu. Ale też i skutki będą odczuwalne dla wszystkich. Wisła stanie się nie tylko terenem nowych ośrodków rekreacyjnych, nie tylko zapewni wodę rolnictwu, ale też będzie można dbać o czystość tej wody, będzie można naszą największą rzekę wykorzystać dla transportu towarów, dla energetyki. Przyczyni się to do dalszej aktywizacji całej naszej gospodarki i to już od pierwszej chwili, od momentu przystąpienia do realizacji tego wielkiego, o historycznym znaczeniu przedsięwzięcia.

(L.W.)

WIOSENNE DNI BALETU

Miłośnikom pięknej sztuki tańca (mimo, iż nie odbyły się w tym roku Spotkania Baletowe) 10 Łódzka Wiosna Artystyczna przyniosła sporo interesujących wrażeń. W ramach tej największej w naszym mieście imprezy kulturalnej, którą współtworzą wszystkie instytucje i placówki artystyczne łódzki Teatr Wielki zorganizował DNI BALETU. Złożyły się na nie występy trzech wybitnych zespołów: Teatru Narodowego z Pragi, Państwowego Akademickiego Teatru Opery i Baletu w Permie (ZSRR) i amerykańskiej grupy baletowe[illegible]ance Company".

Teatr Narodowy z Pragi zaprezentował bardzo ciekawą inscenizację „Romea i Julii" Sergiusza Prokofiewa (choreografia: Miroslav Kura) i „Wieczór Leosa Janacka", złożony z trzech kompozycji: „Tańców miłosnych" (choreografia Miroslava Kury), I Kwartetu smyczkowego (choreografia: Vera Ždichyncova), „Młodości" (choreografia: Karel Luksik) i „Tarasa Bulby (choreografia Mirki Vlaskovej).

Publiczność zgromadzona w sali Teatru Wielkiego szczególnie gorąca przyjęła „Romea i Julię". Artyści znad Wełtawy znaleźli bardzo atrakcyjny kształt sceniczny dla wielkiego dzieła światowej sławy kompozytora radzieckiego. Przedstawienie „Romea i Julii" dowiodło nie tylko pełnego opanowania przez realizatorów i wykonawców tego spektaklu trudnego warsztatu choreograficznego, ale również — co szczególnie godne jest podkreślenia — takiego ich widzenia teatru i baletu, w którym jawią się one jako synteza wielu tworzyw o różnej wartości i funkcji. Obejrzeliśmy więc spektakl, w którym rysunek choreograficzny odpowiadał duchowi muzyki Prokofiewa, a nadany przedstawieniu kształt plastyczny (scenografia: Josef Svoboda, kostiumy: Jindriska Hirschova) nawiązywał wyraźnie do głównych założeń malarstwa, rzeźby i architektury renesansu.

Najmocniejszą stroną tego przedstawienia były jego świetnie zarysowane sceny zbiorowe, które w partiach „dworskich" zwracały uwagę pełną godności, posągową hieratycznością gestów i kroków tancerzy, a w partiach „plebejskich" — ich żywiołowością i spontanicznością tak charakterystyczną dla ludowych zabaw. Wyraźnie zarysowany podział dwóch renesansowych światów przyniósł interesujący efekt w postaci pełnego, nasyconego w swoim klimacie i barwie obrazu epoki w jakiej zrodziła się wielka miłość Romea i Julii. Na tle tak świetnych układów zbiorowych mniejsze nieco wrażenie czyniły w tym spektaklu sceny rozgrywające się między jego tytułowymi bohaterami. Liryzmu i mocy zabrakło wykonawcom głównych partii (Aneta Voleska i Bohumil Reisner) w scenie balkonowej, choć wstrząsająco wręcz rozegrali finał (scena w grobowcu Capulettich). Ta ostatnia część przedstawionej nam przez artystów z Pragi inscenizacji ma interesujący walor symbolu ponadczasowej, wielkiej miłości. Tancerze praskiego Teatru Narodowego okazali się zespołem mogącym z powodzeniem mierzyć się z najtrudniejszymi nawet zadaniami, choć być może ich nie budzącej zastrzeżeń technice warto by przydać nieco więcej siły dramatycznego wyrazu. Wykonawcom tytułowych partii w pierwszych zwłaszcza, lirycznych scenach zabrakło tej ekspresji, która jeszcze ładniej pozwoliłaby im zaryzować wszystkie zapisane w partyturze niuanse rodzącego się między dwojgiem młodych bohaterów i kwitnącego później całą pełnią uczucia.

Jak zawsze świetni okazali się w swojej sztuce tancerze radzieccy. Tym razem gościliśmy zespół **Państwowego Akademickiego Teatru Opery i Baletu** z dalekiego **Permu** (artyści z Permu tańczyli już na łódzkiej scenie w 1970 roku). W wykonaniu tego zespołu obejrzeliśmy tym razem „Jezioro łabędzie" Piotra Czajkowskiego i interesujący „Wieczór baletowy" złożony z wielu fragmentów utworów z klasycznego repertuaru baletowego.

Zespół z Permu, acz mniej znany niż balet moskiewski czy leningradzki nie ustępuje im swoim kunsztem artystycznym: znakomitą techniką i tą szczególną, a tak charakterystyczną dla radzieckiego baletu ekspresją, która pozwala na osiągnięcie najwyższych w sztuce baletowej rezultatów.

Szczególnie ciekawy, bo prezentujący solistów i zespół baletu permskiego teatru w najszerszym wachlarzu ich naprawdę wybitnych umiejętności (po przedstawionym pierwszego dnia „Jeziorze Łabędzim" w jego znanej wersji i wykonanym bardzo poprawnie) okazał się „Wieczór baletowy". W nim właśnie tancerze radzieccy dali wspaniałe dowody swego prawdziwego mistrzostwa. Najwyższą technikę zaprezentowali wszyscy wykonawcy tego spektaklu. Widzom zgromadzonym tłumnie w sali Teatru Wielkiego bardzo podobali się Nina Diaczenko i Igor Szapowałow w „Habanerze" Czajkowskiego, a huraganowymi wręcz oklaskami nagrodziła publiczność Lubow Fominych i Siergieja Aleksandrowa w popisowo wykonanym, niezwykle dynamicznym grand pas z „Don Kichota" Minkusa. Elegancją i subtelnością rysunku choreograficznego urzekało przepięknie wykonane Adagio z baletu „Dziadek do orzechów" Piotra Czajkowskiego (świetna w jego partiach solowych była para: Lubow Fominych i Jurij Pietruchow). Galina Szliapina urzekła wszystkich wykonaniem partii Pachity (w przedstawionym przez radzieckich tancerzy grand pas z baletu pt. „Pachita" znakomicie partnerował jej Wieczesław Muchamiedow). Podobało się także popisowo zatańczone przez Reginę Kuźmiczewa i partnerującego jej Kiryła Szmorgoniera pas de deux z „Giselle", ja zaś oglądając maleńką, pełną dziecięcego wdzięku Nataszę Achmarową (uczennicę szkoły baletowej w Permie) i widząc z jak wielką precyzją wykonuje skomplikowane na jej wiek układy raz jeszcze zamyśliłam się nad istotą i tajemnicą radzieckiej szkoły tańca. Jeśli bowiem tak tańczą dzieci... Do tej odrobiny refleksji skłaniać musiał występ małej artystki, która wydaje się być równie wielką nadzieją radzieckiego baletu, jak niegdyś znana już dzisiaj na całym świecie Nadieżda Pawłowa. Wszyscy wymienieni tu artyści i cały zespół baletowy Teatru Opery i Baletu z Permu przedstawili nam układy zachwycające zarówno czystością układów choreograficznych, jak i precyzją wykonania, utwierdzając nas w niejednokrotnie wyrażanym przekonaniu o najwyższym poziomie radzieckiego baletu, którego główną cechą wydaje się być jego szczególna szlachetność artystyczna, sprawiająca, iż perfekcja oznacza tu nie tylko profesjonalizm, ale i wielką przepojoną duchem muzyki i zrodzoną z umiłowania prawdziwego piękna sztukę.

Niewątpliwą atrakcją wiosennych DNI BALETU stał się występ amerykańskiej grupy baletowej **„The Murray Louis Dance Company"**. Jej założyciel i główny choreograf Murray Louis przedstawił nam zespół niezwykle sprawny i sam okazał się znakomitym, potwierdzającym wszystkie entuzjastyczne opinie na swój temat tancerzem. „The Murray Louis Dance Company" to zespół tańca nowoczesnego, ale świetna technika jego członków świadczy najdobitniej o równie dobrze opanowanych kanonach tańca klasycznego.

Radość tworzenia, zdrowa radość ruchu wydaje się być elementem nadrzędnym i ładnie spajającym pszczególne fragmenty tego składanego spektaklu, jaki mogliśmy oglądać przez dwa wieczory. Jedna tylko, za to z żelazną konsekwencją realizowana zasada scenograficzna skutecznie uwypukla walory tego zespołu służąc ich podkreśleniu i maksymalnemu zbliżeniu ich do widza. Publiczności najbardziej podobały się pierwszego wieczoru: „Błyski" (znakomity układ do muzyki Dave Brubecka) i największy „przebój" występów amerykańskiej grupy „Deju vu" wykonany przez Murray Louisa tak świetnie, iż wszystko, co oglądaliśmy tego dnia przed nim i po po nim wydawało się już mniej ciekawe niż być może było w istocie. Drugi wieczór (w którym Louis — na szczęście dla tych, co nie oglądali go pierwszego dnia powtórzył swą świetną kreację) pozostanie w pamięci widzów dzięki układowi zatytułowanemu „Porcelanowe dialogi", a opartemu na Kwartecie D-dur Piotra Czajkowskiego i przemyślnie skomponowanemu choreograficznie, wieloczłonowemu układowi pt. „Revue", w tym ostatnim — bardzo podobał się fragment — żywo przypominający filmową burleskę lat dwudziestych i „Gold Trio" efektowny niemalże akrobatyczny układ zrodzony z poczucia humoru dość ostrego, bo balansującego na granicy komiksowego kiczu, ale nigdy tej granicy nie przekraczający.

Znakomite wydały mi się pointy wszystkich układów pomyślane tak, by na tej płaszczyźnie zabawy mógł się nawiązać możliwie najswobodniejszy kontakt między tancerzami a widzem. Dzięki temu kontaktowi z łatwością przechodziliśmy wraz z zespołem Murray Louisa z nastroju w nastrój, z tematu w temat. Dynamiczne pełne wewnętrznego napięcia układy, czasem aż przerysowane w swej ostrości gesty, proste rozwiązania scenograficzne, olbrzymie poczucie humoru (dowcip jako jeden ze składników spektaklu, i owa radość jaką zespół ten wydaje się być przesycony nadają mu ów szczególny, indywidualny charakter, bowiem cechy te połączone ze sobą tak spójnie stanowią dodatkowa wartość wyróżniającą „The Murray Louis Company" spośród innych grup tańca nowoczesnego. Stwierdzić to trzeba nawet wtedy, gdy po pierwszym z tą grupą kontakcie oczywisty staje się fakt, iż nie dorównuje ona np. Baletowi XX wieku Bejarta, czy nawet wybitnemu dzięki intensywności i głębi przeżyć, jakie ze sobą przynosi Polskiemu Teatrowi Tańca kierowanemu przez Conrada Drzewieckiego. Ale ważne jest przecież to, że tak jak owe wymienione tu, a najwyżej przeze mnie cenione zespoły baletowe także i „The Murray Louis Company" ma swój, przez siebie wyrobiony, interesujący styl, a to przecież jest w każdej sztuce najważniejsze. Indywidualne, ciekawe oblicza artystyczne zaprezentowały wszystkie zespoły, dzięki czemu wiosenne „DNI BALETU" stały się tak atrakcyjną i stojącą na wysokim poziomie imprezą.

EWA PANKIEWICZ

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ.

20 LAT WAM

Rozmowa z generałem brygady, docentem doktorem habilitowanym nauk medycznych JERZYM BOŃCZAKIEM, rektorem Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi im. gen. dyw. Bolesława Szareckiego.

W ciągu 20 lat swego istnienia Wojskowa Akademia Medyczna w Łodzi wykształciła liczną kadrę oficerów — lekarzy o wysokich kwalifikacjach zawodowych. Jednocześnie Akademia wzbogaciła się o duży zespół pracowników nauki, gruntownie przygotowanych do wykonywania złożonych zadań w zakresie pracy dydaktycznej i naukowo-badawczej. Zdumiewają doskonałe wyniki tej dwukierunkowej działalności Akademii, tym bardziej iż pracownicy naukowi WAM znajdowali jeszcze czas na liczne publikacje zamieszczane w fachowych periodykach krajowych i zagranicznych.

— Istotnie, dzięki ogromnej trosce i życzliwej pomocy władz partyjnych, państwowych i wojskowych, a także wielkiemu zaangażowaniu i ofiarności wojskowej kadry oraz cywilnych pracowników Akademii, w ciągu 20 lat ukształtowała się uczelnia odgrywająca bardzo ważną rolę zarówno w zakresie potrzeb wojska jak i całego kraju. Około 85 proc. obecnej medycznej kadry wojskowej służby zdrowia w Polsce ukończyło studia w Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi.

Foto: W. Parys

Podczas dotychczasowej działalności Akademii rada wydziału lekarskiego uczelni nadała stopień doktora habilitowanego nauk medycznych około 150 osobom, a doktora nauk medycznych blisko 600. Prawie 50 pracowników nauki WAM uzyskało tytuły profesora nadzwyczajnego, a 10 zwyczajnego. Do Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej przesłaliśmy wnioski o nadanie tytułów naukowych kolejnym pracownikom naukowym Akademii. Blisko 600 pracowników dydaktyczno-naukowych uzyskało specjalizację I i II stopnia.

Pragnę podkreślić, iż na przestrzeni minionych 20 lat Akademia zawsze przywiązywała ogromną wagę do wypracowania optymalnego systemu wychowawczego.

— Sądząc po świetnych wynikach, a taka jest opinia społeczna, system ten zasługuje na szczególne uznanie.

— Dziękuję postaramy się, żeby był jeszcze lepszy.

— Kiedy powstała WAM?

— Powołano ją do życia rozkazem Ministra Obrony Narodowej z dnia 19 maja 1958 roku, w XV rocznicę utworzenia Ludowego Wojska Polskiego.

— WAM powstawała w trudnym okresie powojennym, w warunkach nie pozwalających na prowadzenie szerszej działalności naukowej. A mimo to, niemal od samego początku, wyróżniała się znaczącymi osiągnięciami naukowymi.

— Tak, trudności było wiele. Szczupła początkowo kadra pracowników naukowych, skromne wyposażenie zakładów i laboratoriów, ogromne rozproszenie katedr na terenie miasta i szereg innych nie sprzyjały efektywnej działalności dydaktyczno-naukowej. A jednak już w pierwszym pięcioleciu istnienia WAM, obok dobrych wyników dydaktyczno-wychowawczych, opublikowano 875 prac naukowych w periodykach krajowych i zagranicznych. W drugim pięcioleciu — już około 1500 prac, a w trzecim — ponad 1.600. W ostatnim czwartym pięcioleciu, do dnia dzisiejszego włącznie pracownicy naukowi Akademii opublikowali blisko 2.000 pozycji dotyczących różnych dziedzin nauk medycznych. Tematyka naukowa tych rozpraw kształtowała się początkowo odpowiednio do osobistych zainteresowań i kwalifikacji pracowników naukowych Akademii oraz ówczesnych możliwości bazy naukowej. Z biegiem czasu, a zwłaszcza w ostatnim pięcioleciu, działalność badawcza WAM skoordynowano i odpowiednio ukierunkowano.

— To znaczy?

— Obejmuje ona dziś cztery podstawowe grupy badań: badania objęte planem resortowym, które stanowią ponad 50 proc. działalności naukowej uczelni i są bezpośrednio związane z potrzebami wojska lub obronności kraju, badania prowadzone w ramach prac koordynowanych przez Polską Akademię Nauk, Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej i inne. Badania w tej grupie dotyczą problemów węzłowych i głównych. Następna grupa — to badania na rzecz gospodarki narodowej, w większości ekspertyzy zlecane przez różne instytucje i zakłady produkcyjne. I wreszcie, badania objęte planem własnym.

— Czy te ostatnie należy rozumieć, jako możliwość realizacji osobistych zainteresowań?

— Naturalnie. Częstokroć wyniki w tej właśnie grupie badań stymulują rozwój nauk medycznych, stanowią wkład uczelni do krajowej puli osiągnięć, a nieraz liczą się nawet w skali międzynarodowej. Wiele mówi o tym fakt, iż prawie 100 pracowników naukowo-dydaktycznych Akademii wyróżniono indywidualnie i w zespole nagrodą Ministra Obrony Narodowej. Poza tym — co jest dowodem uznania dla naukowego dorobku uczelni — wielu naszych pracowników naukowych zasiada w różnych komitetach i komisjach Polskiej Akademii Nauk, w Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej, Radzie Głównej Min. Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, w radach naukowych instytutów resortowych i uczelnianych.

— Jednym z wyznaczników efektywności wyższej uczelni jest jej działalność naukowa. Czy zechciałby Pan Rektor zapoznać naszych czytelników z tą sferą działalności Akademii?

— Wojskowa Akademia Medyczna może się poszczycić wieloma osiągnięciami zarówno w zakresie badań podstawowych, jak i w zakresie badań klinicznych i paraklinicznych oraz innych badań medycznych i pozamedycznych. Nie sposób wymienić wszystkich prac, czy nawet ich części, ze względu na ogromną ich ilość i bardzo zróżnicowany charakter. Podam tylko kilka przykładów, wydaje mi się, najbardziej zrozumiałych. Otóż naukowcy WAM dokonali na przykład opracowania białkowego czynnika pojawiającego się w czasie doświadczalnej choroby oparzeniowej, opracowali oryginalną metodę rozpoznawania płci na podstawie fluorescencyjnego wykrywania chromosomów płciowych w plamach krwi, dokonali badań kriobiologicznych nad przechowywaniem krwi i szpiku do celów transfuzjologicznych. Ponadto nasi naukowcy przeprowadzili badania immunologiczne nad przeszczepami skórnymi, dokonali studiów nad rytmami biologicznymi, itd. itd. Wymienione przykłady dotyczą badań podstawowych.

— Czy Akademia udostępnia wyniki tych badań innym wyższym uczelniom medycznym w kraju?

— Oczywiście, utrzymujemy z nimi bardzo bliskie kontakty i uczestniczymy na rozległym froncie w rozwoju nauk medycznych, jak również w procesie doskonalenia systemu nauczania w wyższym szkolnictwie medycznym w kraju.

— Wyniki tych badań otwierają jakieś nowe możliwości w zakresie terapii?

— Owszem i to bardzo obiecujące.

— Panie Rektorze, Akademia ma nader interesujące wyniki w zakresie badań klinicznych i paraklinicznych. Jakie to są osiągnięcia?

— W naszym szpitalu klinicznym w Łodzi przeprowadziliśmy po raz pierwszy w kraju pomyślną transplantację sztucznych zastawek serca. Dokonaliśmy pionierskiej, w skali kraju, pracy kliniczno-doświadczalnej nad dekstranem niskocząsteczkowym. W szpitalu klinicznym WAM dokonano też wielu bardzo istotnych opracowań, w tym m.in. zasadę profilaktyki zawału serca, metodę leczenia niewydolności nerek z zastosowaniem hemoperfuzji i inne oraz szeregu bardzo złożonych badań, takich np. jak badania kliniczne i doświadczalne nad starzeniem się oka, nad problemem zdrowia psychicznego młodzieży przedpoborowej, nad rozpowszechnianiem się środków uzależniających wśród młodzieży. Od kilku lat kontynuujemy prace w obrębie profilaktyki zdrowotnej z uwzględnieniem chorób cywilizacyjnych. Prowadziliśmy również prace w dziedzinie takich badań medycznych i paramedycznych, jak opracowanie koncepcji organizacyjnych w działalności służby zdrowia w warunkach polowych, studia nad zastosowaniem informatyki w medycynie, badania socjologiczne nad zawodem oficera — lekarza i inne.

Zrozumiałe, iż Wojskowa Akademia Medyczna w Łodzi, jedyna tego rodzaju wojskowa uczelnia w kraju, spełnia główną funkcję szkoleniową, naukowo-badawczą i leczniczo-konsultacyjną w pionie medycznych sił zbrojnych PRL. Na tym polu Akademia również ma wiele osiągnięć bardzo interesujących, a nawet wybitnych.

— Jak wiadomo, szpital kliniczny WAM świadczy usługi na rzecz cywilnej ludności miasta. Jakie to są usługi?

— Stanowi on integralną część systemu lecznictwa w Łodzi i z każdym rokiem rozszerza zasięg swoich doświadczeń na rzecz mieszkańców miasta. W ubiegłym roku z lecznictwa szpitalnego WAM skorzystało ponad 5.000 osób nie uprawnionych do korzystania z pomocy wojskowej służby zdrowia. Poza tym około 30 tys. chorych korzystało z porad ambulatoryjnych. Kliniczne laboratorium analityczne wykonało tysiące badań laboratoryjnych i radiologicznych, a pracownicy naukowi WAM, najczęściej w godzinach pozasłużbowych, wykonali ogromną ilość prac badawczych i badań profilaktycznych w różnych zakładach produkcyjnych i instytucjach łódzkich oraz w sąsiednich województwach.

— Na przykład?

— Na przykład szeroko zakrojone badania naukowe w Mazowieckich Zakładach Rafineryjnych i Petrochemicznych w Płocku, gdzie też przy tamtejszym ZOZ Instytut Higieny Psychicznej WAM uruchomił poradnię zdrowia psychicznego, w której kilka razy w miesiącu przyjmują lekarze wojskowi. Dalej, prace naukowo-badawcze wśród pracowników Bełchatowskiego Zagłębia Paliwowo-Energetycznego oraz w innych jeszcze zakładach produkcyjnych. Celem tych badań, prowadzonych przez samodzielnych pracowników nauki różnych specjalności medycznych oraz przez członków Studenckiego Towarzystwa Naukowego przy WAM, jest wykrycie zagrożeń zawodowych, ich przyczyn i oddziaływania na stan zdrowia pracowników tych zakładów. W niektórych przypadkach wyniki badań i opracowane wnioski już wpływają i będą wpływać w przyszłości, na wprowadzanie zmian w procesach produkcyjnych, co zmniejszy ryzyko chorób zawodowych.

Lekarze WAM sprawują opiekę nad członkami ZBoWiD, dwukrotnie przebadali wszystkich pensjonariuszy 1-go Domu Starców, pracowników prasy, radia i telewizji, dzieci ze szkoły im. Wojska Polskiego, sportowców i pracowników wielu innych instytucji. W gabinetach przychodni wykonano w ub. roku ponad 25 tys. zabiegów i opatrunków osobom cywilnym. Dla potrzeb polikliniki i kliniki wykonano ponad 331 tys. badań laboratoryjnych, a w Zakładzie Radiologii Lekarskiej zrobiono 20.700 zdjęć oraz wiele innych usług w ramach pomocy dla osób nie uprawnionych do korzystania z wojskowej służby zdrowia.

Ponadto, często pomagamy doraźnie w usprawnianiu działalności służby zdrowia w takim lub innym zakładzie pracy.

— Czy oprócz pomocy lekarskiej, WAM świadczy także inne usługi na rzecz społeczeństwa Łodzi?

— Jest ich wiele, ale nie sposób wymienić wszystkie. Wspomnę tylko, iż na przestrzeni kilku ostatnich lat WAM zorganizowała ponad 100 wyjazdów ekip propagandowych, którymi objęto z górą 140 tys. mieszkańców regionu łódzkiego. Wygłoszono blisko 1000 odczytów, zorganizowano blisko 100 występów artystycznych ST „Verbum" i inne. Niezależnie od tego pracownicy nauki, lekarze i podchorążowie WAM odbyli 48 wyjazdów ekip lekarskich, które przebadały około 15 tys. osób, udzieliły 30 tys. porad i wykonały 3 tys. zabiegów stomatologicznych. Niemal wszyscy wysoko kwalifikowani specjaliści WAM pracują dodatkowo w społecznej służbie zdrowia, a także jako biegli sądowi, konsultanci itp. 50 oficerów i podchorążych Akademii wykonuje funkcje kuratorów sądów dla nieletnich i społecznego komitetu opiekuńczego. Niezliczone nici łączą wojskową służbę zdrowia ze społeczeństwem naszego miasta.

— A inne prace społeczne pracowników i studentów WAM na rzecz miasta? Czy zechciałby Pan Rektor jeszcze o tym powiedzieć?

— Wachlarz naszej działalności w tej mierze jest bardzo szeroki. Dodam, że kadra dydaktyczno-naukowa Akademii oraz podchorążowie przepracowali w ub. roku w ramach czynów społecznych na rzecz miasta około 25 tys. roboczogodzin, wykonując prace wartości ponad pół miliona złotych. W okresie 20 lat swego istnienia WAM wykonała w sumie prace społeczne na rzecz miasta wartości ponad 5 mln. złotych. W tym-że czasie żołnierze zawodowi, nauczyciele akademiccy i podchorążowie wygłosili 6 tys. odczytów i pogadanek, ofiarowali dwa i pół tysiąca litrów krwi na potrzeby łódzkich szpitali. Każdego roku Akademia aktywnie uczestniczy w Czynie Partyjnym, na przykład w bieżącym roku wartość naszych prac wykonanych w Czynie oceniono na ponad 220 tys. złotych.

— Wyrazem rangi naukowej Akademii jest m.in. i to, iż wykonuje ona — poza badaniami prowadzonymi w ramach problemów węzłowych i resortowych, o czym mówił Pan wcześniej, także badania usługowo-ekspertyzowe zlecane przez liczne jednostki gospodarki narodowej.

— Wykonujemy takie prace zlecone, kierując się aktualnymi potrzebami tych jednostek, jak również przydatnością podejmowanych prac z punktu widzenia ich walorów naukowo-badawczych. O skali tego rodzaju przedsięwzięć świadczy suma kilkudziesięciu milionów złotych, na którą opiewa nasz plan badawczy, przyjęty do realizacji na lata 1976—1980. Kilkadziesiąt jednostek reprezentujących gospodarkę narodową znajduje się obecnie w indeksie zleceniodawców Akademii. Prace przez nas wykonywane dobrze rekomendują uczelnię.

— Ostatnie pytanie: metody nauczania WAM, o których słyszy się tak wiele dobrego?

— Wyczerpująca odpowiedź na to pytanie mogłaby być przedmiotem osobnej rozmowy, ograniczę się więc do wypunktowania tylko niektórych kwestii tyczących się dydaktyki w Akademii. Zadaniem Wojskowej Akademii Medycznej jest wykształcenie lekarza o wysokich kwalifikacjach zawodowych oraz nieprzeciętnych walorach ideowo-politycznych i moralnych. W dążeniu do osiągnięcia tego celu dokonujemy systematycznej korelacji programu nauczania ustalonego przez Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej z celami kształcenia, wynikającymi z założonego wzorca uczelni wojskowej. Uważamy iż osiąganie coraz lepszych, efektywniejszych wyników w pracy dydaktycznej uczelni wymaga ciągłego aktywizowania studentów do nieustannego rozszerzania i wzbogacania posiadanego już zasobu wiedzy. Równolegle z tym stale rozbudowujemy integrację tematyczną studiów. Wiele uwagi poświęcamy działalności Studenckiego Towarzystwa Naukowego oraz systemowi nauczania słuchaczy szczególnie uzdolnionych. W tym roku Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej i Studenckie Towarzystwo Naukowe zorganizowały ogólnopolski kwiz anatomiczny pn. „Scapula Aurea 78", w którym uczestniczyli reprezentanci wszystkich akademii medycznych w kraju. Nieustannie modernizujemy procesy dydaktyczne, unowocześniając gabinety dydaktyczne, zwiększając nakłady na aparaturę i konstruowanie nowych pomocy naukowych. Robimy dużo w zakresie upraktycznienia studiów.

Ogromną wagę przywiązuje kadra dowódcza i dydaktyczno-naukowa Akademii do kształtowania w podchorążych samodzielnego myślenia, które traktujemy jako ważny artybut przyszłego oficera służby zdrowia.

W ostatnim czasie w centrum naszej uwagi znalazły się tezy związane z XII Plenum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, poświęconemu dalszemu umacnianiu roli nauki w społeczno-gospodarczym rozwoju kraju.

— Panie Rektorze, dziękuję za rozmowę i w imieniu redakcji „Odgłosów", z okazji XXXV-lecia Ludowego Wojska Polskiego i XX-lecia WAM, składam Panu i wszystkim pracownikom Akademii szczere życzenia dalszych sukcesów w służbie żołnierskiej oraz w pracy dydaktycznej i naukowo-badawczej.

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

DYLEMATY CHYBIONEJ POLITYKI

„Najczęściej bieg wydarzeń bywa taki, że nawet doktryna błędna jako całość, zawiera w sobie pewne elementy, pewne schematy, które mogą być realizowane nawet w innym ustroju, w innych warunkach społeczno-ekonomicznych". W przypadku koncepcji politycznych polskiego obozu londyńskiego z czasów II Wojny Światowej było akurat odwrotnie. Tak brzmi końcowy wniosek, do którego doszedł Stefan Turlej w swej interesującej książce pt.: „Koncepcje ustrojowe obozu londyńskiego", wydanej świeżo (1978) przez Książkę i Wiedzę. Historyk stara się w niej udzielić odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się stało, dlaczego przewidywania polityczne środowisk, którym przecież nie zbywało na wybitnych indywidualnościach politycznych, tak dalece rozeszły się z faktycznym biegiem historycznych wydarzeń, że nie zdołały wywrzeć na nie bardziej znaczącego wpływu?

Odpowiedź na nie może być zawarta w jednym zdaniu. Wymaga dodatkowych pytań i objaśnień. A więc najpierw sprawa pojęcia obozu londyńskiego. Stefan Turlej zgodnie z ustaleniami historiografii przypomniał, że obóz ten nigdy w zasadzie nie stanowił jednolitej grupy, że toczyła się w nim zacięta walka polityczna, ścierały się najrozmaitsze, sprzeczne ze sobą tendencje.

Stefan Turlej rozważył w swej książce kilka grup zagadnień. Na czoło wszystkich spraw wysunęło się w polityce emigracyjnego rządu zagadnienie ciągłości państwa polskiego. Jedynie ono, jak tego dowodzi autor, odwołując się do rozbudowanej argumentacji prawniczej i historycznej, doczekało się w zasadzie zadowalającego rozwiązania, chociaż istniały możliwości po temu, aby zostało „rozstrzygnięte jeszcze lepiej". Nawet niektórzy politycy orientacji zachowawczej zdawali sobie bowiem sprawę, że znacznie korzystniejszym rozwiązaniem byłoby nawiązanie przez rząd emigracyjny do tradycji konstytucji marcowej z 1921 r., aniżeli do powszechnie krytykowanej konstytucji kwietniowej z 1935 r. Stało się wszakże inaczej, ku niezadowoleniu postępowych środowisk w kraju i na wychodźstwie.

Miało to zasadnicze znaczenie dla ukierunkowania podejmowanej w środowiskach, związanych z obozem londyńskim refleksji nad społeczno-politycznym ustrojem przyszłej, odrodzonej Polski. Drugi rozdział książki Stefana Turleja, poświęcony „wizjom ustrojowym obozu londyńskiego", jest z całą pewnością jedną z najbardziej udanych, wnoszących najwięcej do naszej wiedzy o poruszanych tu zagadnieniach, części tej pracy. Trudno odmówić historykowi racji, kiedy przedstawiając wszystkie rozbieżności i niekonsekwencje koncepcji, wysuwanych przez różne środowiska, dochodzi do surowego wniosku: „Nie znaleziono właściwej koncepcji w sprawie mniejszości narodowej, reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu. Było to rezultatem fatalnej polityki obozu londyńskiego, który może być uznany za kontynuatora okresu przedwrześniowego nie tylko w aspekcie formalnoprawnym, ale i w sposobie myślenia i rozwiązywania podstawowych problemów wewnętrznych i zewnętrznych".

Dylemat kontynuacji czy zmiany, został w obozie londyńskim rozstrzygnięty na korzyść pierwszego członu opozycji: kontynuacja przesłoniła konieczność zmiany. Znalazło to swój wyraz nie tylko w koncepcjach, dotyczących polityki wewnętrznej, ale w równej mierze w ogólnym zorientowaniu polityki zagranicznej. „Rząd emigracyjny orientował się wyłącznie na państwa zachodnie i z nimi wiązał nadzieje na rozwiązanie podstawowych spraw".

Wartość koncepcji politycznych ocenia się nie wedle intencji, jakie żywili ich twórcy, ale podług rezultatów, do jakich one doprowadziły. Nawet najbardziej szlachetna w intencjach polityka, która rozminie się z rzeczywistością, okazuje się polityką fatalną. Tak właśnie było w przypadku koncepcji ustrojowych obozu londyńskiego, które w miarę rozwoju wydarzeń politycznych coraz bardziej rozchodziły się z rzeczywistością. W tej sytuacji nie obozowi londyńskiemu, ale polskiej lewicy, która celnie, a zarazem realistycznie oceniała zarówno sytuację wewnętrzną w kraju, jak i kierunek zmian sytuacji międzynarodowej, przypadło „spełnienie wielkiej roli wobec narodu i państwa". Ludzie, którzy rozumieli sens dokonujących się przemian, widzieli przyszłość Polski „w zasadniczej zmianie modelu ustrojowego i koncepcji politycznych", nie zaś w kontynuacji stanu sprzed tragicznego września. Środowiska związane z obozem londyńskim uparcie dążyły zaś do wcielenia w życie formuły „restitutio in integrum". I to przesądziło o ich klęsce.

ANDRZEJ F. GRABSKI

IV.

„... 17-ty rok, 20-go stycznia.

... i bardzo dobrze. I dzięki bogu: im dalej w las tym lepiej. Nie mogę patrzeć na ludzi, a tu nikogo nie zobaczę prócz chorych i chłopów. Ale oni chyba niczym nie rozjątrzą mojej rany? Innych także porozmieszczali na placówkach nie gorszych od mojej. Z przyjaciół wiem tylko gdzie są Iwanow i Bomgard. Iwanow wybrał gubernię archangielską (sprawa gustu), a Bomgard siedzi na głuchej prowincji podobnej do mojej, trzy stacje stąd, w Goriełowie.

Chciałem do niego napisać, lecz się rozmyśliłem. Nie chcę ani widzieć, ani słyszeć ludzi.

21 stycznia.

Zamieć. Nic się nie dzieje.

25 stycznia.

Jaki jasny zachód. Migrena — nieodłączna. W proszkach po 1,0... czy można po 1,0?... można.

3 luty.

Dostałem dziś gazetę z zeszłego tygodnia. Czytać mi się nie chciało, lecz skusił mnie program teatralny. W zeszłym tygodniu wystawili „Aidę". Czyli ona wyszła na podwyższenie i śpiewała: „Mój drogi, przyjdź do mnie...". Głos ma niezwykły, dziwne, że głos czysty, wspaniały przypadł tak podłej duszy.

(Tu przerwa, wyrwane dwie lub trzy stronice).

... to tak nie wypada, doktorze Polakow. To po sztubacku i głupio przeklinać jak ulicznik kobietę za to, że cię opuściła. I już Jakie to w końcu proste. Śpiewaczka operowa połączyła się z młodym lekarzem, przeżyli rok — i poszła. Zabić ją? Zabić! Ach, jak głupio, jak pusto. Beznadziejnie! Nie chcę myśleć. Nie chcę...

11 luty.

Ciągle zawieje, zawieje. Wieczorami jestem sam. W ciągu dnia widzę ludzi. Ale pracuję mechanicznie. Do pracy przywykłem. A'propos — bardzo mi pomógł szpital wojenny. Dzięki niemu nie przybyłem tu całkiem surowy. Dziś po raz pierwszy przeprowadziłem operację nieprawidłowego ułożenia płodu.

Troje ludzi jest tu pogrzebanych pod śniegiem: ja, Anna Kiriłowna — pielęgniarka-akuszerka i felczer. Felczer żonaty. Mieszkają w oficynie. Ja mieszkam sam.

15 luty.

Wczoraj wieczorem miało miejsce bardzo interesujące zdarzenie. Wybierałem się do łóżka, gdy chwyciły mnie bóle w okolicy żołądka. Ale jakie! Zimny pot wystąpił mi na czoło. Jednak nasza medycyna, to muszę zaznaczyć, wątpliwa nauka. Skąd u człowieka, który absolutnie nie cierpi na żadne choroby żołądka lub kiszek, który ma wspaniałą wątrobę i nerki, biorą się nagle tak okrutne boleści w nocy, że miota się jak oszalały w pościeli?

Z jękiem doszedłem do kuchni, gdzie śpi kucharka ze swym mężem Własem. Własa posłałem do Anny Kiryłowny. Anna nocą przyszła do mnie i zmuszona była dać mi zastrzyk morfiny. Powiedziała, że byłem zupełnie zielony. Dlaczego?

Nasz felczer mi się nie podoba. Niewrażliwy, a Anna Kiryłowna to bardzo miły i wykształcony człowiek. Dziwię się, jak niestara kobieta może żyć zupełnie samotnie w tej śniegowej trumnie. Mąż jej jest w niemieckiej niewoli.

Nie mogę nie oddać czci temu, kto pierwszy wyciągnął z makówek morfinę. Najprawdziwszy dobroczyńca ludzkości. Bóle minęły w ciągu siedmiu minut od zastrzyku.

To byłoby dobre, gdyby lekarz mógł na sobie sprawdzić reakcję organizmu na niektóre lekarstwa. Zupełnie inaczej by rozumiał ich działanie. Po zastrzyku po raz pierwszy od wielu miesięcy spałem głębokim i spokojnym snem — bez myśli o tej mojej, która mnie oszukała.

16 luty.

Dzisiaj Anna Kiriłowna podczas obchodu zapytała o moje samopoczucie i dodała, że po raz pierwszy widzi mnie rozchmurzonym.

— Czyż ja jestem chmurny?

— Bardzo — z całą stanowczością stwierdziła ona, i dodała, iż przeraża ją moje wieczne milczenie.

— Już taki się urodziłem.

Lecz to kłamstwo. Byłem bardzo radosnym człowiekiem do chwili mego rodzinnego dramatu.

Zmierzch nadchodzi wcześnie. Siedzę sam w pokoju, wieczorem powrócił ból, no nie tak silny, jak wczoraj. Lękając się wczorajszego nawrotu, sam zrobiłem sobie zastrzyk — jeden centymetr. Ból ustąpił prawie natychmiast. Jak to dobrze, że Anna Kiriłowna zostawiła wczoraj flaszeczkę.

18 luty.

Cztery zastrzyki nie są straszne.

25 luty.

Cudak z tej Anny Kiriłowny! Jakbym ja nie był lekarzem. Po strzykawki... Tak.

1 marca.

Doktorze Polakow, niech Pan będzie ostrożny! Bzdura!

Zmrok. Już pół miesiąca, jak nie powróciłem myślą do tej, która mnie oszukała. Motyw z partii Amnieris porzucił mnie. Jestem z tego dumny. Okazałem się mężczyzną. Anna Kiriłowna została moją nielegalną żoną. Nie mogło stać się inaczej. Jesteśmy zamknięci na bezludnej wyspie.

Pierwsza minuta: uczucie muśnięcia w szyję. To muśnięcie robi się ciepłe i rozchodzi po ciele. Druga minuta — nagle przebiega lodowata fala, ściska w dołku — i natychmiast następuje niezwykła jasność umysłu i przypływ energii. Wszystkie złe odczucia absolutnie mijają. Jest to wyższy stopień ujawnienia duchowej mocy człowieka. Jeśli ja nie byłbym skażonym medycznym wykształceniem, twierdziłbym stanowczo, że człowiek może pracować tylko po zastrzyku morfiny. I rzeczywiście — cóż u diabła wart jest człowiek, jeśli niewielka neuralgia wytrąca go z równowagi!

Anna Kiriłowna lęka się. Uspokoiłem biedactwo zapewniwszy, że już w dzieciństwie odznaczałem się niezwykłą siłą woli.

2 marca.

Idą słuchy o czymś niezwykłym, coś jakby strącili Mikołaja II.

Kładę się spać bardzo wcześnie. O dziewiątej. I śpię słodko.

10 marca.

Tam toczy się rewolucja. Dzień dłuższy, a zmierzch niebieskawy. Takich snów nad ranem jeszcze nie miałem. Są to sny podwójne. A główny z nich, jak by to powiedzieć — szklany. Przeźroczysty.

Oto — widzę niesamowicie jasno świecącą lampę, od niej biegnie różnobarwna wstęga. Amnieris śpiewa kołysząc zielonym piórem. Orkiestra, z pewnością nieziemska, gra niezwykle dźwięczna. Zresztą nie mogę tego opisać słowami.

Czyli, w normalnym śnie muzyka jest bezdźwięczna... (w normalnym? Pytanie: który sen jest bardziej normalny? To żart...), bezdźwięczna, a w moim śnie brzmi ona niebiańsko. I najważniejszy — w swoim śnie ja mogę muzykę wyciszać lub nasilać. Pamiętam, w „Wojnie i pokoju" jest opisane, jak Piotr Rostow przeżywał coś takiego w półśnie. Lew Tołstoj to wspaniały pisarz!

Teraz o przeźroczystości; tak oto poprzez przelewające się barwy „Aidy" widać zupełnie realnie brzeg mojego biurka za drzwiami gabinetu, lampę, lśniącą podłogę i słychać przebijające się przez fale orkiestry Teatru Wielkiego jasne kroki, brzmiące przyjemnie, niczym głuche kastaniety. Czyli — godzina ósma — to Anna Kiriłowna idzie mnie obudzić i przekazać co dzieje się w izbie przyjęć. Ona nawet się nie domyśla, że budzić mnie nie trzeba, że nie śpię i mogę z nią rozmawiać. Takie właśnie doświadczenie przeprowadziłem wczoraj.

Anna: Siergieju Wasiliewiczu...

Ja: Słyszę... (cicho muzyce — „głośniej"). Muzyka — silny akord.

Anna: Jest zapisanych dwudziestu pacjentów.

Amnieris (śpiewa).

Właściwie tego nie można opisać na papierze.

Szkodliwe są te sny? Och, nie. Po nich wstaję silny i odważny. I pracuję dobrze. I jestem zainteresowany, czego uprzednio nie było. I jakże mogło być inaczej, jeśli wszystkie moje myśli skupiały się na niej, byłej żonie.

A teraz jestem spokojny.

19 marca.

Nocą pokłóciłem się z Anną Kiriłowną.

— Nie będę więcej już przygotowywać roztworu.

Zacząłem ją namawiać:

— Głupota, Aneczko. Cóż to, ja dziecko?

— Nie będę. Pan zginie.

— No, jak pani uważa. Proszę tylko pamiętać, że mnie boli w piersiach.

— Proszę się leczyć.

— Gdzie?

— Niech pan wyjedzie na urlop. Morfina nie leczy. (później pomyślała i dodała) — Nie mogę sobie darować, że przygotowałam panu wówczas drugą flaszeczkę.

— A cóż to, czyż jestem morfinistą?

— Tak, z pana robi się morfinista.

— I nie przygotuje pani?

— Nie.

W tym momencie po raz pierwszy odkryłem w sobie skłonność do wściekłości na ludzi wówczas, kiedy nie mam racji.

Właściwie nie od razu. Poszedłem do sypialni. Popatrzyłem. Na dnie flaszeczki coś jeszcze pluskało. Nabrałem do strzykawki — ćwierć pojemniczka. Cisnąłem strzykawkę o mało jej nie rozbijając i zadrżałem. Delikatnie podniosłem — ani jednego pęknięcia. Przesiedziałem w sypialni dwadzieścia minut. Wychodzę — nie ma jej. Poszła. Wyobraźcie sobie — nie wytrzymałem. Poszedłem do niej. Zapukałem do okna. Ona wyszła na ganek okrywszy się chustką. Noc cicha, cicha, śnieg puszysty. Daleko gdzieś w niebie snuje się wiosna.

— Anno Kiriłowna, proszę dać klucz do apteki.

— Nie dam.

— Moja droga, mówię do pani jako lekarz, proszę podać mi klucz.

Widzę w mroku, że twarz jej pobladła, oczy pociemniały. I przemówiła głosem, od którego w mej duszy zrodziła się litość. Ale zaraz znów falą napłynęła złość.

Ona: — Dlaczego, dlaczego pan to mówi? Ach, Siergieju Wasiliewiczu, jak mi pana żal.

I wyciągnęła rękę spod chustki, a w niej — klucze. Czyli wychodząc do mnie wzięła je ze sobą.

Ja (ordynarnie): — Niech pani da!

I wyrwałem klucz z jej rąk. I poszedłem do jaśniejącego skrzydła szpitala po gnijących, uginających się mostkach. Kipiałem w duszy ze złości przede wszystkim dlatego, że nie mam nawet najmniejszego pojęcia, jak przygotować roztwór. Jestem lekarzem, nie felczerem!

Szedłem i trząsłem się.

I słyszę, idzie ona za mną jak wierny pies. I tkliwość mnie zalała, ale natychmiast ją zagłuszyłem. Odwróciłem się i warknąłem:

— Zrobi pani czy nie? A ona machnęła z rezygnacją ręką i cicho odpowiedziała:

— Dobrze, zrobię.

... Za godzinę, czując się już normalnie, oczywiście prosiłem ją o wybaczenie za moje chamstwo. Sam nie wiem, co się ze mną stało, przedtem byłem uprzejmym człowiekiem. Zachowała się dziwnie podczas moich przeprosin. Padła na kolana, schwyciła me ręce i mówi:

— Nie gniewam się na pana. Już wiem, że pan przepadł. Już wiem. A siebie przeklinam za to, że wówczas zrobiłem panu zastrzyk.

Zacząłem ją uspokajać, jak tylko mogłem, zapewniałem, że nie ma w tym jej najmniejszej winy, że ja sam odpowiadam za to, co robię. Obiecałem także, że od jutra całkiem poważnie zacznę się odzwyczajać, zmniejszając dawki.

— Ile pan teraz wstrzykнął?

— Niech się pani już przestanie niepokoić!

Chociaż prawdę powiedziawszy, ja ją rozumiem. Rzeczywiście, przyzwyczaić się do tego można szybko. Ale maleńkie przyzwyczajenie to już morfinizm?...

... Właściwie ta kobieta jest moim najprawdziwszym przyjacielem. I powinna zostać moją żoną. O tamtej już zapomniałem. Zapomniałem...

8 kwietnia.

To męka.

9 kwietnia.

Makabryczna ta wiosna.

Diabeł we flaszeczce. Kokaina — diabeł we flaszeczce. W czasie wstrzykiwania prawie natychmiast odczuwa się wielki spokój przechodzący w błogostan i ekstazę. I to trwa jedną, dwie minuty. A potem znika bez śladu, jakby w ogóle nie istniało. Przychodzi ból, strach, ciemność. Huczy wiosna, czarne ptaszyska przelatują z jednych nagich gałęzi na drugie, a las w oddali połamaną czarną szczeciną unosi się do nieba, a za nim, zasłaniając kawał nieba, płonie wiosenny zachód.

W sypialni na gazie leży strzykawka, a obok flaszeczka. Biorę ją, szybko przecieram jodyną skłute biodro, wbijam w skórę igłę. Nie ma żadnego bólu. Wręcz przeciwnie — przeczuwam zbliżającą się euforię. Jest. Wyczuwam ją dlatego, że dzięki harmonii, na której radując się wiośnie wygrywa stróż Własiedząc na ganku, urywane, ochrypłe dźwięki harmonii docierające do mnie poprzez szyby, zamieniają się w niebiańskie akordy, w chóry anielskie. Lecz moment — i kokaina we krwi w tajemniczy sposób, nie opisany w żadnej farmakologii, przemienia się w coś nowego. Wiem — to mieszanka diabła z moją krwią. I znika Własz ganku, i nienawidzę go, a zachód, niespokojnie hucząc wypala moje wnętrzności. I tak wiele razy, raz po raz w ciągu wieczora, aż dociera do mnie, że jestem zatruty. Serce zaczyna walić tak, że czuję je w rękach, skroniach... a potem zapada się w przepaść i są chwile, że myślę, iż doktor Polakow nie powróci do życia...

13 kwietnia.

Ja — nieszczęsny doktor Polakow, który stał się w lutym tego roku morfinistą, uprzedzam wszystkich, którym los zgotuje taką dolę, jak mnie, żeby nie próbowali zamienić morfiny kokainą. Kokaina — podstępna, okrutna trucizna. Anna z trudem ocuciła mnie wczoraj kamforą, a dziś jest ze mnie półtrup.

6 maja.

Bardzo dawno nie brałem pamiętnika do ręki. Właściwie to nie jest pamiętnik, a historia choroby, a ja mam profesjonalny nawyk notowania w tym moim jedynym na świecie przyjacielu (jeśli nie liczyć mojego żałosnego, często płaczącego druha — Anny).

Zatem, kontynuując historię choroby, wstrzykuję sobie morfinę dwa razy w ciągu doby...

Poprzednie moje notatki były nieco histeryczne. Przecież nic dziwnego ani strasznego się nie stało. Na moją wydajność w pracy w ogóle to nie ma wpływu. Cały dzień żyję dzięki poprzedniej nocnej dawce. Co innego mnie męczy — wiecznie mi się wydaje, że ktoś odkryje mą słabość. I ciężko mi znosić podczas przyjęć uczucie zaciekawionego spojrzenia felczera — asystenta na mym karku.

Nonsens! On się nie domyśla. Nic mnie nie zdradzi. Źrenice mogą mnie wydać tylko wieczorem, a wieczorem ja się z nim nie spotykam.

Straszne spustoszenie morfiny zrobiłem w naszej aptece. Pojechałem do powiatu i przeżyłem tam bardzo nieprzyjemne chwile. Kierownik składu wziął moje zapotrzebowanie, na którym wypisałem wszelakie głupstwa, takie jak kofeinę (której u nas jest pod dostatkiem) i pyta:

— 40 gramów morfiny?

I czuję, że uciekam wzrokiem i czerwienię się jak uczniak.

Kierownik mówi:

— Nie mamy takiej ilości. Mogę dać 10 gramów.

Rzeczywiście on nie ma, no mnie się wydaje, że odgadł mą tajemnicę, że przenika mnie na wskroś wzrokiem, i zaczynam się denerwować, i męczyć.

Tylko źrenice, tylko moje źrenice są niebezpieczne. Dlatego postanawiam nie spotykać się wieczorami z ludźmi. Lepszego miejsca od mej zabitej deskami dziury, aby unikać ludzi, nie znajdę. Minęło już pół roku odkąd nikogo nie widzę, prócz moich chorych, ale im nic do mnie.

18 maja.

Przed moimi oczyma książka z opisem reakcji spowodowanych morfiną:

„...stany żałosnej tęsknoty, niepokoju, lęku, rozdrażnienia, osłabienia pamięci, występują halucynacje i w pewnym stopniu utrata świadomości"...

Halucynacje miewałem, ale jeśli chodzi o resztę, to mogę powiedzieć — o, jakże puste, suche, nic nie mówiące słowa!

„Stany żałosnej tęsknoty".

Nie, ja dotknięty tą straszliwą chorobą, błagam lekarzy, żeby byli litościwi dla swych pacjentów. Nie „żałosna tęsknota", a powolna śmierć chwyta w szpony morfinistę, jeśli pozbawi się go choćby na godzinę jego zwykłej dawki.

Puste powietrze, nie można go chwycić, każda cząstka ciała oczekuje... Czego? Tego nie można określić, nie można wyjaśnić. Po prostu nie ma człowieka. Jest wyalienowany. Porusza się, wyczekuje, cierpi — trup.

On o niczym nie myśli, niczego nie oczekuje oprócz morfiny. Morfiny!

Śmierć z pragnienia to raj w porównaniu z żądzą morfiny. Tak z pewnością żywcem pogrzebany chwyta ostatnie bąbelki powietrza w grobie i paznokciami przeoruje skórę na piersi.

Tak heretyk na stosie pojękuje i wierci się, kiedy pierwsze jęzory płomieni liżą jego stopy.

Śmierć — kostyczna, powolna śmierć...

Oto co się kryje pod tymi suchymi słowami:

„Stany żałosnej tęsknoty".

Dłużej już nie mogę. Biorę zastrzyk. Wdech. I jeszcze jeden. Lżej. A teraz... tak... tak... niejasny chłód wokół dołeczka...

Wystarczy mi to do północy.

Głupota. Ta notatka — głupota. Wcale nie tak strasznie.

Wcześniej czy później — przestanę!

A teraz spać, spać.

Tą głupią walką z morfiną ja tylko niepotrzebnie męczę się i osłabiam.

14 listopada.

Po ucieczce z Moskwy z kliniki doktora (nazwisko dokładnie zamazane) znów jestem w domu. Leje deszcz i ciężką zasłoną odgradza świat ode mnie. I niechaj odgradza. On mi nie jest potrzebny, tak jak i ja nie jestem nikomu potrzebny. Walki, strzały i cały przewrót przeżyłem leżąc w klinice. Myśl o przerwaniu leczenia zakiełkowała we mnie jeszcze przed walkami na ulicach Moskwy. Dzięki morfinie za to, że zrobiła ze mnie człowieka odważnego. Żadna strzelanina mnie nie przerazi.

A i cóż może w ogóle przerazić człowieka, który myśli tylko o jednym — o cudownych, błogosławionych kryształkach. Kiedy felczerka, sterroryzowana armatnimi wystrzałami...

(Wyrwana stronica).

...łem tę stronicę, żeby nikt nie przeczytał hańbiącego opisu o tym, jak człowiek wykształcony ucieka tchórzliwie niczym złodziej i wykrada swój własny kostium.

Cóż to takiego kostium!

(c.d.n.)

Michaił Bułhakow

MORFINA

tłum.
Ewa T. Gadzinowska

PIĘKNE ŚWIATŁO JADWIGI ANDRZEJEWSKIEJ

Dalszy ciąg ze str. 1

prosiła młodziutką aktorkę do odegrania tejże roli w francuskiej wersji tego samego filmu. Tej 18-letniej wówczas Polce zaproponowano warunki współpracy, na jakich wytwórnia angażowała wielkie, liczące się w świecie gwiazdy. Była traktowana „comme une vedette americaine".

W historii teatru polskiego bywały czcigodne relikwie, które wnoszono i wynoszono ze sceny wtedy, kiedy już grać nie powinny i z uporem żegnano się na nie jak na poczerniałe ze starości ikony. Andrzejewska zeszła ze sceny i odeszła z życia w pełni sił twórczych. Chyba niedoceniona.

POCZĄTKI JEJ KARIERY

scenicznej sięgają — jak by to dziwnie nie zabrzmiało — czasów kołyski i pieluch. Przyszła bowiem na świat w wielodzietnej rodzinie pracowników teatru i pod dachem teatru rozległ się jej pierwszy krzyk niemowlęcy. Była najmłodsza z jedenaściorga rodzeństwa. Już wtedy stała się najważniejsza, bo jeśli na scenie potrzebne było niemowlę, niezmiennie formułowano radę: „niech ktoś idzie do Andrzejewskich i przyniesie dzieciaka". Ten dzieciak — rekwizyt począł się rychło przepoczwarzać w dziecko czujące, czym jest teatr, a następnie rozumiejąc sztukę gry scenicznej. Być może rolę dziecka o imieniu „Smutek" w „Madama Butterfly" grała wiedziona intuicją. Ale niewątpliwie jak aktorka obyta ze sceną zagrała i zachowała się grając u boku Ireny Solskiej w „Nauczycielce" Dariusza Nikodemiego. „Iskier przewodnik teatralny" nie wymienia ani sztuki ani autora, rzecz więc dość stara. Owa nauczycielka, której rolę grała Solska, to kobieta „z przeszłością". Owoc tzw. grzesznej miłości — niemowlę płci żeńskiej porzuciła na dworcu, bo jej przeszkadzało w życiu. Ale los ukształtowany piórem Nikodemiego każe się matce spotkać z córką w układzie: nauczycielka — uczennica. Pierwsza domyśla się, kim jest dziewczynka i pyta ją w czasie rozmowy w cztery oczy: „A gdyby się zjawiła twoja prawdziwa matka, poszłabyś z nią? Dziecko przez chwilę przywołuje do wyobraźni obraz wyimaginowanej matki i odpowiada: „Nie, bo by mogła mnie znowu zostawić na stacji, a ja jestem mała i mogłabym nie trafić do moich opiekunów". Sposób, w jaki Jadzia zagrała tę scenę, wywarł ogromne wrażenie przede wszystkim na Solskiej. Należała do pokolenia aktorów, którzy „przeżywali". Solska czuła na sobie odpowiedzialność za porzucenie dziecka, a jego słowa odebrała jak ciężka i zasłużoną karę. Więc pod brzemieniem prawdy opadła jej głowa i wielka aktorka zamarła w bezruchu. Trwało to zbyt długo jak na obowiązujące konwencje gry na scenie. Suflerował w tej sztuce Stefan Heine i relacja niniejsza pochodzi od niego. Jego pierwszego zaniepokoił bezruch artystki. Mógł, „podrzucając" następne słowo tekstu, przywołać Solska do scenicznej rzeczywistości. Ale on wiedział, że to nie było zapomnienie i taka interwencja byłaby nietaktem wobec artystki tej miary. Więc czekał. Wyjście z niemiłej sytuacji znalazła 10-letnia Jadzia. Jak dojrzała aktorka wymyśliła sobie kwestię: „Czy ja coś złego powiedziałam, proszę pani nauczycielki?". Wtedy Solska uniosła głowę, zrzuciła z twarzy swoje piękne tycjanowskie włosy i powiedziała: „Nie. Powiedziałaś właśnie tak jak trzeba". Choć uwielbiała owacje, tym razem zeszła ze sceny nie czekając na oklaski.

Foto: Archiwum

Rzecz jasna — nie należy brać poważnie słowa:

KARIERA

I tych dziecięcych, choćby nawet świetnych prób. Zabiegi o dostanie się do teatru nie były łatwe nawet dla kogoś tak z tą instytucją związanego, jak Andrzejewska. Owszem chętnie wykorzystywano ją jako statystkę w Teatrze Miejskim w Łodzi. A ów sukces w czasie występu z Solską rychło poszedł w niepamięć. W 1931 roku (16-ym jej życia) zdawało się, że szczęście jest blisko. Henryk Szletyński zaproponował jej zastępstwo w roli pokojówki w sztuce „Jutro pogoda". Ale w ostatniej chwili aktorka, która miała być nieobecna, wróciła, rolę trzeba było oddać. Jadzia się obraziła, wróciła do Łodzi i podjęła pracę w firmie „Leon Tyber — materiały piśmienne" przy ul. Piotrkowskiej w Łodzi. Kariera ekspedientki zamiast aktorki! Gdyby choć to się ziściło... Przynosiła posiłki dla szefowej i pełniła inne, drobne usługi. Bez powodzenia zresztą, bo jej wszystko z rąk leciało. Więc znów próby dostania się do teatru. Na początek — kabaret „Jar" przy ul. Kilińskiego 127 w Łodzi. Pod kierunkiem baletmistrza Konrada Ostrowskiego machała tam nogami w jednym szeregu z Zofią Wilczyńską.

Wreszcie w sztuce „Błękitny ptak" wystawionej przez Teatr Miejski w Łodzi zagrała rólkę o tyle widoczną, że dostrzegł ją Karol Adwentowicz i kiedy warszawski Teatr Kameralny rozpoczął przygotowania do Christin Winsde „Dziewczęta w mundurkach", przypomniał sobie Jadzię i zaangażował do tej sztuki. I teraz można już mówić o karierze scenicznej, a również na filmową nie trzeba będzie długo czekać.

Zagrała rolę Manueli w taki sposób, że zainteresował się nią Boy-Że..., inny zaś krytyk napisał: „Po raz pierwszy żałowałem, że nie mam ze sobą kwiatów, aby je rzucić tej małej, wielkiej artystce". Boy długo pamiętał ten debiut i kilka lat później po premierze „Matury" Laszlo Fodora napisał: „Andrzejewska grała ładnie, potwierdzając nadzieje związane z jej debiutem". Prywatnie zaś miał powiedzieć: „Nasza miła Manuela zdała już maturę i teraz będzie dojrzałą artystką".

Stała się nią wcześniej, niż to zwykle w tym zawodzie bywa. „Dziewczęta w mundurkach" szły ponad sto razy, co w teatrze międzywojennym było zjawiskiem dość rzadkim. To właśnie wtedy poczęła rosnąć jej popularność, na którą złożyły się — talent, uroda i ogromna pracowitość. „Czy pani wie, — mówiła do dziennikarki — co to znaczy w ciągu trzech miesięcy codziennie wieczorem płakać i to płakać nie glicerynowymi łzami lecz prawdziwymi? Choć takie role najbardziej mi się podobają, to jednak czułam się bardzo wyczerpana".

Teatry przedwojenne rozchwytywały ją. Po debiucie w Kameralnym przyszła kolej na Teatr Narodowy, w którym wystąpiła w sztukach „Kean", „Pistol" oraz „Testament Jaśnie Pana" Hjalmara Bergmana. W pierwszej z nich, związanej z życiem znakomitego aktora angielskiego grała rolę chłopca garderobianego u boku kreującego rolę tytułową Józefa Węgrzyna. Z czasu tej inscenizacji pochodzi relacja o przeżytej wtedy przygodzie, przekazana mi przed kilku laty przez Jadwigę Andrzejewską. 19 marca pojechała do Łodzi na imieniny ojca, wróciła niewyspana, więc się przyłożyła „na 5 minut", by odpocząć przed przedstawieniem. Zasnęła tak mocno, że żadne próby obudzenia nie działały. Wrażenie wywarła dopiero informacja, że dzwoni dyrektor Solski. „Czego, smarkata, nie przychodzisz na przedstawienie?". Weszła na scenę przy podniesionej kurtynie. Węgrzyn przerwał grę, pogroził palcem i spytał w jednej z najniższych tonacji: „Dlaczego ty się spóźniasz, co?". Jadzia w szloch. Na scenie nigdy z tym nie miała trudności. „To my tu na ciebie czekamy z publicznością, a ciebie nie ma! W tej chwili przeproś publiczność!". Dygnęła, Węgrzyn pocałował ją w czoło. Publiczność zareagowała owacją i przedstawienie poszło dalej.

Grała w teatrze Letnim. W Polskim w reżyserowanej przez Leona Schillera „Zbrodni i karze" Dostojewskiego, wystąpiła jako Sonia. W Ateneum zagrała rolę tytułową w „Pannie Maliczewskiej". Rychło ujawniła się też jej przydatność do ról komicznych, co pozostawało przecież w sprzeczności z opiniami krytków, dostrzegających „intrygujący smętek" w jej oczach i przydatność do ról krzywdzonego przez los i otoczenie „dziewczęcia". Teatry: „Banda", „Stara Banda", „Cyrulik Warszawski", „13 rzędów", „Nowy Momus" i „Ali-Baba" chętnie włączały jej występy do swoich programów i fakt ten wykorzystywały w reklamie. „20 grudnia 1935 r. nasz nowy program: „Wieczna ondulacja" — z udziałem Jadwigi Andrzejewskiej". Właśnie ona „stworzyła arcydzieło sztuki parodystycznej z ballady o Wiśniewskiej". W czasie rewii grupa łódzkich pensjonarek wręczyła jej naręcze pąsowych tulipanów, demonstrując w ten sposób dumę z koleżanki. Recenzent pisał w roku 1935 na temat rewii „Warszawa w kwiatach": „W ostatniej rewii „Starej Bandy" pt. „Warszawa w kwiatach" najmilszy i najpowabniejszy jest kwiat talentu Jadwigi Andrzejewskiej". Ostatnia przedwojenna premiera, w której wzięła udział to „Pakty i fakty" Hemara, Tuwima i Wiasta.

Jej powodzenie na scenach i estradach przyciągnęło oczywiście

UWAGĘ FILMU

Zadebiutowała w „Dziejach grzechu" Henryka Szaro. Działo się to w tym czasie, kiedy publiczność Teatru Kameralnego zachwycała się jej grą w sztuce „Dziewczęta w mundurkach". Ale pełnię talentu jako aktorka filmowa ujawniła we wspomnianym „Wyroku życia" J. Gardana. W filmie tym debiutował nie byle kto, a sama Irena Eichlerówna, a grał też Dobiesław Damięcki. Ale publiczność i krytyka dostrzegały Jadzię: „Jadwiga Andrzejewska to jakby postać z czarodziejskiej bajki. Młodziutkie jeszcze dziewczątko, córka pracownika teatralnego, od najwcześniejszego dzieciństwa obracała się za kulisami, marząc o aktorstwie. Nikt wszakże jeszcze nie podejrzewał, jak wielki talent kryje się w tym drobnym dziewczątku o niepokojących oczach, zasnutych zawsze dziwnym a intrygującym „smętkiem". Film uznano za rewelacyjny. Owo zaś określenie: „dziewczątko" długo jeszcze łączono z artystką, aż ją zirytowały ciągle role pensjonarek, w jakich ją obsadzano i owo poufałe i pobłażliwe: „Jadzia" używane we wszelkich recenzjach. Zaprotestowała. „...Jadzia Andrzejewska idealnie nadaje się do roli dziewczątka, zmiażdżonego przez krzyczącą niesprawiedliwość społeczną itd.". Nie jestem pewien, czy protest ten poskutkował. Zdrobnienie było przecież miarą popularności i sympatii, jaką się cieszyła wśród widzów kinowych.

W jednym z reportaży napisanych w okresie kręcenia „Wyroku życia" czytamy: „...reżyser Gardan mówi: Jadziu, teraz dostajesz bólów... I oto momentalnie uśmiechnięta przed chwilą różowa twarzyczka dziewczęca — bez żadnych sztucznych środków charakteryzacji zmienia się w żółto-siną, ściągnięta kurczem straszliwego cierpienia — maską. Na czole wystąpiły wielkie, naturalne krople zimnego potu...".

Ktoś powiedział: „Ta mała — to fenomen intuicji aktorskiej". I niewątpliwie był to autentyczny talent, któremu wystarczała atmosfera sceny lub atelier, bliskość doświadczonych aktorów, by efektownie ujawniać swoje możliwości sceniczne. Kiedy na ekrany wszedł wyprodukowany przez wytwórnię „Libkow—Film" film „Moi rodzice rozwodzą się", podkreślano tę cechę osobowości artystki: „Niejednokrotnie krytyka teatralna i filmowa podkreślała zdolności aktorskie Andrzejewskiej. W filmie „Moi rodzice rozwodzą się" ta artystka z Bożej Łaski stworzyła popisową kreację. To już nie jest gra. To przeżywanie roli, wżywanie się w odtwarzaną postać". W słowach tych tkwi aluzja do idei szerzonych przez Osterwę i Jaracza — przeżywanie roli stanowiło jeden z fundamentów, na jakich powstała i działała „Reduta".

Warto wrócić raz jeszcze do „Wyroku życia". Młodociana aktorka zainteresowali się Francuzi. Wersja francuska tego filmu nosiła nazwę „Kto winien", współpracowali z Jadwigą Andrzejewską, Henri Rolland i Jean Boitel. Wspaniała polska aktorka, którą pragnęli zatrzymać u siebie na zawsze nazywała się dla nich: „Żaża Anżeska". Wówczas nie zmieniano jeszcze nazwisk, by sobie ułatwić karierę wśród cudzoziemców.

Z piętnastu filmów, w jakich brała udział przed wojną, przypomnę jeszcze „Dziewczęta z Nowolipek". Jej partnerkami były Elżbieta Barszczewska, Tamara Wiszniewska i Hanka Jaraczówna. Pisano o tym filmie: „W roli marzycielskiej, nieco rozhisteryzowanej, delikatnej i słabej dziewczynki — dała postać tak mocną w wyrazie, tak rzetelnie opracowaną, tak wyrazistą i wzruszającą, że zaćmiewa pozostałe trzy świetne zresztą towarzyszki".

PRZYSZEDŁ ROK 1939

Jadwiga Andrzejewska znalazła się we Lwowie, gdzie grała aż do wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w 1941 roku. Trafiła wtedy do Azji środkowej. Tam wystąpiła w kilku filmach, M.in. z Bernesem i Krasnowieckim w filmie „Dzielnica N. 14", którego akcja działa się na ziemach polskich pod niemiecką okupacją. Nieco później była członkiem czołówki teatralnej 7 Dywizji w Kermine, ewakuowała się wraz z II Korpusem do Iranu, grywała na Bliskim Wschodzie, a następnie we Włoszech. Tu m.in. wystąpiła w polskim filmie „Droga powrotu" zrealizowanym przez „Ateliers Cinecitta" pod Rzymem. Koniec tułaczki nastąpił w roku 1947, kiedy to wróciła do Polski statkiem „Batory".

I tu jest miejsce na to, by ten powrót zestawić z kilku innymi wydarzeniami z życia wielkiej artystki i w ten sposób wskazać na jedną z głównych cech jej osobowości, a jednocześnie odpowiedzieć na pytanie, które musi się zrodzić w wyobraźni czytającego tę monografię: dlaczego ta aktorka, która w swoim czasie przyćmiła imię gwiazdy, nie osiągnęła w Polsce takiej pozycji jak te przyćmione.

Jak wiadomo, 18-letnia Jadwiga Andrzejewska została zaangażowana przez francuską wytwórnię „Spardice" do filmu „Wyrok życia", w wersji francuskiej „Kto winien?". Po premierze młodocianej artystce zaproponowano stałe engagement w Paryżu. Odmówiła. Swoje miejsce widziała w kraju. Kiedy w roku 1947 przypłynęła do Gdyni, jeden z dziennikarzy stołecznych powitał ją jako warszawiankę. Zanotował jej odpowiedź: „...nie jestem warszawianką. Jestem rodowita łodzianka i chociaż grałam prawie przez cały czas w Warszawie, to jednak zawsze bardzo kocham swoją „brzydką Łódź". W roku 1970 pojechała z córką do Anglii, ciekawa spotkań z tymi z kolegów, którzy zostali tam na stałe. Rozczarowanie. Ją atakowali o swoje wyobrażenia o obecnej Polsce. Ona broniła kraju przed nimi: „Przyjedźcie! Zobaczcie! Nie kłóćcie się ze mną!". Wróciła wcześniej niż zamierzała. Po powrocie: „Dawniej tacy byli fajni, a co się z nimi zrobiło... Boże! jak dobrze, że tu wróciłam!".

I wreszcie: miała szereg propozycji przeniesienia się do Warszawy. Zawsze odmawiała.

PO WOJNIE

wystartowała na estradzie rewiowej. Była w tym gatunku pracy scenicznej dobra o 8 lat wcześniej, przywitano ją entuzjastycznie w nowych warunkach. Dwa lata później dyrekcję Teatru Powszechnego objął stary przyjaciel i opiekun, ten sam, który dając jej rolę w „Dziewczętach w mundurkach", otworzył drogę do kariery, Karol Adwentowicz. Przeniosła się więc do teatru dramatycznego i jako Fanchette w „Niemcach" Kruczkowskiego przypominała o swoim wielkim talencie dramatycznym. Potem znów Teatr Mały z programem lżejszym i w roku 1953 — Teatr im. Jaracza. Występ w Teatrze Satyryków pamiętny jej interpretacją „Kwiaciarki" Tuwima i dziesięć lat w Teatrze 7.15. Na krótko do „Jaracza" i na resztę życia do Teatru Powszechnego.

Na ten okres przypadają jej szczytowe osiągnięcia artystyczne, wśród nich niezapomniana kreacja Validy Urany w „Babie Dziwo" M. Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Matki Courage, wreszcie — Dulskiej. Ta „reszta życia" to wiek lat 50—60, a więc wiek pełnej dojrzałości, w żadnym razie nie starość. O roli Validy Urany pisano z entuzjazmem, przypominając, że w roli tej budziła przeżycia tej miary, co w pamiętnych „Dziewczętach w mundurkach". O „Babie Dziwo" pisała na łamach „Kultury" Wanda Karczewska: „Najistotniejszą zaletą wystawienia tej sztuki Jasnorzewskiej jest przywrócenie scenie dramatycznej wielkiego, żywiołowego talentu Jadwigi Andrzejewskiej. Trzeba z uznaniem podkreślić, że znalazła w zespole Teatru Powszechnego możliwość pokazania się w dużej, bogatej roli Validy Urany, w sztuce specjalnie dla niej wystawionej. Odsłoniła swój pazur aktorski, swoje spontaniczne aktorstwo, które pozwoliło jej, dzięki jakiemuś szóstemu zmysłowi, pokonać wszystkie trudności tej skomplikowanej roli bez jednego błędu i fałszu, i pokazać bardzo szeroką skalę jej możliwości aktorskich". Również entuzjastycznie przyjęto jej rolę Matki Courage od wystawienia sztuki w 1973 roku każde wymienienie nazwiska artystki wywoływało skojarzenie tej roli.

Była bezsprzecznie jedną z najbardziej popularnych artystek łódzkich. Starsze pokolenie widzów nigdy nie straciło sympatii do dziewczęcej „Jadzi", młodsze nie mogło nie dostrzec jej talentu dramatycznego, widocznego w rolach ostatniego lat dziesiątka. To — w Łodzi.

A W POLSCE?

Niedawno krytyk krakowski wylał morze żółci na łamach „Życia Literackiego", litując się nad losem przyjaciół, którzy według krytyka są genialni, a Łódź ich za genialnych nie uznała. Został z tego wyciągnięty wniosek, że biada temu aktorowi lub reżyserowi, który trafi do Łodzi, bo tu zginie. Teza w świetle faktów — żenująca. Postać Jadwigi Andrzejewskiej stanowi najmocniejszy przeciwko tej tezie argument. Nie wierzę

Foto: Gerard Puciato

w to, by jej fanatyczny łódzki patriotyzm wynikał tylko z faktu, że miała w dowodzie osobistym rubrykę „miejsce urodzenia" wypełnioną słowem „Łódź". Aktor nie istnieje bez widowni. Andrzejewska z uporem, wbrew licznym propozycjom trzymała się Łodzi. Tu miała swoją pełną widownię i miała swoją widownię w oczach przechodniów, którzy twarz jej lepiej znali niż twarz jakiegokolwiek innego aktora. I miała swoje prywatne kontakty z prostymi ludźmi, rozrzucone po mieście. Na spektakl przychodziła dwie godziny przed czasem. Bo po drodze do garderoby musiała omówić mnóstwo spraw z maszynistami, rekwizytorami, krawcami i wszystkimi tymi ludźmi teatru, którzy jej byli bliscy jeszcze z dzieciństwa. Ale to nie musiały być sprawy dotyczące aktualnego spektaklu.

Upływ czasu znaczył się w doborze ról, jakie jej proponowano. A więc te dawne, z początków kariery: Manuela, Córka, Maliczewska. A teraz: Matka Pana Młodego, Babcia, Matka Courage, Babcia Marysi, i znów Babcia. Grała te i podobne role pogodnie, z ciepłem jej właściwym. Dla niej nie istniał problem starzenia się. Martwiła się, że nie siwieje. To szaleństwo aktorów: Woszczerowicz krzyczał z radości na widok każdej nowej zmarszczki na twarzy. „Teraz ja dopiero zagram!". Ale odrębny od jej samopoczucia był stosunek tych, którzy mogli obsadzić, a mogli nie. Mogli zapomnieć, że przełożyła Łódź nad stolicę, a mogli nie. Raczej nie zapominali. Czuła to i wyznała w wywiadzie: „Zaangażowano mnie do „Miasteczka", bo trzeba było płakać przed obiektywem. Dla tego jednego ujęcia jeździłam specjalnie do Sieradza. Trudno mi się zgodzić z tym, żebym była już skazana tylko na ten typ roli filmowej".

Ale to była jedyna skarga, jaka słyszano z ust Jadwigi Andrzejewskiej.

Reasumując, śmiem twierdzić, że ta znakomita artystka popularna i lubiana w Łodzi, nie była doceniona tam, gdzie się zaczyna i kończy wszelkie cmokanie. Więc z satysfakcją przytoczę opinię „Literatury" w miesiącu Jej zgonu, na marginesie filmu „A jeśli będzie jesień": „W niedobrym filmie była znakomita i chociaż filmu uratować nie mogła, — udzieliła mu własnego światła. A to było bardzo piękne światło".

JERZY URBANKIEWICZ

Foto: Archiwum

Na rozjeździe ubity jak klepisko trójkątny plac, w głębi rozwarte wrota, nad nimi niebieska tabliczka; ułożony z białych liter napis informuje, że tutaj pracuje mistrz kowalski.

— Tabliczka jak na maglu, a powinien być szyld.

— Jaki?

— Zależy od specjalności. Albo podkowa, albo pług, wóz, a najczęściej młot skrzyżowany z cęgami.

Zanikający zawód. W Warcie było trzynastu kowali, zostało dwóch, ale jeden pracuje w „galanterii". Wysoko się ceni, zwłaszcza, gdy mu zlecają do wykonania muzealną robotę. Wiadomo, artysta. Cepeliada, telewizja, to znamy. Prawdziwego kowala, który naciągnie obręcz na koło, zrobi pług, podkuje konia — telewizja nie eksponuje. I w Warcie takich kowali też już chyba nie będzie. Wprawdzie jest jeden uczeń, ale ten nie ma pojęcia o kuciu koni. Spawarka robi, ślusarz. Pozostał więc **Mirosław Porwikowski** i na nim zaczyna się i kończy autentyczne kowalstwo. Bo mieliśmy wprawdzie dzielne traktorzystki, ale kowalek nie było i nie będzie. A Porwikowskiemu urodziły się dwie córki...

Na rozjeździe wrota szeroko otwarte. Wchodzą klienci, sąsiedzi, koledzy; mistrz blacharski, szef OSP. Siadają, gdzie popadnie i uderzają w gadkę pod papierosa.

— Z panem to trzeba ostrożnie — mówi strażak podstawiając mi w cęgach bryłkę czerwonego koksu.

I śmiech. Kawałek koksu odpada, leci na notes.

— Byłoby po portkach!

— Do Deyny to ja nie miałem zaufania, a on, panie...

— Paprał!

— Dobry był!

— Było trzech na trzech, a on stale piłkę do tyłu...

— Cholera, jak się tego „Mundzia" przeżyje?

— Może by tak spróbować tej po nowej cenie?

— Ona idzie, jak trzymacie piąty ołtarz na Boże Ciało.

Do dziś przedstawiciele różnych zawodów mają w czasie uroczystości kościelnych swoje ołtarze i miejsce w procesji. Kupcy, urzędnicy, rzemieślnicy, każdy na swoim. Ojciec Porwikowskiego, jako najstarszy rzemiecha w mieście, trzyma w kościele skrzynię ze świecami i innymi przedmiotami sakralnymi. A w kuźni nad wnęką, gdzie był kiedyś miech, a teraz magazynuje się koks, sterczy brzózka z brązowymi, zeschłymi liśćmi, które nie opadają. Poświęcona. Żeby w kuźnię piorun nie strzelił.

Ktoś zaczyna wspominać o siłaczach, którzy z obręczy robili krawaty. Drugi mówi:

— Był jeden cyrkowiec, kładli mu na dece wrota, po których przechodziły dwa konie, takie ciężkie belgijskie, po osiemset kilo każdy. Prowadzący chciał się odegrać, ściągnął konie lejcami i faceta zgniotło prawie na śmierć.

Strażak opowiada, jak podszedł do swojego konia, gdy ten żarł owies i klepnął go znienacka. Koń go też klepnął, do dziś czuje to w nodze. A u dziedzica zdychający koń ostatnim ruchem przy rozkurczu mięśni zabił kopytem stangreta. Jeden ułan, który szedł do cywila i żegnał się ze swoim bulankiem, też został zabity kopniakiem.

Józef Neyman, który pracuje w PTT-K na jednej szesnastej etatu (przesada!), a powinien mieć dawno licencję przewodnika po Warcie, stwierdza autorytatywnie:

— Decyduje znajomość psychiki zwierzęcia.

— Zanim konia się dotknie, należy się do niego odezwać — oświadcza Porwikowski. — Gorzej kuje się na tylne nogi, koń nie pozwala na to. Kułem kiedyś takiego „wariata". Unieruchomiliśmy go za pomocą linki, mimo to uderzył właściciela, rozbijając mu całą twarz.

— Ty powiedz, jak załatwiłeś cwaniaków w turnieju miast! — krzyczy podniecony Neyman.

W telewizji miały się zmagać Warta ze Złoczewem. Porwikowskiemu zaproponowano udział w konkursie kucia koni. Zorientował się, że nie ma dla niego konkurencji, bo to, co ten dziadek ze Złoczewa wykona w pół godziny, on zrobi przez kwadrans. Ale chętnie wystąpi jako ekspert z ramienia cechu. Odsztyftował się na wysoki połysk, garniturek, biała koszula, krawat, bo przecież juror, nie?

— Wygrał Kaczorowski z Warty. Prowadzą konie przed komisję, a tu koń Kaczorowskiego kuleje. Dyskwalifikacja. Zagwożdżenie, gwóźdź pewnie wbity w unerwione miejsce. Podchodzę, sprawdzam, ale nic z tych rzeczy! Przesuwam palce po pęcinach i czuję, że coś jest. Wyciągam szpilkę, tryska krew. Ludzie krzyczą, że granda, jakiegoś z telewizji sprowadzili, nie zna się na tym! Ale był dowód, że ktoś ze Złoczewa zrobił to złośliwie. Złoczew został zdyskwalifikowany...

Porwikowski ma trzydzieści siedem lat, jednakże w znajomości rzemiosła nikt go nie przeskoczy. Jest szczupły, średniego wzrostu, ale w kowalstwie nie liczy się siła, tylko zręczność, technika. Od czternastego roku życia pracuje w kuźni, która zbudowana została pod koniec dziewiętnastego wieku.

Uśmiecha się figlarnie niebieskimi oczyma i przygładzając miękkie, ciemne włosy, oznajmia z dumą:

— Jestem dobry, bez fałszywej skromności, panowie! Ale to, że jestem dobry, zawdzięczam dziadkowi. Było z niego kawał chłopa, lubił wypić, do dziewięćdziesiątego piątego roku życia pracował w kuźni! Kiedy nie mogłem sięgnąć młotem do kowadła, podstawiał mi szufladę. Nauczyłem się od niego tego, czego dziś niewielu potrafi.

I pokazuje, jak szykowało się obręcze, jak się je nakładało na koła. Trzeba było wymierzyć za pomocą specjalnego kółka, zgiąć na zgiętarce, wyrównać za pomocą młotka, założyć zakładki, wyrównać po zgrzaniu. Strasznie precyzyjna robota. A mówią złośliwi, że do kowala z zegarkiem... Z bolącymi zębami przychodzili. Wiązało się ząb i ciach! z gorącym żelazem do oczu. Jak się facet szarpnął ze strachu, ząb poszedł. Kowal robi dziś wszystko, tylko kóz nie kuje.

— Raz po założeniu na koło, obręcz pękła i zabiła kowala. Bo obręcz wkłada się na koło gorącą, a potem do wody. Żelazo kurczy się gwałtownie, ściska, straszne ciśnienie. Drzewo trzeszczy jak cholera, szprychy wchodzą po pół centymetra w piastę. Dziadek mówił, żeby stać z boku. Jak trzaśnie, to najwyżej w ramię, ale nie zabije.

Wszyscy mówią naraz, z zapałem, jak to jest z tymi kowalami. O ucznia trudno. Idzie do kuźni, jak go nie przyjmą do szkoły. Takiego trzeba popychać, ale i tak nie będzie z niego rzemieślnik. Kowalem może zostać tylko człowiek inteligentny. I zręczny, bo inaczej miałby poobtłukiwane palce, albo byłby całkiem bez rąk. Tu się wszystko bierze szczypcami, zimne czy gorące. Najważniejsza znakomita wyobraźnia plastyczna. Kowal sam wykonywał narzędzia swojej pracy. Potrafi z kawałka cienkiego, wąskiego płaskownika zrobić piękną trójzębną dziabkę. A jakie trzeba mieć oko i wyczucie, żeby dopasować wygładzoną gładzikiem, zagwintowaną oś żelaznego wozu, która jest wykrzywiona i koła chodzą na niej ukośnie. Albo z kawałka płaskownika zrobić podkowę z hacelami, otworami i kapturkiem, wkładając ją tylko dwa razy do ognia. Kowal za pomocą przyrządzika zwanego lagą sam wykonywał potrzebne mu gwoździe. Tu trzeba znać technologię metalu, umieć zgrzewać i hartować. Przy zgrzewaniu żelazo się topi, kilka sekund za długo, i cała robota na nic. A piaskiem sypie się po to, żeby się żelazo nie topiło tam, gdzie nie trzeba.

Co jednak może zrobić kowal, gdy nie ma materiału? Szuka na złomowisku, albo idzie na przymusową sprzedaż wiązaną. Kupuje to, co mu wtryniają i nawet nie zabiera do domu, byle tylko dostać potrzebną rzecz. Żelazo idzie na gospodarstwa

Foto: Archiwum

specjalistyczne, które kowal musi ratować w potrzebie. Porwikowski został ostatnio wcielony do rzemieślniczej brygady na akcję żniwną. Dyżury przez całą dobę. Będzie naprawiał sprzęt żniwny nawet w nocy, jeśli będzie miał czym.

— Nigdy nie pracowałem w polu, ale kiedy wykonam pług i ustawię lemiesz z odkładaczem, to rolnik może zapalić papierosa, puścić rączki i pług będzie sam orał. Nie przewróci się i nie będzie pchał ziemi, tylko ją odkładał.

— W miarę postępu technicznego zmienia się charakter usług, — powiada uczenie Józef Neyman.

— Zgrzewanie zastąpiła spawarka, zamiast pilnika jest szlifierka. Kiedyś przy miechu (spód i wierzch drewniane, z boków skóra) stał kalikator, z tym, że nie nogą, lecz ręką poruszał drewnianą rączką. Teraz mam miech elektryczny. Robię pługi, radła, podkowy, ale naprawiam także wózki dziecinne i zamki do drzwi. Zrobię finkę, zreperuję wirnik motopompy, a ostatnio zakładałem „progi" do volkswagena.

— Co jest najstarsze w kuźni?

— Buks, zwany inaczej tuleją, ponieważ ma wąsy. To jest to, co się wbija w piastę. Inaczej: w buksie znajduje się koniec osi u wozu. A że ma z boków takie jakby skrzydełka, żeby lepiej trzymały w drewnie, nazwano je wąsami. I dlatego najstarsze. A tak bez żartów, to chyba ten kaptur nad paleniskiem, czyli naturalny wyciąg. Ale na pewno dębowy pień pod kowadłem, który dziadek postawił chyba z osiemdziesiąt lat temu.

Ktoś napomknął o zespole muzycznym w kuźni. To prawda. Piekielny hałas, nikt nic nie mówi, a każdy wie, co robić. Tercet gra młotami. Ten, co obraca detal, drugą ręką wystukuje młotkami rytm, który oznacza kto i w które miejsce powinien uderzyć. Szły różne zakłady o to, czy zagrają przy obróbce znaną melodię. Zagrali.

A od czego zaczyna się robota? Od rozpalania paleniska. Można wziąć kilka wiórów, trochę miału, zapałkę i pocykać miechem. Ale można też rozpalić elektrodą, bo koks jest bardzo przewodny.

Porwikowski rozkręca nieco imadła, opiera o pień pod kowadłem młotek, na wygasłym palenisku kładzie na krzyż cęgi.

— Tak dziadek zawsze kończył robotę. Żeby w nocy nikt nie pracował przy imadłach i na kowadle, które musiało być puste. A na palenisku krzyż. Żeby diabły nie miały dostępu. Ja w to nie wierzę, ale żeby dziadek nie przewrócił się w grobie, tak samo kończę pracę.

— A jaka jest najlżejsza praca w kuźni? — pyta ktoś żartobliwie.

— Zdmuchnąć pył z kowadła. Bo już po robocie.

Tak. Ale najczęściej po dwunastu godzinach ciężkiej harówy. Bo w kuźni najcudowniejsze urządzenie mechaniczne nigdy nie zastąpi sprawnych rąk, wyobraźni, precyzji i bystrych oczu kowala. W rolnictwie, a zwłaszcza w warzywnictwie są szczególne prace, w których długo jeszcze traktor nie zastąpi poczciwego konika. Kowal będzie potrzebny, ale Porwikowski jest już ostatni. Wychodzi na to, że w przyszłości kuciem koni zajmą się techniczne stacje obsługi Polmozbytu. Kłopotów z częściami zamiennymi chyba nie będzie...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

TRĘDOWATA W SZKOLE ŚREDNIEJ

Książki Heleny Mniszkówny, Pawła Staśki, Ireny Zarzyckiej i Heleny Szpyrkówny bywały przedmiotem rozważań krytycznych nawet na łamach najpoważniejszych naszych czasopism kulturalnych, dyskutowano o nich w radio i telewizji — ale zawsze raczej jako o pewnym fenomenie fascynacji masowych niż jako o fakcie z zakresu najszerzej pojętej literatury. Znamy pojęcie literatury brukowej, nigdy jednak nie zajęły się tą literaturą uniwersyteckie powagi, nie dostrzegały jej warsztaty liczących się krytyków, do złego tonu zaliczonoby poważnym tonem wypowiedziane uwagi o jej jakimkolwiek miejscu w kulturze. Może więc nasze środowisko literackie, krytyczne i pedagogiczne zainteresuje fakt że w Republice Federalnej Niemiec najtężsi teoretycy dyskutują bardzo poważnie o wprowadzeniu literatury brukowej do programu nauczania literatury w szkole średniej 1).

Oczywiście — można by tu powiedzieć, że nie ma u nas książek schlebiających bez skrupułów złym gustom, ba — nie najlepszym instynktom niewyrobionych czytelników; to prawda, że nie wydajemy książek pornograficznych, zalewających rynek zachodnioniemiecki, ale też i w dyskusji tamtejszej nie o takie książki chodzi. Chodzi o typ powieści, tworzonych już w założeniu jako towar rozrywkowy ulegający prawom podaży i popytu: o utwory pozbawione walorów artystycznych, a podpadające pod jedno z następujących określeń: powieści kryminalne, „dla kobiet", „o naszych dzielnych wiarusach" („Landserromane"), fantastyczno-przygodowe.

Nie możemy przecież zaprzeczyć, że tego typu książki ukazują się u nas, są rozchwytywane, czytane, lubiane; niektóre wywody filologów niemieckich mają więc na pewno swe odniesienia w naszym życiu literackim i — być może — warto się z nimi zapoznać.

Pojęcie „prawdziwej" literatury bazuje na przeciwstawieniu do tych utworów pisanych, które nie spełniają określonych warunków estetycznych narosłych historycznie, zależnych od aktualnych struktur społecznych. Czy te utwory — nie odpowiadające aktualnie panującym kryteriom, uznane (aktualnie...) za artystycznie bezwartościowe, utwory posiadające przy tym wielką poczytność i liczny krąg odbiorców — czy mogą one stanowić przyczynek do literackiego wychowania młodzieży?

Literaturą brukową, znajdującą masowych odbiorców, może być tylko to, co obraca się w kręgu powszechnych wyobrażeń, opinii, uprzedzeń i stereotypów; to, co te stereotypy i uprzedzenia potwierdza. W tym zresztą leży też niebezpieczeństwo literatury brukowej. Umacnia ona pewne, nie zawsze pożądane schematy myślowe, jednocześnie stanowiąc krzepiącą rozrywkę: jest łatwa w odbiorze, posługuje się znanymi powszechnie kliszami językowymi, stara się zachować ciągłość akcji jest realistyczna w sposób nie pozwalający wątpić w faktyczność przedstawianych zdarzeń; pokazuje człowieka jako „bohatera", działającego skutecznie, a sprawiedliwość zawsze w niej triumfuje. Rozłożenie akcentów zła i dobra, stereotypowość powieści brukowej — odpowiadają oczekiwaniom czytelnika, potwierdzają jego życzenia i wyobrażenia, dają jakby zastępcze spełnienie marzeń. Lektura taka nie powoduje wstrząsów, nie mąci ułożonego systemu myślenia i fantazji.

Konformizm rynkowy literatury brukowej, czyli po prostu liczenie się z upodobaniami wielkich rzesz czytelniczych, nie jest oczywiście pozbawiony znaczenia politycznego. Ta literatura popiera i potwierdza istniejące warunki społeczne, a więc w przypadku Republiki Federalnej Niemiec — warunki kapitalistyczne. Czyni bohaterem człowieka, akceptującego te warunki, a przy tym zwycięskiego, odnoszącego sukcesy. Czytelnik doświadcza więc niejako zastępczego samo-awansu, dowiaduje się że nie musi się zmieniać, że jest taki właśnie jak trzeba. Ten właśnie fakt — zdaniem filologów zachodnioniemieckich — powinien być wykorzystany jako prowokacja pedagogiczna, jako wyzwanie dla naczelnej zasady wychowawczej: zmieniaj się! Rośnij!

Nauczanie literatury w szkole średniej rozumie się dotychczas powszechnie jako stopniowe wprowadzanie do czegoś jeszcze nie przeczytanego i nie przeżytego. Nauczanie to koncentruje się na wyborze literatury, która według pojęcia osób literacko wykształconych powinna być uczniowi zaproponowana jako wzorcowa. Zakłada się z góry bezwarunkowe przyjęcie i uznanie takiego wyboru przez ucznia, pozbawiając go tym samym jego własnego sądu. Za takim postępowaniem kryje się łatwo rozpoznawalna struktura hierarchiczno-autorytatywna, nie odpowiadająca — zdaniem teoretyka pedagogiki, Theodora Wilhelma — nowoczesnemu nauczaniu. Struktura autorytatywna prowadzi do postaw konformistycznych, a często zakłamanych, fałszywych. Filologowie niemieccy proponują zatem wyjść w dydaktyce literackiej od lektur już przez ucznia przeczytanych i skonsumowanych — a więc właśnie od masowych powieści przygodowych, kryminalnych, „indiańskich" i dziewczęco-melodramatycznych.

Szkoła powinna zająć się tekstem literackim — każdym tekstem, zarówno brukowym jak klasycznym — nie tylko po to, żeby był on zrozumiany i zaakceptowany przez ucznia jako dar nietykalnego i nieomylnego autorytetu, lecz po to, żeby zanalizować intencje tego tekstu, relacje użytych środków językowych do zamierzeń i celów autora. Zdolność rozumienia, jaka powinna być celem i wynikiem takich analitycznych treningów, powinna być uzupełniona jak najsilniej akcentowanym dążeniem do świadomej motywacji: czytelnik powinien wiedzieć, dlaczego sięga raz po tę książkę, kiedy indziej po inną, to powinien być zawsze jego świadomy wybór, a nie podporządkowanie się wyborom dokonanym przez uczonych w piśmie.

Nawet najbardziej wyrafinowany czytelnik nie może przebywać ciągle „na wyżynach ducha"; taki czytelnik sięgając po powieść kryminalną czy inne pozbawione wartości artystycznych „powieścidło", znajdując w takiej lekturze autentyczną przyjemność i odpoczynek — jest skłonny odczuwać jednocześnie coś w rodzaju zażenowania i wyrzutów sumienia. Zamiast takich wrażeń powinien po prostu wiedzieć że celem dzieła brukowego było dostarczenie mu przyjemności i odpoczynku, nic poza tym, i że on właśnie po to bierze daną książkę do ręki, czyli dokonuje w danej chwili właściwego wyboru.

Jeżeli może być mowa o konflikcie dydaktycznym w nauczaniu literatury w szkole średniej, to zdaniem autorów omawianego tu programu konflikt ten sprowadza się do opozycji pomiędzy uznaniem prawa do wypoczynku, do nieskrępowanego, banalnego marzenia „o niebieskich migdałach", do sensacji i łatwych, odprężających, zastępczych wzruszeń — a nieuniknionym przecież obowiązkiem wykształcenia w ślewie koniecznego dystansu, krytycyzmu, zdolności eliminujących, wybiorczych. Te dwa dążenia muszą jednak znaleźć jakiś harmonijny wyraz w pedagogice. Szkoła toleruje i tak literaturę brukową, bo przecież niemożliwym byłoby zakazanie sięgania po nią. Zamiast takiej zrezygnowanej tolerancji należałoby raczej nauczyć młodego człowieka, jak powinien się z taką literaturą obchodzić, czego od niej oczekiwać. Przez należycie zaprogramowane wykształcenie i wychowanie należałoby wreszcie osiągnąć stan, kiedy konsumowanie literatury brukowej nie będzie zdeterminowane pozycją społeczną czytelnika, jego niższym statusem materialnym i prestiżowym — kiedy wszyscy ludzie nauczą się różnie reagować na różne zjawiska: krytycznie, świadomie, z pełnym zrozumieniem zarówno własnych potrzeb, jak i oferowanych wartości.

---

1) „Didaktik der Trivialliteratur. Zur Praxis des Deutschunterrichts" — herausgegeben von Peter Uusser, Stuttgart, 1976.

SZEŚĆ SALUTÓW

Foto: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

jawią się stale funkcjonujące międzynarodowe stacje orbitalne, na których pokładzie pracować będą kosmonauci wielu krajów. Załogi tych stacji — dostarczane na ich pokłady za pomocą statków kosmicznych startujących z różnych kosmodromów — zmieniać się będą zgodnie z ustalonym przez realizujące wspólnie program badań państwa".

22 stycznia 1978 roku do stacji orbitalnej **„Salut — 6"** przycumował transporter kosmiczny **„Progress — 1" przywożąc** załodze **„Saluta — 6"** około 2 ton ładunku. W realizacji programu tworzenia międzynarodowych stacji orbitalnych, pracujących nieprzerwanie był to dość ważny moment. Ale zacznijmy może wszystko od początku.

Rodzina „Salutów"

Przypomnijmy sobie kilka podstawowych dat z historii kosmonautyki. W 1960 roku trzykrotnie a w 1961 roku dwukrotnie Związek Radziecki wprowadził na orbity okołoziemskie bezzałogowe statki kosmiczne. Było to niezbędne dla wprowadzenia na orbitę pierwszego statku kosmicznego z człowiekiem na pokładzie. Stało się to **12 kwietnia 1962 roku**, a pierwszym człowiekiem, który poszybował w przestrzeń kosmiczną był **Jurij Gagarin.** Poleciał on w Kosmos na statku typu **„Wostok".** Takich statków wystrzelono 6. Na **„Wostoku — 6"** poszybowała w przestrzeń kosmiczną pierwsza — i jak do tej pory jedyna — kobieta: **Walentina Tierieszkowa.**

W październiku 1964 roku wystartował w Kosmos **„Woschod — 1".** Na jego pokładzie poleciało w przestrzeń kosmiczną trzech kosmonautów **W. Komarow, K. Fieoktistow i B. Jegorow.** Był to pierwszy wieloosobowy statek kosmiczny. **„Wostoki"** były jednoosobowe. Również Amerykanie rozpoczęli loty kosmiczne swoich statków od jednoosobowych typu **„Mercury"**, aby później wypuścić w Kosmos dwuosobowe **„Gemini"** i wreszcie trzyosobowe **„Apollo".** W ZSRR **„Woschodów"** wystrzelono tylko dwa. **„Woschod — 2"** poszybował w przestrzeń okołoziemską **18 marca 1965 roku**, a na jego pokładzie było tylko dwóch kosmonautów: **Paweł Bielajew i Aleksiej Leonow.** W czasie tego lotu Aleksiej Leonow odbył **pierwszy spacer w Kosmosie.** Przebywał poza statkiem kosmicznym przez 10 minut.

Pierwszy **„Sojuz"** wystartował **23 kwietnia 1967 roku**, a na jego pokładzie był tylko **Władimir Komarow** który po raz drugi znalazł się w przestrzeni kosmicznej. **„Sojuz — 2"** wystrzelono w październiku 1968 roku i nie było na jego pokładzie załogi. Na pokładzie **„Sojuza — 4"**, który wystrzelono w styczniu 1969 roku był **Władimir Szatałow.** W **„Sojuzie — 5"** poleciało w Kosmos trzech kosmonautów: **B. Wołynow, A. Jelisiejew i J. Chrunow.** Później jeszcze trzyosobowe załogi miał **„Sojuz — 7", „Sojuz — 10", „Sojuz 11".** **„Sojuz — 20"** odbył lot bez załogi. Został wystrzelony **17 listopada 1975 roku**, a 26 grudnia 1975 roku przycumował automatycznie do stacji orbitalnej **„Salut — 4".** Był to jakby prototyp zastosowanego na początku 1978 roku transportowca kosmicznego **„Progress — 1".** 16 lutego 1976 roku **„Sojuz — 20"** powrócił na Ziemię.

W marcu 1971 roku wystartowała w Kosmos pierwsza radziecka stacja orbitalna **„Salut — 1".** Cumowały do niej dwukrotnie statki kosmiczne. **„Sojuz — 10"** na 5 godzin i 30 minut oraz **„Sojuz — 11",** którego załoga w składzie: **G. Dobrowolski, W. Wołkow i W. Pacajew** przeprowadziła pierwsze eksperymenty na stacji orbitalnej. Zginęli oni wszyscy w czasie lądowania na skutek dekompresji statku. W październiku 1971 roku „Salut — 1" na sygnał dany z Ziemi wszedł w górne warstwy atmosfery i spłonął.

Następną stację kosmiczną wysłano w przestrzeń okołoziemską dopiero w marcu 1973 roku, a więc w dwa lata później. Przebywała ona na orbicie przez 25 dni. Nie cumował do tej stacji żaden statek kosmiczny. Przeszło rok później, bo 25 czerwca 1974 roku rakiety wyniosły na orbitę kolejną stację kosmiczną — **„Salut — 3".** W lipcu 1974 roku przycumował do niej **„Sojuz — 14"** z załogą w składzie: **P. Popowicz i J. Artiuchin.** Przebywali oni na stacji orbitalnej od 5 do 19 lipca 1974 roku. Pod koniec stycznia 1975 roku **„Salut — 3"** zakończył swoją pierwszą misję i spłonął w atmosferze.

Trzy pierwsze stacje orbitalne dostarczyły konstruktorom i kosmonautom wielką ilość doświadczeń i informacji, dzięki czemu można było przystąpić do skonstruowania stacji orbitalnej, która służyłaby kosmonautom przez dłuższy czas. Taką stacją był „Salut — 4".

Mieszkanie i laboratorium na orbicie

Jeśli kosmonauci mają przebywać przez dłuższy czas na orbicie okołoziemskiej, to muszą mieć zapewnione niezbędne do życia warunki. Potrzebna jest woda, żywność, urządzenia pozwalające regenerować siły, a także zapobiegające zanikowi mięśni i wapnia w kościach. W Kosmosie bowiem, gdzie człowiek przebywa w stanie nieważkości krew w żyłach krąży inaczej niż na Ziemi, nie ma potrzeby zachowywania postawy pionowej, a więc inaczej pracują mięśnie i kości, trzeba więc w sposób sztuczny przeciwdziałać przystosowaniu się organizmu ludzkiego do nowych warunków. Mimo różnych zabiegów kosmonauci po dłuższym pobycie w przestrzeni kosmicznej z trudnością poruszają się po ziemi, odczuwają ogólne osłabienie i nie mogą na przykład precyzyjnie posługiwać się rękoma. Musi minąć kilka dni, aby organizm znów przystosował się do ziemskich warunków.

Już na **„Salucie — 3"** zainstalowano gumową bieżnię poruszaną przez dwa wałki. Kosmonauci musieli przywiązywać się specjalnie skonstruowanymi szelkami do bieżni, aby móc zachować prostopadłe do niej położenie. Bieżnia ta nie była jednak najlepiej rozwiązana, gdyż w przypadku wolniejszego poruszania się na niej, szybkiego marszu, występowały ruchy, które wzbudzały drgania całej stacji, czego nie zaobserwowano przy biegu po ruchomej bieżni. Bieżnie ruchome są na stacjach kosmicznych niezbędne, pozwalają bowiem utrzymywać kosmonautom dobrą kondycję fizyczną. Doświadczenia z bieżnią „Saluta — 3" zmusiły konstruktorów do znalezienia lepszych rozwiązań dla następnych wersji „Salutów".

W **„Salucie — 4"** zainstalowano urządzenie do odzyskiwania wody. Dzięki temu urządzeniu odzyskuje się połowę dziennego zużycia wody. Do tej pory takich urządzeń nie stosowano i kosmonauci musieli brać z sobą niezbędne zapasy wody i oszczędzać ją. Amerykańska stacja orbitalna **„Skylab — 4"** miała w zbiornikach 30 hl wody.

Również urządzenia do regeneracji sił były w „Salucie — 4" znacznie lepiej rozwiązane niż w poprzednich wersjach stacji orbitalnej. Kosmonauci mieli do dyspozycji bieżnię gumową umożliwiającą biegi, marsze, skoki oraz „rower bez kół" czyli cykloergometr. Dostali również spodnie „czibis" w kształcie harmonijki, wyposażone w kompresor, które ułatwiały krążenie krwi zbliżone do ziemskiego.

Gieorgij Greczko, który był w **„Salucie — 4"** i który później przez 96 dni i nocy był na **„Salucie — 6"**, tak powiedział o tych dwu stacjach orbitalnych:

— Jeśli w „Salucie — 6" pozostało cokolwiek ze starych stacji — to chyba tylko obudowa...

Nim jednak nastąpił moment wystrzelenia **„Saluta — 6"** w czerwcu 1976 roku wystartował w Kosmos **„Salut — 5".** Stacja ta przebywała w przestrzeni kosmicznej od **22 czerwca 1976 roku do 8 sierpnia 1977 roku.** Do stacji tej przycumował **„Sojuz — 21"**, na pokładzie którego byli **Borys Wołynow i Witalij Żołobow.** Do **„Saluta — 5"** próbował też zbliżyć się **„Sojuz — 23"**, ale próba nie udała się. Przycumował dopiero **„Sojuz — 24" z W. Gorbatko i J. Głazkowem** na pokładzie. Przebywali oni na stacji orbitalnej tylko 18 dni, od 7 lutego 1977 roku do 25 lutego 1977 roku. „Salut — 5" przestał istnieć w sierpniu 1977 roku.

29 września 1977 roku wystrzelono z terytorium ZSRR kolejną stację orbitalną: **„Salut — 6".** W kilka dni później próbował połączyć się z nią **„Sojuz — 25"**, pilotowany przez **Władimira Kowalonoka**, tegoż samego, który pilotował „Sojuz — 29" i połączył się z „Salutem — 6". Wówczas cumowanie nie udało się. Sądzono nawet, że nastąpiły jakieś uszkodzenia w węźle cumowniczym. Dlatego też **„Sojuz — 26"**, na pokładzie którego byli: **Gieorgij Greczko i Jurij Romanienko**, przycumował do „Saluta — 6" od drugiej strony. Stało się to 11 grudnia 1977 roku. 20 grudnia Gieorgij Greczko wyszedł na zewnątrz stacji orbitalnej, aby dokonać przeglądu okolic luku przejściowego i konstrukcji węzła cumowniczego. Przebywał on półtorej godziny poza stacją. Sprawdził wszystkie urządzenia i stwierdził, że są one w porządku.

Trzeba tu wyjaśnić istotną różnicę między poprzednimi stacjami typu „Salut", a „Salutem — 6". Posiada on dwa węzły cumownicze, dzięki czemu może jednocześnie przyjąć dwa statki kosmiczne lub statek kosmiczny i transporter. I tak było. **11 stycznia 1978 roku** do „Saluta — 6", przy którym był przycumowany „Sojuz — 26", przycumował drugi statek kosmiczny **„Sojuz — 27"**, a na pokład stacji kosmicznej weszło jeszcze dwóch kosmonautów: **Władimir Dżambekow i Oleg Makarow.** Powrócili oni na Ziemię nie „swoim" statkiem, a „Sojuzem — 26". W ten sposób nie tylko jednocześnie na stacji kosmicznej przebywało czterech kosmonautów, ale dokonano wymiany statków kosmicznych, umożliwiając tym późniejszy powrót załogi „Saluta — 6" na Ziemię.

Później jeszcze — jak już wspomniałem — do „Saluta — 6" przycumował transporter **„Progress — 1"**, a jeszcze później — „Sojuz 28", na pokładzie którego był pierwszy czechosłowacki kosmonauta Vladimir Remek.

„Interkosmos"

Cofnijmy się trochę w czasie. Jest kwiecień 1967 roku. Dziewięć krajów socjalistycznych podpisuje porozumienie w sprawie pokojowego wykorzystania przestrzeni kosmicznej i współpracy wzajemnej w tej dziedzinie. Wspólne prace obejmują wiele dziedzin nauki: fizykę kosmiczną, meteorologię, biologię, medycynę, łączność i telededekcję. W 1976 roku utworzono w Polsce **Centrum Badań Kosmicznych PAN.**

Jeszcze w 1958 roku utworzono w Polsce 11 stacji obserwujących ruchy satelitów. Obecnie ilość tych stacji jest znacznie większa, a wiele placówek naukowych zostało włączonych do realizacji programu badań przestrzeni kosmicznej prowadzonej w ramach „Interkosmosu".

W cytowanej wypowiedzi prof. **Jana Rychlewskiego** z dyskusji na XII plenarnym posiedzeniu KC PZPR znajduje się między innymi takie stwierdzenie:

„Nasz obecny program jest nadal, mimo znacznej intensyfikacji, programem ostrożnym, angażującym stosunkowo niewielkie środki. Wydaje się, że obecnie dojrzał czas, aby ponownie rozważyć problem zwiększenia zakresu i tempa narastania naszego potencjału w badaniach kosmicznych".

Trzeba bowiem pamiętać, że technika kosmiczna z jednej strony wymaga stosowania niezwykle sprawnych i nowoczesnych urządzeń, z drugiej — przyczynia się do szybkiego postępu techniki i nauki. Pozornie może wydawać się, że udział w badaniach kosmicznych kosztuje drogo, ale korzyści, jakie ten wysiłek przynosi, są niewspółmierne do kosztów. Aby jednak szeroko uczestniczyć w badaniach kosmicznych potrzeba dysponować nowoczesnym przemysłem, posiadać ogromne możliwści wytwórcze, jak również przemysł musi być niezwykle sprawny w podejmowaniu nowej produkcji.

„Nasz wkład — powiedział prof. Jan Rychlewski w wywiadzie opublikowanym w „Życiu Warszawy" 13 lutego 1978 roku — **jest istotny; przy czym w ostatnich latach zwiększył się wydatnie, chociaż, jak sądzę, nie osiągnął on jeszcze proporcjonalnej do potencjału naszego kraju wysokości i będzie nadal intensyfikowany".**

Pierwszy satelita z serii **„Interkosmos"** został wystrzelony **14 października 1969 roku** i przebywał w przestrzeni kosmicznej do 30 października 1969 roku. Prowadzono przy jego pomocy badania promieniowania rentgenowskiego i ultrafioletowego Słońca. Urządzenia do tego satelity skonstruowali specjaliści CSRS, NRD i ZSRR. Następny wystartował **25 grudnia 1969 roku** i posiadał urządzenia skonstruowane przez NRD i ZSRR. Węgierskie urządzenia znalazły się w szóstym satelicie z serii **„Interkosmos"**, który wystrzelono **7 kwietnia 1972 roku.** Polskie — w 9 satelicie, który też otrzymał nazwę **„Kopernik 500"** i był znacznym sukcesem polskich uczonych. Satelita ten badał radiowe promieniowanie Słońca.

Do września 1977 roku w ramach realizacji programu **„Interkosmos"** wystrzelono z ZSRR 17 satelitów. W ich wyposażeniu uczestniczyli: **ZSRR** — 17 razy, **CSRS** — 16 razy, **NRD** — 10 ,**Węgry** — 5, **Bułgaria** — 3, **Polska** — 2, **Rumunia** — 2 i raz **Szwecja.** Szwedzcy specjaliści dali urządzenia do 16 satelity serii **„Interkosmos"**, który zakończył pierwszą generację tego rodzaju satelitów. Od satelity **„Iuterkosmos — 17"** rozpoczęła się druga generacja.

Od 1971 roku Polska uczestniczy też w pracach międzynarodowej organizacji krajów socjalistycznych **„Intersputnik"**, której zadaniem jest rozwijanie satelitarnej łączności. W badaniu Ziemi za pomocą zdjęć lotniczych i satelitarnych uczestniczy Ośrodek Przetwarzania Obrazów Lotniczych i Satelitarnych Instytutu Geodezji i Kartografii. W Krakowie działa ośrodek odbioru zdjęć satelitarnych służących meteorologom do prognozowania pogody. Wiele instytutów ma w swych programach badań naukowych tematy związane z rozwojem kosmonautyki. Programów tych będzie coraz więcej i będą one w coraz silniejszy sposób oddziaływały na naszą naukę, przyczyniając się do jej rozwoju.

Na orbicie

W lipcu 1976 roku podpisane zostało porozumienie o udziale kosmonautów z krajów socjalistycznych w lotach kosmicznych przeprowadzanych przez Związek Radziecki. Takie porozumienie mogło być podpisane i może być realizowane dopiero wtedy, kiedy zostały stworzone niezbędne do tego warunki. A więc, kiedy stworzono możliwość długotrwałego przebywania w stacji orbitalnej, kiedy do stacji tej mogą cumować jednocześnie dwa pojazdy kosmiczne, kiedy istnieje możliwość nie tylko dokonywania wymiany załogi satcji, ale również dostarczania jej niezbędnego wyposażenia, kiedy wreszcie dotychczasowe próby wykazały, że człowiek może bez szkody dla zdrowia długo przebywać w Kosmosie, w stanie nieważkości.

Dyrektor Instytutu Problemów Medyczno - Biologicznych Akademii Nauk ZSRR — prof. **Oleg Gazienko** potwierdził, że po 3 miesiącach pobytu w stanie nieważkości nie zachodzą trwałe zmiany fizjologiczne w organizmie człowieka, jest więc możliwa długotrwała podróż kosmiczna.

W „Salucie — 6" rozwiązano już wiele problemów które nie ułatwiały życia kosmonautom. Na przykład higiena. W stacji orbitalnej trzeba ściśle przestrzegać przepisów higieny. Okazuje się bowiem, że rozwijają się tam bakterie, a w tym i chorobotwórcze. Zastosowano więc nowe środki do odkażania urządzeń stacji ksmicznej, jak też ścian i wyposażenia. Zastosowano też — jak już wspomniałem — urządzenie do odzyskiwania wody, ale myć się kosmonauci muszą ręcznikami zwilżanymi specjalnymi płynami. Mogą natomiast brać... prysznic. Takie urządzenie skonstruowano już dla amerykańskiej załogi „Skylab", ale było ono niezwykle kłopotliwe w użyciu. Zabierało poza tym zbyt dużo czasu. W **„Salucie — 6"** zastosowano cylinder, w pokrywach którego znajdują się urządzenia rozpylające wodę i ciepłe powietrze i usuwające zużyte. Dzięki różnym skomplikowanym urządzeniom mieszkańcy stacji orbitalnej mogą utrzymywać kondycję, spełniać zadania wyznaczone przez program wyprawy, odpoczywać, odżywiać się zgodnie ze swymi upodobaniami. Stacja orbitalna **„Salut — 6"** ma 15 metrów długości, posiada średnicę w najszerszym miejscu — 4,15 m, wagę 18,9 tony, a objętość wewnętrznych pomieszczeń wynosi około 100 metrów sześciennych. Obecnie do stacji „Salut — 6" przycumował statek kosmiczny „Sojuz — 29". Kto poleci w Kosmos statkiem „Sojuz — 30"? Czy zgodnie z oczekiwaniami będzie w „Sojuzu — 30" polski kosmonauta? Najbliższe dni dadzą odpowiedź na te pytania.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

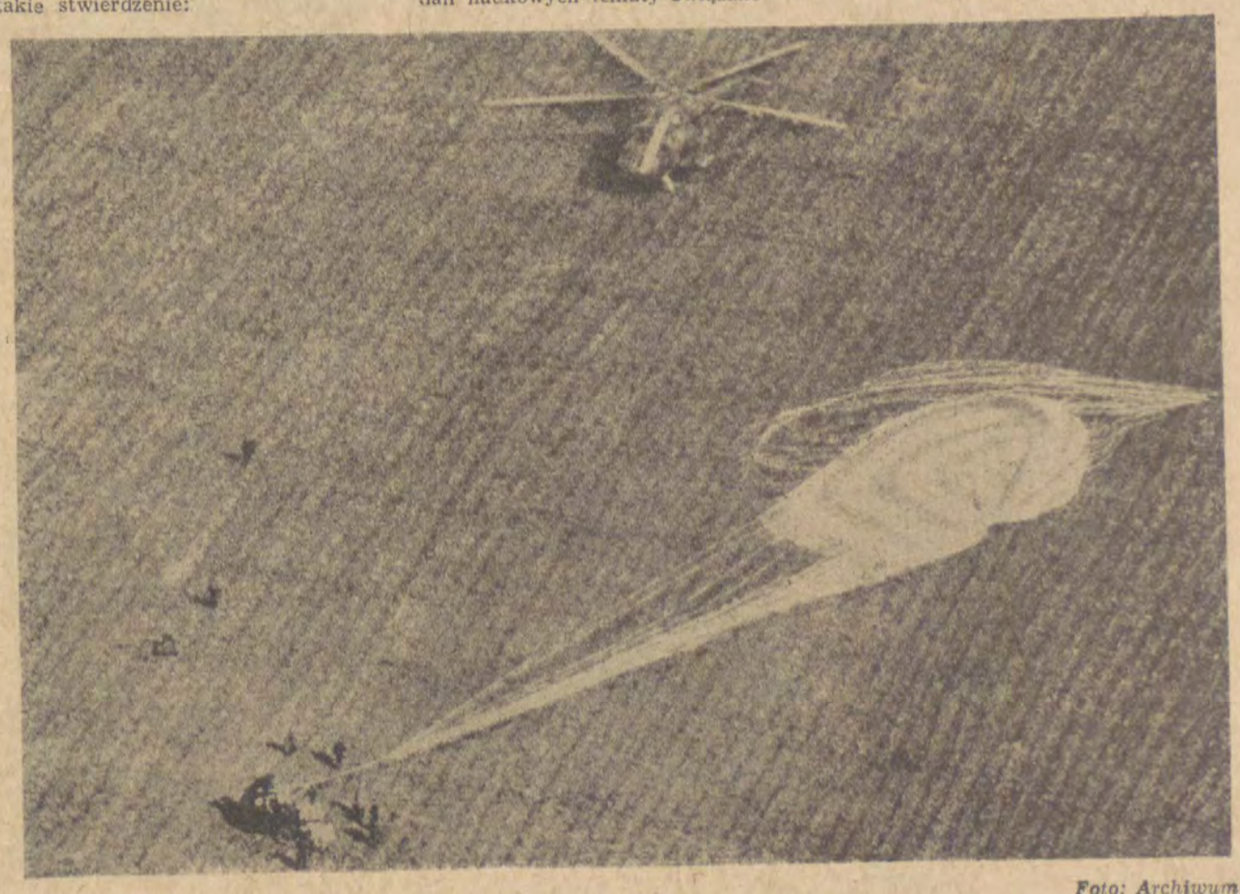

Foto: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

nie, iż życie toczy się tutaj najzwyklejszym trybem. Pod jednym wszakże warunkiem: trzeba zamknąć oczy na mury kamienic, ściany podziemnych korytarzy i stacji metra, których każdy nieomal skrawek to miejsce wojny na hasła, programy, manifesty i słowa. Często dochodzi też do użycia mocniejszych argumentów. Ale wtedy, jak spod ziemi pojawia się policja. Pałki nie oszczędzają nikogo: i tych z „lewa" i tamtych z „prawa". Najgorzej — jak to zwykle w takich razach — być pośrodku. Kiedy w jednej z przypadkowych rozmów, tak jakoś mimochodem zauważyłem, iż przypomina to sytuację w Portugalii z burzliwych miesięcy po obaleniu salazarowskich rządów, człowiek dobrze wprowadzony w tutejsze stosunki odpowiedział: — Tak, tylko istnieje dosyć istotna różnica. Nawet jeśli pominie się odmienność pozycji gospodarczej, istnienie doskonale zorganizowanej i działającej przecież legalnie, ba — nawet współrządzącej de facto lewicy, trzeba brać pod uwagę... mentalność, charakter przeciętnego Włocha, no i tutejszych polityków. Takie sprawy traktują oni z większym spokojem, podejmują stosowne, choć niekiedy bardzo długie pertraktacje, w wyniku których udaje się uniknąć ekstremalnych sytuacji...

Tak było i tym razem. Po rozmowach trwających sześć tygodni, zdołano zażegnać widmo katastrofy, utworzono nowy rząd chrześcijańsko-demokratyczny z... Andreottim jako premierem.

Ale — czy zdołano rozwiązać kryzys?

Gdzie jesteś „dolce vita"?

Włochy należą do tych krajów Europy Zachodniej, z których na wiosnę tego roku napływało najwięcej bulwersujących opinię publiczną doniesień. Oczywiście była to i nadal jeszcze jest prosta konsekwencja rozpanoszenia się terroru uderzającego z brutalną siłą nie tylko w „serce państwa" — jak to było w przypadku uprowadzenia i zabójstwa Aldo Moro, ale również w tkankę gospodarczą, administracyjną, czy wreszcie w zwykłe życie przeciętnego mieszkańca „buta Europy". Przybysz z innego kraju, a już szczególnie jeden z milionów turystów nawykłych do „odbierania" Włoch jako olbrzymiego muzeum, kraju z kolorowych pocztówek i owego rozsławionego „dolce vita", jest na początku nieco zaskoczony gęstymi posterunkami policji i wojska pilnującymi autostrad, lotnisk, dworców kolejowych, banków, ba — nawet większych magazynów handlowych, choć te ostatnie stanowią domenę ochrony dla prywatnych strażników, też nie licho wyposażonych w wszelkiego rodzaju strzelające „zabawki". Zaczyna się baczniej rozglądać, słuchać, choćby przy okazji zwiedzania najświetniejszych zabytków sztuki, które wyszły z rąk człowieka. I wtedy, łącząc podziw dla geniuszu Bramantego, twórcy jednej z najwspanialszych kopuł jakie dało architekturze świata Odrodzenie dojda go może słowa kazania wygłaszanego w przyległej kaplicy. Jest w nich wiele oskarżeń pod adresem współczesnej cywilizacji, konsumpcyjnego stylu życia, nihilizmu moralnego, ale także — co ciekawe — nawet udokumentowana liczbami analiza sytuacji ekonomicznej, społecznej. Może i tak się zdażyć, że usłyszy słowa wzywające do zaciśnięcia pasa, rozwiewające złudność owej, rzekomej dolce vita — słodkiego życia pod włoskim niebem, którego ślady trudno dziś odnaleźć. Angielski tygodnik „The Economist", w kwietniu br. tak charakteryzował aktualną sytuację: „W latach 50 i 60-tych mówiono, że życie jest łatwe i piękne we Włoszech, mówiono o „dolce vita". Jadano smacznie i wykwintnie, pito doskonałe wina, miasta były wspaniałe, a ludzie zamożni mieli super szybkie, nowoczesne samochody, ubierali się elegancko, mieszkali w luksusowych willach spędzali czas beztrosko. Warstwy mniej zamożne były zadowolone z zarobków, cieszyły się życiem rodzinnym, stać je było na chodzenie do kawiarń, kin i teatrów, na przyjemne spędzanie urlopów. W okresie powojennym stopa życiowa niemal prawie całej ludności Włoch wzrastała w tempie zawrotnym"...

No cóż, jest to zbyt piękne, by mogło być w każdym calu prawdziwe. Angielski publicysta wziął pod uwagę warunki jakie wytworzyły się w tamtych latach przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, w wysoce uprzemysłowionej, północnej części Włoch, z jej centrami w Mediolanie i Turynie. Na południe od Rzymu zaczyna się bowiem owa „zaczarowana" linia dzieląca bogactwo i relatywny dostatek materialny, od ubóstwa Południa. I już wtedy na nic nie zdawały się szumnie zapowiadane programy ożywienia gospodarczego, uprzemysłowienia nie tak znowu odległych „Wiecznemu Miastu" regionów — Kampanii, Kalabrii czy Apulii, nie mówiąc już o Sycylii czy Sardynii. Miliardy lirów, jeśli nawet je wyasygnowano, trafiały nie tam, gdzie powinny się znaleźć, często — jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności — pomnażając i tak już wielkie fortuny górnych warstw klas uprzywilejowanych, bądź bardzo pazernej na pieniądz administracji i biurokracji, a Południe, zacofane choć malownicze — bo pod tym niebem i nędza wygląda nieco inaczej — wędrowało zarabiać na życie w fabrykach Północy. W połowie lat 60-tych, sam widziałem, owe kobiety ubrane w tradycyjną czerń strojów, oczekujące na mediolańskim dworcu kolejowym na swoich synów i mężów. Przyjechały tutaj po pieniądze, zarobione przez miesiąc wytężonej, stosunkowo nisko wynagradzanej, bo najprostszej, ale zawsze — pracy, która tutaj była...

Na tle tych różnic, nie spełnionych zapowiedzi i programów, prymatu bogatych nad biednymi, powstał nad Tybrem nie jeden antagonizm, nie do końca zabliźnione sprzeczności i społeczno-gospodarcze napięcia.

MEDIOLAN jest miastem, które dwa razy do roku gości u siebie przedstawicieli świata przemysłu i handlu — głównie Włoch — na tutejszych międzynarodowych targach. Jest to zresztą impreza dosyć szczególna, na której obok wielkich potentatów w rodzaju koncernu Montedison czy FIAT, występują „płotki" niemal jak z kramików handlujący „od ręki" czym tylko się da, by tylko kręcił się interes. Właśnie w takiej „oprawie" doszło do niezmiernie ciekawej dla mnie rozmowy.

KORZENIE KRYZYSU

Tak mieszkają na Południu.

Młody mężczyzna przedstawił się jako handlowiec zajmujący się tekstyliami. Interesowały go polskie tkaniny z lnu, bardzo tutaj cenione. Twierdził, że reprezentuje poważną sieć sklepów i magazynów handlowych na południu Włoch, głównie na Sycylii. Od słowa do słowa i odbiegliśmy daleko od spraw wiążących się z pokonywaniem barier budowanych przed polskimi wyrobami włókienniczymi na pewnych rynkach, ograniczeniach importowych, które występują również we Włoszech.

— No tak. Południe to ciągle zupełnie coś innego, nie to co nasycona przemysłem Lombardia. Chociaż mogło, powinno, a nawet może być inaczej. Tylko, że Rzym... Bierze wszystko, worek bez dna rozciągający swoją rozbudowaną bez końca biurokrację. Dlatego coraz częściej na Sycylii zaczyna się mówić o potrzebie autonomii, nawet formalnej niezależności. Sami będziemy lepiej się rządzić i gospodarować...

Jeszcze jeden problem na styku: Południe — reszta Włoch. Jak się też te czasy zmieniają, jak rozmaite wieją „wiatry" niepokoju, planów, a może i nadziei.

Czasy zmieniły się tak dalece, że dostrzega to dziś nie tylko konserwatywny „The Economist", notabene mając pod nosem, w swoim rodzimym kraju podobne jeśli nie bliźniacze problemy. W Północnej Irlandii wybuchają bomby i z mniejszym bądź większym natężeniem trwa terror bazujący nie tylko na różnicach wyznaniowych, choć jest on często do tego sprowadzany. Właśnie.

Podglebie

Pora oderwać się bowiem od fascynujących wprawdzie, bo sensacyjnych, doniesień z „buta Europy" i na zimno popatrzeć na źródła owego narastającego stopniowo kryzysu, który rodził się w miarę obumierania włoskiej „dolce vita" — słodkiego życia.

Nie jest przecież przypadkiem, iż stopniowa eskalacja przemocy, terroryzmu szła trop w trop tych zjawisk, które zdołały już dla siebie zdobyć miano „strukturalnego kryzysu rozwiniętych państw Zachodu". Publicysta wymienionego już tutaj angielskiego pisma „The Economist" tak to widzi:

„Jedną z głównych trudności Włoch w dziedzinie gospodarczej jest prawie całkowity brak własnych źródeł energetycznych. Włochy muszą importować ok. 110 mln ton ropy naftowej rocznie, co po gwałtownym wzroście cen ropy w 1973 roku kosztuje je blisko 10 mld dolarów. Zaledwie 15 proc. potrzeb Włoch w dziedzinie energii jest pokrywanych ze źródeł krajowych — głównie dzięki wydobyciu gazu ziemnego. Państwowy koncern ENI, który kieruje całą produkcją energetyczną we Włoszech, zamierza zbudować w ciągu 10 lat 12 elektrowni nuklearnych oraz zwiększyć czterokrotnie wydobycie węgla z kilku niewielkich kopalń na Sardynii, które dają obecnie do 500 tys. ton węgla rocznie. Budowane są też elektrownie wodne, ale cała ich produkcja pokryje zaledwie 5 do 6 proc. potrzeb energetycznych Włoch. Tak więc jeszcze przez długie lata Włochy będą musiały importować znaczne ilości ropy naftowej.

Włochy muszą także importować większość innych surowców potrzebnych przemysłowi. Muszą więc też eksportować blisko 25 proc. wytwarzanych w kraju wyrobów i usług, aby pokryć koszty importu tych surowców. W 1976 roku Bank Włoski, dzięki odpowiednim zarządzeniom finansowym zdołał zahamować import zbędnych artykułów konsumpcyjnych, które mogą być z powodzeniem wytwarzane w kraju oraz dopuścił do dewaluacji lira o prawie 23 proc., co umożliwiło utrzymanie konkurencyjności towarów włoskich na rynkach światowych. Włoskie rezerwy dewiz zagranicznych, które na początku 1976 roku spadły do niebezpiecznego poziomu 1 mld dolarów, wzrosły obecnie do około 6 mld. Jednakże zdaniem gubernatora Banku Włoskiego, Paolo Baffiego, odzyskanie równowagi finansowej nie oznacza jeszcze przywrócenia równowagi ekonomicznej kraju. Podkreśla on, że w najbliższych latach wzrost gospodarczy nie będzie przekraczał 2 albo 3 proc. rocznie, co nie wystarcza, by móc zmniejszyć liczbę bezrobotnych, która wynosi obecnie 1.800 tys. osób. Nastąpił poważny spadek inwestycji w przemyśle włoskim. Ich wartość wyniosła w 1976 roku zaledwie 17,4 proc. produktu narodowego brutto, to znaczy mniej niż w którymkolwiek z większych krajów EWG, prócz W. Brytanii...".

I dalej, już w charakterze konkluzji:

„Jeśli kryzys gospodarczy będzie trwał, terroryzm polityczny i kryminalny, którego ofiarą padł Aldo Moro, nie będzie prawdopodobnie mógł być ukrócony. Może to doprowadzić do skutków wręcz katastrofalnych".

Młodym być...

Trudno się dziwić, że w takiej sytuacji ta część społeczeństwa, która została najdotkliwiej ugodzona skutkami kryzysu, skłonna jest niekiedy akceptować lub chociażby sympatyzować z rozwiązaniami ekstremalnymi, przynajmniej w hasłach, „na zewnątrz" mogącymi zjednywać sympatyków.

Odnosi się to — niestety — przede wszystkim do młodzieży, często zdezorientowanej, ideowo niezmiernie zróżnicowanej, znajdującej się z jednej strony pod ogromną presją wielce konsumpcyjnego stylu życia warstw uprzywilejowanych, a z drugiej — w najwyższym stopniu dotkniętej najgorszą z plag społeczeństw Zachodu, bezrobociem. Jeśli przyjmie się za prawdziwą — takie dane ustalił Włoski Instytut Statystyczny — liczbę bezrobotnych na 1.800 tys. osób, to 76 proc. tej armii pozbawionych zatrudnienia stanowią dziś we Włoszech ludzie młodzi, w wieku do 29 lat. Wśród nich znajduje się kilkaset tysięcy absolwentów wyższych uczelni bądź też szkół średnich, a więc ludzi posiadających jakieś kwalifikacje czy też zawód wyuczony w szkole. Wg tych samych ustaleń, w kwietniu br. w całych Włoszech, 650 tys. osób ubiegało się o pierwszą pracę, by tą drogą uniezależnić się od rodziców, a w perspektywie — założyć własne rodziny. Niestety, bezskutecznie...

Cechą specyficzną sytuacji włoskiej młodzieży, jest też jeszcze coś innego, a mianowicie pozostawanie w kręgu własnej klasy społecznej lub też warstwy. Nie tak dawno ciekawe dane na ten właśnie temat opublikował włoski tygodnik „Epoca" stwierdzając, że: większość dzieci włoskich robotników — ponad 64 proc. — pozostaje robotnikami, w usługach lub biurach pracę znajduje ok. 12 proc., ok. 7 proc. tej młodzieży trudni się rzemiosłem lub drobnym handlem, często ulicznym, a tylko znikomy odsetek ma jaką taką szansę przebicia się do wyższych grup pracowniczych. Młodzież ze wsi — w 41 proc. przyjmuje zawód rodziców, a 43 proc. stara się o zatrudnienie w przemyśle".

W tych warunkach trudno się dziwić, że właśnie ta część społeczeństwa współczesnych Włoch, tak bardzo podatna jest na oddziaływanie rozmaitych pseudorewolucyjnych tendencji, obiecujących z reguły bez pokrycia, bądź też dla kamuflażu, wydarcie się z zaczarowanego kręgu inercji społecznej, a nawet niekiedy beznadziei. Dochodzi do tego, że np. studenci, wobec braku perspektyw, bowiem dyplom nie daje gwarancji zatrudnienia, starają się maksymalnie przedłużać czas nauki...

Luca Parolini — dyrektor do propagandy Włoskiej Partii Komunistycznej, w wywiadzie udzielonym brytyjskiemu dziennikarzowi z „The Guardian" powiedział:

— Jest rzeczą szczególnie ważną aby opozycja ze strony młodej radykalnej lewicy — którą możemy zaakceptować jako uprawniony punkt widzenia — nie przybierała formy tak częstej dziś przemocy. Nie chcemy, aby małe ale stale stosujące przemoc mniejszości, zyskiwały poparcie rozczarowanej młodzieży. Młodzi ludzie we Włoszech protestują z powodu „istniejących dramatycznych problemów". Ponad milion młodych ludzi jest bezrobotnych, zaś uniwersytety są pełne studentów, którzy nie będą w stanie po ukończeniu studiów znaleźć pracy. Jednakże nie akceptujemy sytuacji, w której usprawiedliwiony gniew młodzieży ma jednocześnie usprawiedliwiać gwałtowne, sprzeczne z normami społecznymi demonstracje tego gniewu".

Młodzi ludzie — podkreślił Luca Pavolini — muszą mieć większe poczucie odpowiedzialności, szczególnie na uniwersystetach.

„Ekstremistyczna przemoc jest sprzeczna z interesami klasy robotniczej. Nie jest rewolucyjne niszczenie komputerów w centrach naukowych, przerywanie wykładów i politycznych wieców. Tylko klasa robotnicza cierpi z powodu tego rodzaju akcji. Ludzie bogaci zawsze będą mogli dać sobie radę ze studiami, czy to jadąc na uniwersytety za granicę, czy to studiując w prywatnych college'ach we Włoszech.

Ożywienie rolnictwa jak i w przemyśle traktowane jest przez WIPK jako ważny krok w kierunku zmniejszenia bezrobocia i przywrócenia równowagi między północą i południem. W chwili obecnej Włochy importują więcej produktów rolnych niż ropy naftowej".

Trudno doprawdy być młodym pod włoskim, choć pięknym, niebem. Trudno układać życiowe plany, rozbijające się z reguły o twardą rzeczywistość struktury kapitalistycznego i jakże schematycznie podzielonego społeczeństwa.

Co dalej?

To pytanie — co dalej, jest równie często powtarzane we Włoszech, jak i owo „niente di nuovo" — nic nowego.

Po wydarzeniach związanych z porwaniem i zabójstwem przewodniczącego „Demo-christiany", rząd włoski uchwalił nadzwyczajne posunięcia, które mają zagwarantować nie tylko sprawniejsze funkcjonowanie organów policji, ale również poprawić sytuację ekonomiczno-społeczną w kraju. Podjęto m.in. decyzję dotyczącą inwestycji, rozwój różnych przedsięwzięć mających na celu ograniczenie bezrobocia. Jak doniosła prasa, prezes FIATA — Giovanni Agnelli zapowiedział, że jego firma w ciągu najbliższych 4 lat zamierza zainwestować na południu Włoch 500 miliardów lirów, by ożywić gospodarczo ten region kraju.

W Turynie trwa tasiemcowy proces „historycznych przywódców" Czerwonych Brygad. W Rzymie, Bolonii, Mediolanie nadal wybuchają bomby podkładane przez terrorystów.

Niente di nuove?

Nic nowego?

KRZYSZTOF POGORZELEC

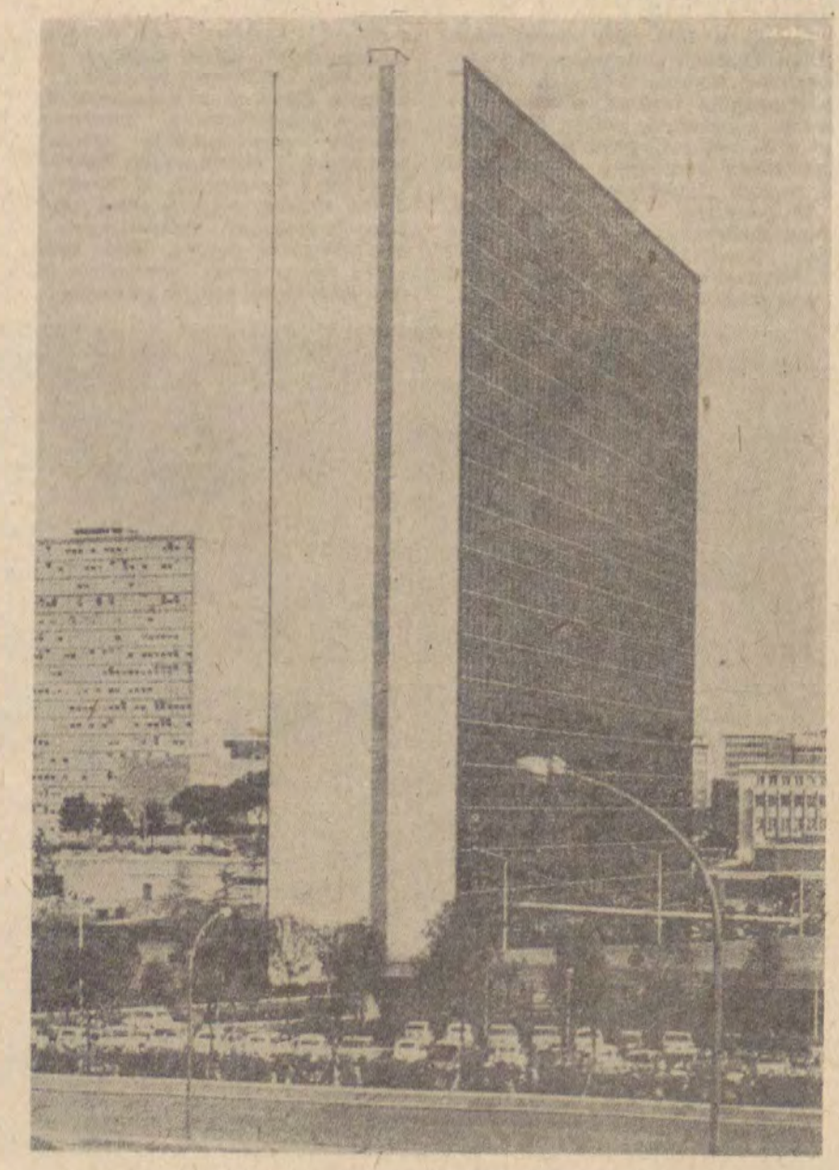

...a takie są miasta Północy.

Fot.: Archiwum

MUNDIAL '78

Z ARGENTYNY:

ZBIGNIEW KOSSEK

CZY POWTÓRZĄ SUKCES Z RFN?

(Korespondencja PA „Interpress" specjalnie dla „Odgłosów")

Trofeum, o które walczą w tym roku w Argentynie najlepsze jedenastki piłkarskie z całego świata nazywa się pucharem FIFA. Ufundowane ono zostało przez międzynarodową federację piłakrską po mitrzostwach świata w 1970 r. w Meksyku. Tam właśnie Brazylia, zdobywając po raz trzeci tytuł najlepszej drużyny, zabrała na własność słynną Złotą Nike. Fundatorem tej nagrody jest założyciel i pierwszy długoletni prezydent FIFA, Francuz, Jules Rimet. Życzył on sobie, aby Złota Nike przeszła na własność tego kraju, którego piłkarze, niekoniecznie po kolei, zdobędą trzy razy światowy prymat.

FIFA — w roli fundatora — okazała się bardziej przewidująca i oszczędna. Od mistrzostw w 1974 roku w RFN trofeum już nie może stać się na stałe czyjąś własnością. Puchar wart jest 50 tys. dolarów. Wykonano go ze złota oraz malachitu. Przez ostatnie cztery lata stał na honorowym miejscu w siedzibie Związku Piłkarskiego RFN. Przyjemnie byłoby, gdyby przez następne cztery lata to cenne trofeum zajmowało najbardziej eksponowane miejsce w lokalu Polskiego Związku Piłki Nożnej w Alejach Ujazdowskich w Warszawie... Czy jest to jednak możliwe?

Nie najlepsze oceny

Nasi piłkarze nie zebrali w pierwszej rundzie finałów entuzjastycznych recenzji. W opinii zagranicznych obserwatorów uzyskali wyższe oceny za pierwszy występ i bezbramkowy remis z RFN, niż za następne zwycięskie mecze z Tunezją i Meksykiem. Zwracano jednak uwagę na konsekwencję, z jaką biało-czerwoni powiększali swój dorobek, dzięki czemu zakończyli rozgrywki w grupie II na pierwszym miejscu, „niepostrzeżenie", ale za to wyraźnie, bo jednym punktem wyprzedzając wielkich faworytów — obrońców mistrzowskiego tytułu. Przyznajemy jednak, że nawet gdyby nasi zawodnicy zajęli drugie miejsce w grupie, to i tak należałoby uznać, że plan minimum zrealizowali. Zakładał on bowiem w pierwszej kolejności awans do półfinałowej ósemki rozgrywek Mundial'78.

Co mówi Kazimierz Deyna?

Warto przy tej okazji przytoczyć fragment wypowiedzi Kazimierza Deyny po zakończeniu pierwszej eliminacyjnej fazy mistrzostw:

— *W początkowej części finałów nie ujawniliśmy jeszcze wszystkich swych rezerw, choć oprócz RFN, także Tunezja i Meksyk okazały się wymagającymi rywalami, z którymi nie można było sobie pozwolić na ulgową taryfę. Ci, którzy nas od razu krytykowali, nie bardzo chyba uświadamiali sobie, że przyjechaliśmy do Argentyny z zadaniem rozegrania siedmiu spotkań, a nie jednego, błyskotliwego, „pod publiczkę". Mistrzostwa świata są bardzo ciężkim turniejem, a sukcesy odnosić w nim może ten zespół, który najlepiej gospodaruje siłami. Wszyscy finaliści przyjechali do Argentyny po wielomiesięcznych, żmudnych przygotowaniach z myślą o uzyskaniu jak najlepszych wyników. Przy wyrównującym się poziomie poszczególnych drużyn wygrywać „planowo" jest coraz trudniej, a my w pierwszej rundzie osiągnęliśmy to.*

Czy warto kalkulować?

Tak więc, gdy reprezentacja Polski zakwalifikowała się do półfinałów jako mistrz grupy II, zaczęto mówić, że dzięki temu mogła przystąpić do decydującej walki z... regulaminowym handicapem. Szybko bowiem obliczono, że przy spodziewanej wyrównanej rywalizacji wystarczy dwukrotnie zremisować: z Argentyną w pierwszym meczu i z Brazylią — w trzecim, natomiast wygrać z Peru — w drugim, by w przypadku np. remisu między Argentyną a Brazylią zająć pierwsze miejsce. Regulamin przewiduje bowiem, że przy równej ilości punktów i różnicy bramek, o awansie do finału decyduje lepsza pozycja, wywalczona w rundzie eliminacyjnej.

Oczywiście te wyliczenia są trochę karkołomne, a teoretyczne „ustalenia" już w znacznym stopniu zawiodły w pierwszej rundzie mistrzostw i to między innymi samych gospodarzy — Argentyńczyków, którzy nie dopuszczali wcześniej możliwości zajęcia drugiego miejsca w swej grupie. Oni „rezerwowali" sobie pierwsze. W półfinałach mieli grać także na swym reprezentacyjnym stadionie River Plata w Buenos Aires. Tymczasem zmuszeni zostali do bardzo niechętnie przez siebie widzianej przeprowadzki do Rosario już na pierwsze spotkanie z Polakami...

Warto jednak na wszelki wypadek znać różnego rodzaju regulaminowe ewentualności. Jacek Gmoch, który już dawno powiedział, że jego drużynę stać na powtórzenie sukcesu sprzed czterech lat, uważa, iż kalkulować można, czasami nawet trzeba — ale decydujące znaczenie ma przede wszystkim sama gra i osiągane tą drogą wyniki. Kalkulacje kończą się różnie. Najlepszym tego przykładem były perturbacje po zakończeniu pierwszej rundy mistrzostw, związane z regulaminowymi niuansami. Według dwóch paragrafów o pierwszeństwie w grupie przy równej ilości punktów i różnicy bramkowej, miała decydować większa ilość goli zdobytych. Tymczasem paragraf 26, punkt 7... zaprzeczał temu i nakazywał przeprowadzenie losowania. Wykorzystali to oczywiście Brazylijczycy, którzy chcieli w ten sposób wykorzystać za wszelką cenę ostatnią szansę przeniesienia Brazylii do drugiej grupy półfinałowej na miejsce Austrii, co stwarzałoby możliwość doprowadzenia do ewentualnego finału z udziałem dwóch zespołów Południowej Ameryki. Nie udało się.

Byli w Argentynie rok wcześniej

Jacek Gmoch nie przywiązuje większej wagi do zakulisowych manewrów.

— W *przygotowaniach naszej drużyny — powiedział — uwzględniano przecież możliwość gry ze wszystkimi finalistami mistrzostw. To była właśnie owa potrzebna kalkulacja, przy której nie ponosi się ryzyka. Jadąc do Argentyny musieliśmy brać w rachubę konfrontacje ze wszystkimi trzema rywalami z Południowej Ameryki.*

Polski selekcjoner i cały sztab szkoleniowo-organizacyjny naszej reprezentacji przewidział zresztą wiele. Rok temu podczas południowo-amerykańskiego tournée grała ona bowiem z Argentyną, Peru i Brazylią — i to w takiej samej kolejności, w jakiej przyszło występować przeciw nim teraz w Mundial'78. Już wcześniej zebrano więc wiele potrzebnych informacji i doświadczeń uzupełnianych na bieżąco w czasie tych mistrzostw.

Teraz nadszedł moment ich wykorzystania. Oczywiście sukcesu to jeszcze nie zapewni, bo rywale też starali się czynić podobnie. Można jednak przeżywać kolejne występy polskich piłkarzy ze świadomością, że w przygotowaniach czyniono wszechstronne, optymalne wysiłki, by możliwie najpomyślniej reprezentowali oni polski futbol w Argentynie.

Bank informacji

Zbieranie informacji o przeciwnikach nie jest wymysłem ostatnich lat — zbierał je już 15 lat temu były trener naszej reprezentacji, Ryszard Koncewicz, który obecnie jest także obserwatorem tu, w Argentynie. Wtedy zajmował się on tym z reguły sam. Dziś powoływane są do takich obserwacji całe sztaby ludzi.

Przebieg spotkań rejestruje się przy pomocy magnetowidu, a zebrany materiał jest gruntownie studiowany i analizowany. Rywale otrzymują o sobie taką ilość informacji, że znają się „na pamięć". Nie wpływa to na atrakcyjność piłkarskich widowisk, ale futbol broni się nadal przed grożbą całkowitego zakodowania, dostarcza niespodzianek, o czym przekonały nas także argentyńskie mistrzostwa.

Jak będzie?

Pytałem obserwatorów tak licznie przybyłych na Mundial'78, co sądzą o tej imprezie?

— *Nie stoi na tak wysokim poziomie, jak poprzednie finały i jest mniej interesująca* — odpowiadali zgodnie. — *Pada coraz mniej bramek, a gra jest bardziej statyczna.*

Jest w tym na pewno trochę racji, choć z konkretnymi analizami i ocenami trzeba się wstrzymać do zakończenia mistrzostw. W decydującej fazie zaczyna się już gra na serio. Nikt niczego nie może ukrywać. Nie ma oszczędzania się, wymagana jest gra „totalna" z zaangażowaniem wszystkich sił — gra mądra i skuteczna, mogąca wytrącić rywalowi najgroźniejsze jego atuty.

Dlatego nie można odpowiedzieć na postawione pytanie, czy polscy reprezentanci przywiozą do kraju najokazalsze trofeum mistrzostw świata. Na razie jednak najważniejsze jest to, że znaleźli się w gronie ośmiu najlepszych drużyn, toczących decydującą rywalizację, której stawką jest właśnie puchar FIFA.

Foto: Archiwum

SPRZED TELEWIZORA

BOGDA MADEJ

„W ZASIĘGU NASZYCH MOŻLIWOŚCI?"

Zbigniew Kossek w swojej korespondencji z Argentyny postawił pytanie, które nurtowało wszystkich kibiców. Pisał on tuż po meczu z Meksykiem, kiedy można było się cieszyć z tego, że polscy piłkarze zakwalifikowali się do drugiej tury rozgrywek. Wtedy właśnie Kazimierz Deyna był uprzejmy powiedzieć, że „nie ujawniliśmy jeszcze wszystkich swych rezerw". Zbigniew Kossek jest niewątpliwie w dużo lepszej od nas sytuacji, gdyż może podejść do Kazimierza Deyny i zapytać, dlaczego nie strzelił bramki, która mogła mieć dla polskiej drużyny wagę złota lub srebra?

Siedząc po nocach przed telewizorami jesteśmy coraz bliżsi odpowiedzi na pytanie, które w tytule swojej korespondencji z Argentyny postawił Zbigniew Kossek. Całą odpowiedź będziemy znali już w środę, 21 czerwca, ale cykl wydawania „Odgłosów" nie pozwoli mi na jej opublikowanie. Muszę więc w swoich rozważaniach opierać się na tym, co widzę na telewizyjnym ekranie. A widać na nim dużo.

Siadając do oglądania meczu Polska — Argentyna byliśmy przekonani, że — jak to się mówi w piłkarskim żargonie — Argentyna jest w zasięgu naszych możliwości. I polscy piłkarze starali się robić wszystko, co tylko mogli, aby potwierdzić to teoretyczne założenie. Jacek Gmoch w swoich wypowiedziach, też dawał do zrozumienia, że „będzie lepiej". Uśmiechaliśmy się więc do niego, jak w piosence, która nakazuje: „uśmiechnij się! jutro będzie lepiej". Ale było gorzej.

Wspominałam już, że nasze braki z całą bezczelnością odsłonili piłkarze tunezyjscy. Mecz z Argentyną potwierdził tylko te spostrzeżenia. Podkreślali to zresztą w swoich relacjach zagraniczni komentatorzy. Polski zespół jest mało skuteczny w ofensywie, a i w obronie popełnia błędy, które kosztują go później wiele wysiłku. W meczu z Argentyną błędy te kosztowały 2 punkty i 2 stracone bramki. Nie bez winy był tu również Jan Tomaszewski, który w Argentynie nie przypominał już Jana Tomaszewskiego z Monachium, mimo, że kilka razy ładnie się znalazł.

Mecz z Peru, choć wygrany jedną bramką, w zasadzie nie zmienił naszych poglądów o grze polskiej drużyny. Można już zupełnie spokojnie powiedzieć, że jest to drużyna, która nie ma dobrej obrony i dobrego ataku. Dobra jest jedynie druga linia i to pod warunkiem, że grają w niej Adam Nawałka i Zbigniew Boniek, którzy swoją pracowitością i bieganiną nadrabiają błędy Dostojnego Jubilata — Kazimierza Deyny.

Kazimierz Deyna szczyt nieporadności osiągnął w meczu z Peru. Jego podania stały się wręcz precyzyjne, jak chodzi o trafianie pod nogi przeciwników, lub tam, gdzie nikogo nie było. Jacek Gmoch z uporem godnym lepszej sprawy nakazał egzekwować wszelkie rzuty właśnie celującemu w niecelności Kazimierzowi Deynie. A ten robił to z uporem również godnym lepszej sprawy. Wykopując piłkę z rogu, podawał ją zawsze tam, gdzie nikogo nie było. Szczytem jego osiągnięć był karny w meczu z Argentyną, karny podany prosto w ręce bramkarza.

Andrzej Szarmach — główką w dawnym stylu — zapewnił zwycięstwo w meczu z Peru. Ale to wcale nie zmienia faktu, że był na boisku ospały, nieporadny, nieprecyzyjny. Cztery lata temu Andrzej Szarmach strzelił 5 bramek. Cztery lata temu po 5 meczach polska drużyna miała 15 bramek strzelonych i tylko 4 stracone. Obecnie po 5 meczach nasza drużyna ma 5 bramek strzelonych i 3 stracone. To chyba najlepiej demaskuje skuteczność naszego ataku i skuteczność naszej obrony. Samą drugą linią meczy się nie wygrywa.

Jacek Gmoch udowodnił, że jest człowiekiem upartym. Zupełnie nie wiadomo po co, przez dwa mecze trzymał na ławce Zbigniewa Bońka, który nie tylko strzelił dla polskiego zespołu 2 bramki, ale zaraz po swoim występie na boisku otrzymał bardzo wysoką ocenę od zagranicznych specjalistów. Mało tego, został — jako jedyny polski piłkarz — typowany do międzynarodowej drużyny asów. Czy decyzja Jacka Gmocha trzymania go na ławce była słuszna? Jacek Gmoch widać bardziej wierzy w nazwiska, które wiążą się z przeszłością polskiej piłki nożnej, niż w to, co ma pod ręką. Dlaczego na przykład siedzi na ławce Włodzimierz Mazur? A przecież wiadomo, że potrafi strzelać. Dlaczego ostatnio, tylko na kilka minut wchodzi na boisko Włodzimierz Lubański? Toż widać, że Włodzimierz Lubański i Zbigniew Boniek umieją ze sobą grać, rozumieją się i zawsze z tej współpracy może wyjść coś dobrego dla polskiej drużyny. Można jeszcze zadać kilka innych pytań...

Trener Holendrów — Ernst Happel i trener zespołu RFN — Helmut Schoen nie bali się debiutantów i dobrze na tym wyszli. Wprawdzie w grupie „A" przed ostatnim spotkaniem sytuacja nie jest wyjaśniona, gdyż Holandia i Włochy mają po 3 punkty, ale RFN gra następny mecz z rozbitą już Austrią. Piłkarze RFN, którzy grali do tej pory ostrożnie, nie angażując się zbytnio w toczone pojedynki, dopiero w spotkaniu z Holandią pokazali na co ich stać. Można więc zakładać, że z Austrią pójdzie im łatwo. Holandia z Włochami będzie chyba miała trudniejszą przeprawę. Włochów powstrzymali jednak piłkarze RFN. Holendrzy mają więc również sytuacje ułatwioną, choć niełatwą. Można zatem zupełnie spokojnie rozważać szanse ich wyjścia z grupy i awansowania do finałów Mundial — 78.

A w naszej grupie? Optymiści mówią, że nic jeszcze nie jest stracone i trzeba tylko wygrać mecz z Brazylią, a możemy również znaleźć się w finale. Teoretycznie sprawa jest jasna. Taka możliwość istnieje. Aby jednak teoretyczne założenie można było przekształcić w rzeczywistość, trzeba wiele potu wylać na boisku. Niektórzy rzeczywiście biegają. W meczu z Peru próbował nawet biegać Dostojny Jubilat — Kazimierz Deyna. Pamiętał jednak cały czas o swoim dostojeństwie i kiedy przypadało mu bić rzut rożny, kroczył do niego jakby spacerował sobie w Alejach Ujazdowskich. Spacerkiem meczy się nie wygrywa. Być może Kazimierz Deyna chce w ten sposób zademonstrować, że jesteśmy spokojni o wynik, że dla nas pokonać Peru to jakby odbyć spacerek. Ale te gesty i demonstracje przeczą temu, co dzieje się na boisku.

W meczu Argentyny z Brazylią można było dostrzec wiele chaosu, fauli, żółtych kartek, solowych występów, tylko mało było w tym myśli, zespołowej gry, dobrego futbolu. Południowym Amerykanom to się bardzo podoba. Ich sprawa, ich gust, ale dla nas wniosek z tego, że Brazylia znów jest w zasięgu naszych możliwości. Pytanie tylko, czy będą to możliwości teoretyczne, czy praktyczne.

A poza tym kochani, jeśli nie zdobędziemy medalu w Argentynie, to przecież świat się nie zawali. Za 4 lata znów będą kolejne mistrzostwa w Hiszpanii, a jeszcze przedtem mistrzostwa Europy i Olimpiada. Życie stwarza nam możliwości zrehabilitowania się. Trzeba więc z żywymi naprzód iść, a nie stroić się w wieńce ze zwiędłych laurów. Wszystko jeszcze przed nami.

recenzje

SEN O JULIETCIE

Z olbrzymią satysfakcją odnotować wypada fakt, iż łódzka scena operowa stała się miejscem polskiej prapremiery. Teatr nasz wystąpił z pierwszym w kraju przedstawieniem JULIETTY Bohuslava Martinu. Dzieło to odnaleźć można w repertuarze wielu najwybitniejszych europejskich teatrów operowych, a dziś, w czterdzieści lat po jego prawykonaniu, które odbyło się w 1938 roku w Pradze prezentuje się ono polskiej publiczności przygotowane muzycznie przez Mieczysława Nowakowskiego, w ciekawej inscenizacji Ladislava Sztrosa.

„Julietta" to dzieło zrodzone z niezwykłej inwencji twórczej Bohuslava Martinu — wybitnego i mimo wyraźnych w jego dorobku artystycznym wpływów burzliwej epoki, w jakiej działał, oryginalnego kompozytora.

Ta szczególna oryginalność czeskiego twórcy, na którego kompozycjach zaważyły liczne nurty kształtujące muzykę naszego wieku polega między innymi także i na tym, że w jego dziełach owe obowiązujące w dwudziestoleciu międzywojennym tendencje i mody stopiły się w całość będącą nową, cenną wartością. Tu więc szukać należy przyczyn uznania, z jakim twórczość autora „Julietty" spotykała się już od początku swego istnienia. Twórczość ta będąca kontynuacją zdobyczy bliskiej Bohuslavowi Martinu awangardy muzycznej początków dwudziestego wieku urzeka jasnością i logiką, precyzją rysunku i kształtu dźwiękowego, zwraca też uwagę elastycznością i znaczną giętkością muzycznego języka. Elegancja i czystość formy muzycznej, ta właśnie wspomniana wyżej logika konstrukcji harmonicznej sprawiła, iż chętnie określamy twórczość Martinu mianem neoklasycznej. Wymienionymi tu cechami, owa jasnością i muzyczną precyzją odznacza się także „Julietta" — najbardziej ukochane dziecko swego kompozytora. Skomponowana w roku 1936 do końca życia swego twórcy stanowiła nie tylko przedmiot jego stałego zainteresowania, ale też i nieustannej pracy.

Znany w stosunku do tej opery pietyzm kompozytora sprawił iż powstało dzieło niezwykłe. Martinu jest także autorem jego libretta, co poza zwykłymi względami o tyle godne jest podkreślenia, że wzajemny związek muzyczny formy z jej literacką i dalej — filozoficzną treścią jest nierozerwalny i obydwie płaszczyzny tego utworu zależą od siebie w znacznym stopniu.

Tematem tej opery, dla której źródłem inspiracji stała się sztuka Georgesa Neveux pt. „Julia czyli sennik", sprawą wokół której toczy się jej dość skomplikowana (zwłaszcza w płaszczyźnie czasu i sposobu operowania nim) akcja, jej zasadniczym problemem poruszonym przez kompozytora jest problem mitu. Mit ten skonkretyzował twórca postacią kobiety, której imię od wieków jest symbolem wyśnionej, a niespełnionej miłości, naszego o wielkiej miłości wyobrażenia jawiącego się w snach i niczym sen ulotnie istniejącego czasem na jawie.

Dla wyrażenia wszystkich związanych z tym mitem treści posłużył się kompozytor niezwykle szerokim wachlarzem środków muzycznych. Zróżnicowane rytmy, zmieniająca nastrój kolorystyka, kontrasujące ze sobą i kontrastowaniu służące brzmienia — oto środki, dzięki którym uzyskał twórca ten niezwykły efekt polegający na zatarciu granic, jakie dzień i jawę oddzielają od lotnych i nieuchwytnych marzeń sennych.

Utwór Martinu nie należy do łatwych, wymaga przy tym od swego odbiorcy pewnego przygotowania muzycznego, które pozwoli mu odebrać wszystkie niuanse kryjące się w partyturze. Mniej przygotowany widz właściwie odbierze „Juliettę" tylko wtedy, gdy rzecz zaprezentowana mu zostanie w takim kształcie scenicznym i z taką perfekcją wykonawczą, które w pełni odpowiadać będą muzycznemu i literackiemu zapisowi tego niezwykłego dzieła.

Na scenie łódzkiego Teatru Wielkiego zostało ono wystawione z dużą starannością. Świetnie przygotowane muzycznie przez Mieczysława Nowakowskiego znalazło znakomitego inscenizatora w osobie Ladislava Sztrosa, którego dziełem jest także rrapująca oprawa scenograficzna. Ciekawe kostiumy zaprojektował Adolf Wenig.

To przedstawienie z pogranicza jawy i snu zwraca szczególną uwagę konsekwencją z jaką Ladislav Sztros zrealizował skomplikowany zamysł twórczy kompozytora. Płynne przejścia między poszczególnymi, różniącymi się sposobem teatralnego istnienia scenami godne są najwyższego uznania. Pomagają w ich osiągnięciu precyzyjnie określone zadania aktorskie, z których dobrze wywiązują się wszyscy wykonawcy. Z olbrzymiego zadania, jako że kreowana przez tego artystę partia jest osią muzyczną i dramaturgiczną całego spektaklu poprawnie wywiązał się Tadeusz Kopacki. Znakomita natomiast wydała mi się tego dnia Delfina Ambroziak najcelniej bodaj trafiającą swą kreacją wokalną i aktorską w poetykę spektaklu. Ta para wykonawców świetnie rozegrała swą piękną scenę nieistniejących wspomnień w drugim akcie przedstawienia. W scenie tej bardzo podobał się także Zdzisław Krzywicki (Handlarz wspomnień). Wysoka ocena należy się również Alicji Pawlak kreującej rolę Małego Araba i Adamowi Dulińskiemu (Komisarz, Listonosz, Gajowy i Urzędnik). Jeden z ciekawszych fragmentów spektaklu zawdzięczamy Alicji Borkowskiej, Halinie Romanowskiej i Jadwidze Pietraszkiewicz (Pan I, Pan II, Pan III). Ciekawe wokalnie i aktorsko postacie stworzyli Tadeusz Gawroński, Eugeniusz Nizioł i Stanisław Michoński. Podobały się także Krystyna Rorbach i Ryszard Racewicz. Z równym powodzeniem wystąpili w tym spektaklu także: Maria Karczmarkiewicz, Elżbieta Jeżewska, Teresa Ciesielska, Ryszard Czgała, Tomasz Fitas, Franciszek Przestrzejski, Stanisław Heimberger, Włodzimierz Zalewski, i Jerzy Rynkiewicz.

Foto: Chwalisław Zieliński

Niech fakt, że nazwiska te wymieniam „jednym tchem" będzie znaczący pozytywnie.

Na scenie naszej opery znów pojawiło się interesujące przedstawienie. Trudno jednak w momencie jego omówienia nie podzielić się refleksją, iż większym byłoby ono sukcesem swoich twórców, gdyby nie rezygnując z wierności kompozytorowi i duchowi jego dzieła przedstawili nam „Juliettę" w bardziej zwartej — zwłaszcza w kontekście sygnalizowanego tu czytelnikowi stopnia trudności tego dzieła — formie scenicznej. Spektakl ten, acz naprawdę ciekawy jest bowiem cokolwiek nużący i może pewne drobne skróty ustrzegłyby go przed tym określeniem pozostawiając same pozytywy.

EWA PANKIEWICZ

Zapiski kronikarza

POŻEGNANIE Z SEZONEM

„Mundial-78" przytłoczył wszystko, a sezon teatralny, który jeszcze w maju zdawał się toczyć dość żwawo, nagle przygasł i praktycznie dobiegł końca. Teatry zaczęły gęsto wystawiać przedstawienia dla dzieci, bądź przesuwać spektakle na godzinę 18 co zresztą zrozumiałe i rozsądne bo grać bez widza, dla samych tylko statystycznie wykazywanych przedstawień, doprawdy nie warto.

I tu natychmiast przypomniał mi się Adam Hanuszkiewicz, który przed piłkarskimi mistrzostwami świata w RFN smętnie obwieszczał grupce teatralnych krytyków że jeżeli wszystko pójdzie dobrze a Polacy wyjdą z grupy, będzie bardzo źle bo teatry zaczną świecić pustkami — Na tę przypadłość — kontynuował mistrz Adam — postanowiliśmy przygotować lekarstwo, spektakl przeznaczony przede wszystkim dla ludzi starszej daty, może nawet z żywą trawą albo z prawdziwymi kaczkami pływającymi po jeziorku... I jak powiedział tak zrobił realizując „Miesiąc na wsi" Turgieniewa, na który bardzo długo po mistrzostwach nie można było w ogóle dostać biletów.

No ale Hanuszkiewicz uprawia „teatr totalny" walczy o publiczność niemal tak zaciecie, jak piłkarze o zwycięstwo. Hondy to hondy, kaczki to kaczki, wszystkie chwyty dozwolone, byle tylko był tłok na widowni. I tak jest chyba dobrze, bo w ostatecznym rachunku jedyną realną statystyką jest statystyka odnosząca się do publiczności, widzów, którzy rzeczywiście obejrzeli ten czy inny spektakl, wynosząc z niego jakąś sumę artystycznych wrażeń. Zestawienia typu: „sztuk klasycznych wystawiono w sezonie tyle, współczesnych — tyle, w tym autorów polskich — tyle, obcych — tyle", zawsze budziły we mnie sporo wątpliwości, jako mówiące przede wszystkim o produkcji, nie zaś o konsumpcji. A jeżeli produkcja — nawet jakościowo dobra — jest „nie trafiona", nie odpowiadająca potrzebom rynku? Co wynika z rachunku: jeden „Koriolan" (klasyka obca), jeden „Znachor" (sztuka polska, ale co dalej nie wiem, bo klasykiem Dołęga-Mostowicz chyba jeszcze nie został), gdy na moje wyczucie „Znachora" obejrzało kilkakroć więcej widzów, niż „Koriolana"?!

Problem można rozszerzyć, bo dla krytyka jakość sezonu mierzy się przede wszystkim tzw. wydarzeniami, gdy widz patrzy na sprawę inaczej, jego interesuje przede wszystkim jakaś średnia przeciętna, to, czy w ciągu roku udało mu się obejrzeć kilka przynajmniej przedstawień, które go zainteresowały, zabawiły bądź wzruszyły I te rachunki mogą być różne, bo gdy sięgniemy w przeszłość, w lata wspaniałego rozbłysku Teatru Nowego — a więc pierwszej dyrekcji Kazimierza Dejmka — statystyka przypomni nam brutalnie, że z frekwencją w tym głośnym na całą Polskę teatrze było nie najlepiej.

Sięgam do książki Marii Czanerle „Teatr pokolenia" i wypisuję z aneksów, że choć pamiętna „Brygada szlifierza Karhana" (grana jeszcze w teatrzyku przy ul. Daszyńskiego, dziś Tuwima) miała 153 przedstawienia i 61 tys. widzów, to już „Łaźnia" miała 63 przedstawienia i 42 tys. widzów, „Święto Winkelrida" 82 przedstawienia, ale tylko 50 tys. widzów, „Ciemności kryją ziemię" 50 przedstawień i zaledwie 25 tys. widzów, „Żywot Józefa" 66 przedstawień i 36 tys. widzów, no i tak dalej, i tak dalej.

Czas pokaże, czy czołowe realizacje Dejmka z ostatnich sezonów zajmą równie trwałe miejsce w historii polskiego teatru, ale jest coś ogromnie radosnego w fakcie, że scena ta zdobyła sobie krąg wiernej widowni — w tym również widowni studenckiej — i zdaje się go z wolna, lecz systematycznie rozszerzać. Kredyt uzyskany przez teatr u widzów objął nawet występy gościnne, wszystko, co zostaje pokazane przy ul. Więckowskiego, ma „w ciemno" zapewnione kompiety na dobrych kilka przedstawień.

Mimo tych sukcesów — dopowiedzmy to wreszcie — sezon udał się chyba Dejmkowi nieco gorzej niż poprzednie. „Tartuffe czyli Oblupnik" Molicra musiał się chyba z biegiem przedstawień nieco rozsypać, bo na premierze szczerze bawił, a po gościnnych występach czytało się zarzuty, że jakby mało śmieszny... „Mądremu biada" Gribojedowa zostało zrealizowane słabiutko, a niemal cały zespół miał poważne trudności z wierszem. „Sędziowie" nie stali się wydarzeniem, mniej niż oczekiwaliśmy przyniosła również „Zwłoka" Dürrenmatta, choć polska prapremiera godna była z pewnością rzeczowego — choćby nawet krytycznego — odnotowania, nie zaś niewybrednych zaczepek...

Zwolnił nieco tempo Teatr Powszechny, mający zresztą ogromny repertuarowy zapas z sezonów minionych, z wciąż granym „Szwejkiem" na czele. Nie najlepszym przedstawieniem był „Ryszard III", choć o tytułowej roli Kłosowskiego nadal uparcie sądzę, że została poprowadzona przynajmniej bardzo interesująco. Kilku młodych aktorów z Ryszardem Mrozem na czele udatnie zdało trudny egzamin w „Locie nad kukułczym gniazdem" Kesey'a; zobaczymy też, co przyniesie „Przedstawienie „Hamleta" we wsi Głucha Dolna" Bresana, która to premiera powinna się odbyć gdzieś w dniach najbliższych.

Szekspir w tym sezonie w ogóle zresztą nie miał szczęścia, bo nie bardzo udał się również „Koriolan" Janowi Maciejowskiemu, miejscami pięknie pomyślany, lecz zimny, pozostawiający widzów obojętnymi... Znakomitym przedstawieniem była natomiast „Największa świętość" Iona Druce w precyzyjnej reżyserii Maciejowskiego i ze świetną rolą Wirgiliusza Grynia, sprawiedliwie nagrodzoną „Srebrnym pierścieniem"; niestety ten pastelowy, refleksyjny spektakl nie cieszył się większym powodzeniem u publiczności.

W mnogości pozostałych przedstawień na wszystkich scenach Teatru im. Jaracza nie było poza tym pozycji, którymi warto by się dłużej zajmować; intrygująco wygląda jedynie sprawa „Damy kameliowej", granej od dawna, lecz nie mającej jeszcze za sobą premiery prasowej, co rodzi brzydkie podejrzenie, że teatr woli raczej źle zacząć sezon przyszły niż podobnie zamknąć bieżący...

Iżby jednak zakończyć ten felieton pogodnym akcentem, dodajmy śpiesznie, że Jan Perz odchodząc z Teatru Ziemi Łódzkiej na dobrze zasłużoną emeryturę (dyrektorską, lecz — miejmy nadzieję — nie artystyczną, niech nam długie jeszcze lata reżyseruje i tłumaczy sztuki!) zamknął sezon ciekawą realizacją „Ogrodnika z Tuluzy" Kaisera, zaś późną wiosną wszystkie oczy zwrócone były na Teatr Wielki, w którym dyr. Bohdan Wodiczko co miesiąc dawał znakomite premiery, goszcząc jednocześnie zagraniczne baletowe i operowe zespoły.

O tym z pewnością napisze jednak szerzej moja urodziwa koleżanka po recenzenckim piórze, pozostaje więc pożegnać się z Czytelnikami gdzieś tak do następnego sezonu. Chyba, że jakiś temat sam nawinie się pod rękę — nigdy nic nie wiadomo, proszę państwa, nigdy nic nie wiadomo...

JERZY PANASEWICZ

TRUDNY PORTRET

Omówienie pokonkursowej wystawy „Łódź — portret miasta" trzeba zacząć od porównania: trzeci już pokaz malarstwa dedykowanego naszemu miastu można uznać za najlepszy z dotychczas oglądanych. Przyczyniła się do tego nieco większa liczba uczestników a także wyraźniejsza różnorodność stylów i konwencji. Krąg realistów tradycyjnie malujących Łódź poszerzyli młodzi twórcy, głównie spod znaku tzw. metafory.

Mimo to wystawa nie jest udana. Oglądając prace nie sposób oprzeć się wrażeniu, że łódzki temat jest albo zbyt trudny albo też... nazbyt łatwy. Organizatorzy konkursu nieopacznie narzucili pewną konwencję, tytułując go „Portret miasta". Portret — a zatem realistyczny lub quasi-realistyczny widok starego podwórka, kilku kominów (dymiących lub bez dymu), kamienic, domków, i tak dalej. Na pewno jest to „łódzkie", choć w sposób dość stereotypowy.

Bardziej tolerancyjni widzowie odczytają te płótna jako „artystyczną dokumentację". Odkrywaniem ciemniejszych i bardzo łódzkich stron architektury miasta rządzi jednak irytująca niekonsekwencja: jeśli fragment typowej dla Łodzi „studni" lub fabryczny pejzaż z malarskiego punktu widzenia jest równie interesujący jak (dla przykładu) poorana zmarszczkami twarz staruszki — to później, jakby wstydliwie, jest on w czasie obróbki podkolorowany, wyretuszowany, słowem — ucukrzony.

Często obok tego, co jedynie umownie nazywane jest „starym" — pojawia się „nowe"; przeważnie jako eksploatowany od dawien dawna kontrast odrapanej ruderki na pierwszym planie i nowych bloków w tle.

Uwagi te nie są kierowane pod adresem wartości malarskiej płócien, lecz raczej złudnych przekonań samych twórców, że w tej opozycji kryje się jakieś napięcie, mające zatrzymać uwagę widza. Odkrywanie takich kontrastów jest codziennym doświadczeniem łodzian, którzy dzielą się na mieszkańców starych i nowych domów i którzy widzą te obrazy przez własne okna, w naturze. To samo doświadczenie uczy, że miasto było zawsze i będzie nadal pełne opozycji. Za kilkadziesiąt lat dzisiejsze nowe budynki ustąpią miejsca jeszcze nowszym. Warto jest ową zmienność dokumentować w artystycznej formie, choć nie wiem, czy akurat w konwencji realizmu.

Każda epoka posiadała zespół właściwych sobie form kreacji. Łódź rodziła się w dobie realizmu i naturalizmu w malarstwie, które do dzisiaj karmi się jej „złą urodą". Ale bloki, rzędy konwencjonalnych okien i balkonów, kolorowe płaszczyzny tynków; wszystko co bez reszty należy do współczesnej Łodzi — czy nie wymaga nowych środków wyrazu i nowych technik? W lepszym położeniu jest, oczywiście, film, telewizja czy fotografia. Lecz szans malarstwa także nie można przekreślać.

Kolejną banalną prawdą, którą odkrywa wystawa, jest eksponowanie włókienniczego rodowodu miasta. Mamy więc tu widoki fabryk, kwiatowe kompozycje jak deseń na tkaninie i układanki z motków i maszynowych trybów.

Organizatorzy tego potrzebnego konkursu nie ponoszą odpowiedzialności za ów stan rzeczy. Na pewno nie pomogą także zmiany formuły czy kryteriów. Raz jeszcze potwierdziły się obawy, że twórczość na tematy łódzkie wykorzystuje najczęściej stereotypy lub, co najwyżej aktualne lecz wyeksploatowane prawdy. Nie jest łatwo namalować syntetyczny portret miasta, w dodatku obarczonego ikonograficzną tradycją. W podobny sposób na obrazie Krakowa — wielkiego miasta z przemysłową Nową Hutą — ciąży Lajkonik i wieże Mariackiego Kościoła, a z Poznaniem najłatwiej identyfikuje się Koziołki na wieży staromiejskiego ratusza.

Na tym tle lepiej dają się zauważyć prace, których autorzy potrafili jednak spojrzeć na temat mniej konwencjonalnie. Obraz Jana Dziewałtowskiego-Gintowta, choć nie najlepszy malarsko, jest mimo to jedynym, który pokazuje wielkomiejską Łódź — jej centrum, rozjarzony neonami fragment nowoczesnego miasta. W ten sam sposób zredagował zestaw trzech obrazów Tadeusz Majda (laureat konkursu sprzed dwóch lat). Jego szeroko malowane „weduty" również pokazują miejskość Łodzi — tyle że sposób obrazowania jest nazbyt delikatny, jakby odrealniony; może nawet są to pejzaże nie tyle Łodzi co miasta w ogóle. Dalej wyróżniłbym Edwarda Habdasa, któremu za pomocą stonowanej czerwieni udało się wywołać refleksyjny nastrój w widoku Białej Fabryki.

Najlepszym obrazem całej wystawy jest niewątpliwie „Trasa" Zdzisława Waltera. Oglądamy tu przeniesiony fotograficznie, superrealistyczny a jednocześnie przykryty szarą patyną widok rozbieranej rudery — w którą gwałtownie wbija się ostry klin czarnego asfaltu rozdzielonego pasem. Mimo wszystkich zastrzeżeń wobec stereotypowego zderzenia „starego" z nowym obraz ten jest metaforyczną syntezą przemian miasta, w którym nowoczesność brutalnie rozbija dawne struktury. Ten kierunek uogólnienia jest najbliższy prawdy a przecież nie traci niczego z przenośni. Podobnie sformułował temat „Stare i nowe" Jerzy Tadeusz Mróz, którego obraz wieżowców Śródmiejskiej Dzielnicy i domków na przedpolu składa się z symultanicznie nałożonych i metodycznie ponumerowanych, barwnych slajdów.

Sądzę, że długo jeszcze przez kolejne wystawy łódzkiego pejzażu będą się przewijały motki bawełny i ceglane fabryczne kominy. Może wtedy, gdy już będziemy oglądać Łódź w pełni nowoczesną, zasłużą tym bardziej na pełny sentyment. Na razie jednak warto, jak sądzę, namawiać artystów by szukali nowych profilów miasta lub przynajmniej starali się, by portret miasta odpowiadał w pełni rzeczywistości.

ANDRZEJ MAJER

WIECZÓR FASCYNACJI

To był wieczór fascynacji.

Powieść Marguerite Duras „O wpół do jedenastej wieczór latem" wydana została u nas w przekładzie polskim przed z górą piętnastu laty. Być może przeszła dość niepostrzeżenie, choć już przedtem autorka dała się nam poznać jako scenarzystka jednego z najwspanialszych obrazów filmowych w historii kina „Hiroszima, moja miłość" Alaina Resnais. I oto teraz dzięki Danielowi Bargielowskiemu specyficzna atmosfera pisarstwa Duras zabłysła migotliwym, niepokojącym światłem na ekranach naszych telewizorów.

Specyficzna atmosfera pisarstwa Duras... Uroda jego tkwi z pewnością w nastroju, nie w fabule. Ta ostatnia jest przez autorkę traktowana jedynie jako pretekst, świadomie ledwo zarysowana kapryśnym, niedbałym konturem. Trójkąt małżeński! Wydawałoby się temat wyeksploatowany bez reszty, nie dający szansy dalszego zgłębiania obrazu psychologicznego człowieka. Duras jednym zręcznym posunięciem nadaje sprawie nowego wymiaru, jakby na nowo ją otwiera.

Troje bohaterów, splecionych wzajemnie uczuciowo w węzeł zdawałoby się nierozwiązalny, zanurzonych zostaje w upalną, burzową aurę letniego wieczoru w mało znaczącej miejscowości hiszpańskiej, która jednak tego dnia przeżywa intensywnie swoje sensacyjne wydarzenie. Zdradzony mąż Rodrigo zamordował żonę i kochanka pochwyconych in flagranti, po czym ukrywa się gdzieś w sąsiedztwie. Przez cały wieczór trwa obława na zabójcę, funkcjonariusze guardia civil w swych charakterystycznych kapeluszach legitymują przechodniów, kontrolują samochody.

Maria, zdradzana żona która obumieranie swej miłości topi w alkoholu, zaczyna odczuwać dziwaczną więź solidarności z Rodrigiem. Gdy przypadek zetknie ją z ukrywającym się, zaoferuje mu pomoc, perwersyjnie wciągając w sprawę męża i jego kochankę. Uratowanie Rodriga staje się dla Marii niewypowiedzianą, nikłą szansą znalezienia dla siebie jakiegoś nowego sensu życia. Gdy jednak i ta możliwość gaśnie wraz ze śmiercią zabójcy, kobiecie pozostaje tylko szaleńczy taniec w madryckiej tawernie, którym wyraża swą totalną klęskę.

Przed paru miesiącami próbowałem w felietonie poświęconym widowisku „Zmierzch długiego dnia" analizy aktorstwa Maji Komorowskiej. Pisałem wówczas, że znakomita artystka sprawdza się nieomylnie wtedy, gdy przychodzi jej grać osoby wyobcowane, nie przystające do otoczenia, zbuntowane, samotne. Nie do zastosowania jest natomiast w rolach z zakresu tzw. małego realizmu, zharmonizowanych z potocznym życiem, szczęśliwych w minimalistycznym sensie tego słowa.

Przypomnienie tych paru ogólnych uwag w zestawieniu z konkretem wiedzie do stwierdzenia, że rola Marii w adaptacji powieści Duras jest jakby stworzona dla Komorowskiej, stanowi okazję do pełnego zaangażowania jej dojrzałego i jedynego w swoim rodzaju warsztatu aktorskiego. Intensywność przeżyć wewnętrznych Marii, jej okaleczenie duchowe powoduje, że na zewnątrz postać ta prezentowana jest przez aktorkę jakby w stanie somnambulicznego transu. Prowadzone przez nią zdawkowe rozmowy, zachowanie się, gesty, to wszystko nie stanowi wartości samo w sobie. Służy tylko złożonemu odbiciu stanów psychicznych bohaterki.

W dziedzinie sztuki aktorskiej dość ryzykowne są wszelkie porównania. Nie mogę sobie jednak odmówić zestawienia Komorowskiej w tej roli ze znakomitą Emmanuelle Riva w filmie „Hiroszima, moja miłość". Tam również konkretne sytuacje były jedynie emanacją kompleksów psychicznych bohaterki. Riva stała przed równie skomplikowanym zadaniem odwrócenia jak gdyby relacji między tym co rzeczywiste i tym co pozorne. Aktorce udało się osiągnąć, że w jej zachowaniu ważne nie było to co realne, ale to co egzystowało jako wspomnienie zalegające zakamarki psychiki.

Komorowska, podobnie jak Riva, stanęła na wysokości zadadania wyznaczonego przez charakter pisarstwa Duras, wkomponowując się własną ekspresją w jego nastrój. Tym samym aktorka udowodniła raz jeszcze, że operując w sferze fizycznej, zmysłowej, potrafi wypowiadać treści zaszyfrowane głęboko w życiu psychicznym człowieka.

Realizując to, Komorowska balansuje — w szczytowej scenie tańca i reakcji na występ hiszpańskiego tancerza — niemal nad przepaścią. Każdy jeszcze trochę bardziej przerysowany gest czy mina grozi śmiesznością lub fałszem. Aktorka zawsze jednak umie zachować tę granicę, która zapewnia jej całkowite panowanie nad sytuacją. Wielka rola, wielka scena, na którą należy zwrócić baczną uwagę!

W obliczu tej kreacji dużym sukcesem młodej aktorki jaką jest Krystyna Janda, było zaakcentowanie swej obecności w tej grze nastrojów i pozorów. Do subtelnego klimatu widowiska włączył się bezbłędnie Jerzy Kamas.

Fascynujący wieczór!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„DZIEŃ PO DNIU"

Tytuł nowego tomu wierszy Henryka Hartenberga „Dzień po dniu" wydaje się być mylący, sugeruje bowiem zapis spraw codziennych, przeżywanych z dnia na dzień, być może pamiętnik współczesny. Tymczasem autor sprawy codzienne traktuje jako odskocznię do rozważań metafizycznych niekiedy w wymiarze transcendentalnym. Służy temu częste odwoływanie się do mitów wywiedzionych z tradycji kulturalnej ludów kręgu śródziemnomorskiego, a także Biblii. Doświadczenie autora, które wiedzie się z pokolenia poddanego w szczególny sposób próbom ognia, głodu i wojny, a także niełatwym doświadczeniom czasów na bliższych, podlega w tym tomie weryfikacji, poddane jest refleksji sceptycznej.

Hartenberg z tomu „Dzień po dniu" niepodobny jest do autora „Cienia ptaka" wydanego w roku 1964. Tamten wydawał się ufać tylko wyobraźni, autor wydanego niedawno tomu patrzy na świat z dystansu nie tylko własnego doświadczenia, lecz także przeżyć współczesnego człowieka z całym bagażem jego doświadczenia moralnego i intelektualnego. Autor nasz z uporem powraca i drąży kosmos społeczny, poddaje weryfikacji zjawiska opisane przez niego samego w wydanych wcześniej książkach. Charakterystyczną cechą tej poezji zaczyna stawać się retrospekcja w dni dzieciństwa i weryfikacja poprzez doświadczenie życiowe oglądu zjawisk, którymi bohater liryczny fascynował się przed laty. Owa weryfikacja dokonuje się w obliczu spraw ostatecznych. Obsesja śmierci, która wybijała się chyba od czasów debiutu Hertenberga w jego wierszach, teraz zaczyna nabierać innych znaczeń.

„Dzień po dniu", to tom w dorobku Henryka Hartenberga nowy, nowy w całym tego słowa znaczeniu. Autor bowiem od wierszy prezentujących nagie fakty w całym ich dramatyźmie odchodzi w stronę refleksji, zaczyna więc zdradzać amibcje intelektualne. Nie obyło się więc i bez kosztów zawierzenia nowości. Bo tamte wiersze, z poprzednich tomów cechowała surowość, oszczędność słowa, dramatyzm możliwy właśnie w wierszach awangardowych. Teraz, w wierszach poddanych innym zabiegom konstrukcyjnym zaczyna wdzierać się wielosłowie. Nie razi ono zbytnio, gdy znajdujemy je w warstwie refleksyjnej — tu bywa czasem, to nie paradoks — funkcjonalne, gorzej, gdy trafiamy na wielosłowie w partiach opisowych. Obrazu poetyckiego nie można bowiem zastępować dyskursywnym wyliczaniem zjawisk i rzeczy. Razi także posługiwanie się liczmanem, młodopolskim czasami opisem zjawisk przyrody, rażą elementy bajkowości dziecięcej wplatane w wiersze niosące niebanalne treści intelektualne, schematyzm języka tych bajek. Gdyby jeszcze było to potraktowane z przymrużeniem oka, ale autor rzecz traktuje najpoważniej w świecie, jak choćby w wierszu „Wyprawa w szczęśliwe czasy", kiedy pisze:

„Więc wyruszyłem w nieznaną
podróż
Ażeby ocalić dobrych
czarodziejów..."

Być może mielizny o których mowa, skażony język niektórych wierszy, zdarzające się tu i ówdzie kollokwializmy to cena, jaką poeta płaci za zwrot ku poezji intelektualnej, refleksyjnej, której dotąd raczej nie uprawiał. Jednakże tom ocalają przecież niebanalne wiersze, takie, jak choćby: „Czy będzie nam darowana", „Wiersz o czasie, który się spełnia", „Nokturn", „Na granicy dwóch czasów", „Zanim nas noc otoczy", „Zdarli ze mnie twarz", „Każdemu przeznaczony jest kamień" i wiele innych. Stąd żale autora recenzji, że satysfakcje czytelnicze nie mogą być pełniejsze.

Henryk Hartenberg w tomie „Dzień po dniu" zadokumentował, że ma ambicje moralistyczne i przy zgłoszonych wyżej zastrzeżeniach można zgodzić się z nim, że zagrożenia człowieczeństwa nie wynikają wyłącznie z faktu zaistnienia sytuacji ekstremalnych, jak wojna. Stąd katastrofizm niektórych wierszy, także wybijająca się mocno obsesja śmierci, podsycana przez gorzkie doświadczenie współczesnego człowieka.

Refleksyjna liryka tego tomu ukazuje nam nowe oblicze autora. O ile w jego dotychczasowej twórczości dominantą był zmysłowy rejm, o tyle obecnie obserwujemy pewien zwrot w stronę symbolizmu. Nasz autor dokonuje przeformowania wiedzy o świecie w inny porządek znaczeniowy. Można to zaliczyć do jego osiągnięć, bowiem dzięki tym zabiegom poezja ta staje się mniej dosłowna, odchodzi od taniego niekiedy dydaktyzmu, który można by zaliczyć do grzechów młodości. Symbolizm Hartenberga jest fukcjonalny, daje czytelnikowi szansę skomunikowania z rzeczywistością poprzez odwołanie się do mitów tradycji kulturowej, Biblii, jest w ostateczności podporządkowany rozważaniu problematyki egzystencjalnej współczesnego człowieka.

Bohater liryczny tych wierszy poddany ciśnieniu czasu opowiada się po stronie nadziei, gdy mówi w wierszu — „Wyprawa w szczęśliwe czasy":

„Wierzę w białe ziarno nadziei
Które padło w grządką glebę
czasu
Tak jak wierzę w prawdę
otwierającą drogę w niepokój
Słowa".

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Henryk Hartenberg, Dzień po dniu. PIW, Warszawa 1977.

JERZY PORADECKI

ZNACIE?

TO POSŁUCHAJCIE

Bernard Sztajnert opowiada jak klasyczny fabulator. Mógłby każdą z ostatnio wydanych swoich książek opatrzeć ostrzeżeniem — zachętą salonowego anegdociarza: Znacie? To posłuchajcie.

Ryzykowana to paralela, łączyć autora alegoryzujących opowieści z opowiadaczem dowcipów. Może jednak obywdu łączy ta nadzieja i niebezpieczeństwo, że „zamknięte bryły o niewidocznym wnętrzu" na moment otworzą się, że na moment da się spostrzec coś, dzięki czemu będzie można poznać „prawdę o prawdzie i prawdę o kłamstwie"?

Nic, co jest widziane po raz pierwszy, nie może być rozpoznane. Dopiero za drugim razem możemy ową rzecz wyróżnić spośród innych. A gdyby tak popatrzeć jeszcze kilka razy? Gdyby tak opowiedzieć rzecz wielokrotnie? Znają tę prawdę ci, którzy chcą zrozumieć utwór literacki. Każdorazowa lektura przynosi nowe aspekty, nową wiedzę o dziele. Wydaje się, że kresem interpretacji i rozumienia może być tylko zmęczenie lub nudzenie tego, który nad dziełem rozmyśla. Czy można jednak znudzić się i zmęczyć szukając „prawdy o prawdzie i prawdy o kłamstwie" własnego życia? Czy to jest egotyzm, czy ludzki obowiązek — poznać siebie?

Sztajnert nieustannie pisze o sobie. Ale jakże daleko od autobiografii i pamiętników do alegorii. Prawda Sztajnerta to nie prawda faktów i zdarzeń z własnego życia. To prawda sensu tych zdarzeń. A ten czy można wyczerpać? Czy można raz wreszcie do końca określić? Do sensu można dotrzeć tylko poprzez zdarzenie, obraz, w którym on się ujawnił. Zdarzenie i obraz istnieją tylko w pamięci. Pamięć wybiera, porządkuje, ustala hierarchię. Jest zawodna i samowolna. Dlatego każdy zachowany w niej obraz jest jednocześnie nieskończenie cenny i podejrzany. Pokazany innym może być nawet niebezpieczny. Jednak jest to jedna z form naszego istnienia. „W tej chwili istnieję w wielu kategoriach bytu, lecz do pomyślenia jest stan rzeczy, w którym istnienie w obrazie będzie jedynym moim ocaleniem, dlatego obrazy należy zachować..." Obraz jest więc czymś, dzięki czemu możemy zarówno ocalić istnienie, jak i czymś, dzięki czemu możemy poznać własną prawdę, sens istnienia.

Sensem ponowień i powtórzeń w prozie Sztajnerta jest właśnie ocalenie istnienia i poszukiwanie prawdy o sobie. Pisarstwo jego jest autobiograficzne, jest bowiem prawdą o jego życiu a jednocześnie jest wymyślone, fikcyjne, jak każda literatura, albowiem niemożliwa jest autentyczność osobowości zniewolonej, a wolność można zachowywać jedynie dzięki utrzymaniu tajemnicy o sobie samym. Mądra Żaba z dna morza ujawnia tę zasadę: „Część mojej potęgi kryła się w tajemnicy. Rządziłam, gdyż potrafiłam się dobrze ukryć. (...) Tak czy inaczej trzeba odbudować kamuflaż — trzeba zapewnić tajemnicę, a co za tym idzie — swobodę mojej działalności."

Ktokolwiek zna choć trochę Bernarda Sztajnerta, wie jak wiele z jego życia zmieściło się w jego prozie, jednocześnie wie, jak bardzo niemożliwym jest rekonstruowanie biografii duchowej pisarza w oparciu o jego dzieło. Zapewne autor, czytając swoje utwory, wynosi z lektury inne korzyści niż czytelnik. Zapewne on, pisząc i czytając siebie, dochodzi do najbardziej osobistej prawdy o sensie własnego istnienia. Dla czytelnika jednak to, co dla autora było kamuflażem, staje się chwytem literackim o charakterze alegorii. I nie dojdźmy czasem do wniosku, że czytelnicy w ten sposób coś tracą, że umyka im jakaś prawda. Prawda bowiem kryje się nie w tym, co jest przedstawione, ale w sensie przedstawionych obrazów. A sens ten jest równie tajemniczy i nieskończony dla autora jak i dla czytelnika. Jest także równie osobisty i intymny. I autor, i czytelnik rozpoznają siebie w trakcie myślenia, wchodząc w kontakt z obrazem. Głębia obrazu bowiem jest głębią tego, który na obraz patrzy: „głębia tej deski jest jego głębią, dlatego nie znajdzie jej pan w drzazgach z pokrajanej deski, ale w nim".

Odtworzony wyżej mechanizm prozy Sztajnerta potwierdza alegoryczny jej charakter, ale i jednocześnie mu zaprzecza. Zaprzecza, bowiem alegoria nie jest jednocześnie tłumaczeniem samej siebie. W czystej alegorii elementy alegorezy nie powinny się pojawiać. Tymczasem cytowane przeze mnie fragmenty wydają się wskazywać na przerost interpretacji nad alegoryczną fabułą. Ponieważ jednak zdania cytowane pojawiają się w wypowiedziach bohaterów, można ostatecznie zakwestionować ich interpretujący charakter, można nawet wymyślić jeszcze jeden modny kierunek i zabiegi Sztajnerta nazwać metaalegorią.

Pozostańmy jednak przy sformułowaniach prostszych.

Nie tylko obrazy i zdarzenia posiadają swoją głębię pozwalającą poszukiwać w procesie interpretacji ich sensu. Także rozmyślanie jest wydarzeniem i jako takie znakomicie mieści się w jednym z charakterystycznych dla alegorii motywów, motywie drogi, wędrówki, poszukiwania. W prozie Sztajnerta coraz wyraźniej zaznacza się znamienne przesunięcie punktu ciężkości ze zdarzeń dokonujących się w faktyczności materialno-biologicznej na zdarzenia dokonujące się w sferze psychiki i świadomości.

Realności przedmiotowej Sztajnert nie może usunąć. Ryzykowałby szaleństwem. Wie o tym dobrze największy autorytet spośród bohaterów „Księgi Ojca", Ten który stał pod ścianą: „jeżeli kiedyś zginie ludzkość, to nastąpi to nie z powodu zdrady ludzi, bogów czy zwierząt, lecz z powodu zdrady przedmiotów, które uważamy za martwe, a które podniosą się i złamią przypisane im prawa." Prawdy te, których tajemnicy istoty nie znamy, pozwalają człowiekowi na rzetelny kontakt ze światem poprzez pracę. „Pamiętaj chłopcze — powtarzał Ten, który stał pod ścianą — że praca daje człowiekowi poczucie realizmu, pozwala mu twardo i ostatecznie określić jego naturę". Anonimowy bohater „Księgi Ojca" wierzy Temu, który stał pod ścianą i wypróbowuje jego radę.

Biegunem przeciwstawnym realności dostępnej w kontakcie z przedmiotami poprzez pracę jest realność świadomości. Ujawnia się ona nie tylko w snach i zwidzeniach. Jest czymś głębszym, czymś z czego owe sny wynikają, czymś warunkującym to, że bohater myśli. Poprzez sny i myślenie ujawnia się głębia świadomości, podobnie zresztą nieuchwytna jak głębia przedmiotów: „Te myśli, warte ani mniej, ani więcej od myśli innych ludzi na ten temat, nurtowały mnie bardzo wcześnie, ale zespół tych myśli na pewno nie był mną."

Tak więc Sztajnert zanegował możliwość dojścia do prawdy o sobie poprzez odnalezienie momentu źródłowego swojej świadomości, ale i zanegował również rozpoznanie siebie poprzez rozpoznanie konsekwencji naszej ingerencji w świat w procesie pracy. Rozdział poświęcony szukaniu siebie poprzez pracę kończy się drastycznym ostrzeżeniem przed zatratą siebie. Bohater zmuszony do produkcji samolotów dla hitlerowców przeżywa radosny moment ekstazy: „Stoję z garścią wilgotnych nitów w ręku — gdzie jest granica człowieka i maszyny, pełni i pustki, gdzie jest prawdziwe teraz? (...) ...stąpam po drewnianych rusztowaniach sklejonych z substancji radości, promienie biją pod nogami, tryskają z rąk. Ludzie stają się zdumiewająco podobni do siebie i podobieństwa te urągają wszelkim podziałom, nawet podziałom krwi i rowów wypełnionych trupami".

Ratunkiem przed unicestwieniem poprzez utożsamienie jest świadome przyjęcie roli. Istnienie w teatrze świata ról i kostiumów pozwala na nieustanne przebieranki, umożliwia jednocześnie uniknięcie momentu, kiedy to maska przyrasta do twarzy. Ale by teatr świata miał sens, potrzebny jest wielki reżyser Ojciec-Bóg.

Ojciec, tytułowy bohater opowieści Sztajnerta, mógłby powtórzyć słynne Rimbaudowskie sformułowanie: „Ja — to ktoś inny". Od samego początku istnienie jego jest przynajmniej dwoiste. Później ilość jego wcieleń zwielokrotnia się. Pełnię władzy osiąga Ojciec przyjmując na raz wiele postaci, wiele wcieleń, wskazujących na to, że jego istota jest w rzeczywistości istotą najwyższego boga. Od konkretnego ojca odchodzimy zbliżając się do czystej idei ojcostwa. Idea ta pojawia się, co jest znamienne, w rozdziale pt. „Władanie". Tajemnicze spotkanie — przeczucie obecności ojca w opustoszałej cerkwi poprzedza ważna rozmowa bohatera z Naczelnikiem, w trakcie której wyraźnie natrafimy na metafizyczną ideę jednego Ojca w dwóch osobach:

„Przedwieczny siedzi przy biurku w cieniu zielonego światła, pyta: — Kim był twój Ojciec? — On wie, ale chce usłyszeć ode mnie.(...) Buntuję się przeciwko temu i wołam: — Ojciec mój był przed początkiem!—"

Tak więc idea ojcostwa wyraźnie kojarzy się z władaniem. Ale o ile reżyserem spektaklu w teatrze świata może być tylko najwyższy Ojciec-Bóg, to przecież wszystkie pomniejsze wcielenia idei ojcostwa są tylko rolami odgrywanymi przez ludzkich aktorów. Jeżeli więc konkretny ojciec narratora, jeżeli Naczelnik, jeżeli cały szereg innych wcieleń idei ojcostwa, to tylko role, to w dociekaniu prawdy o ojcu nie można się zatrzymywać na roli, którą on odegrał: „cóż mi do jego roli nawet najlepiej zagranej — chodzi mi o Jego prawdę, nie o Jego rolę...".

Przerwijmy tę wędrówkę umysłu, podobnie jak ją przerwał autor. Jeżeli bowiem nie ma odpowiedzi na terenie, na którym jej poszukujemy, należy przeformułować pytanie i szukać odpowiedzi gdzie indziej. Kluczowym dla całej „Księgi Ojca" jest rozdział ostatni, „Meduzy". Już w zakończeniu poprzedniego zapowiedział autor zapisane w „Meduzach" rozwiązanie. „Morświneczek najmilszy, co zawsze i wszystko wiedział" obiecał narratorowi: „odnajdziesz to, czego ci trzeba". Dwoistość i powikłanie, jednak nie ustępują tutaj. Dzieje się nawet przeciwnie. Prosta opowieść o kradzieży portfela na plaży sopockiej niemal w najdrobniejszym szczególe zyskuje sens paraboliczny.

Miejscem centralnym jest wąski skrawek plaży jaskrawo oświetlony promieniami słonecznymi. Z jednej strony znajduje się morze, z drugiej ziemia. Unikając drobiazgowej analizy, zauważmy, że symbolika obydwa jest podobna, jak w poemacie Thomasa Stearnsa Eliota. Ziemia jest wyjałowiona, symbolizuje obumieranie, woda natomiast zwiastować powinna możliwość odrodzenia. I tak jest, zwłaszcza wtedy, gdy bohater spaceruje wzdłuż numerowanych kabin. Rozmówca, z którym wędruje od morza do ziemi zapowiada mu nadzieję, rozmówca, z którym wędruje w kierunku przeciwnym, brak nadziei. Rozwiązanie problemu możliwe jest na owej symbolicznej wąskiej przestrzeni oświetlonej słońcem nie przez wykluczenie któregokolwiek z tych pojęć, ale przez wprowadzenie trzeciego: „to ja byłem im stanowczo bardziej potrzebny, niż którekolwiek z nich mnie" — powie narrator o swoich rozmówcach. I to właśnie, że człowiek jest człowiekowi potrzebny, jest zasadniczym rozwiązaniem zapowiedzianym przez Morświna.

Zapewne, czytelnik recenzji nie znający książki, nie oprze się wrażeniu, że niepotrzebnie uruchomił autor tak wielką machinę, by dojść do tak banalnego wniosku. Odpowiem więc: nie lekceważmy banału, bowiem niejednokrotnie zdarza się, że jest prawdą. A po drugie, ta prosta myśl jest u Sztajnerta uwikłana w takie konteksty, że staje się jedną z najbardziej zagadkowych.

Narrator rozwiązuje kwestię ojcostwa w sposób wielce skomplikowany. Do końca nie zna prawdy o Ojcu. Nie wie ani kim był jego konkretny, utracony na zawsze ojciec, ani kim jest Ojciec jako idea. Jeżeli w tej sytuacji decyduje się na wypowiedzenie do „chłopca o twarzy z cierpieniem" słów „Będę twoim Ojcem", łatwiej odpowiedzieć, że każdemu chłopcu potrzebna jest taka tajemnica, jaką jest Ojciec, niż dociec, czym dla narratora jest ojcostwo.

Istnienie nasze jest zwielokrotnione i niedokończone zdaje się mówić narrator. Istniejemy bowiem dla kogoś, ale istniejemy także i poza sferą bycia potrzebnym. W świecie ludzkim istniejemy dla kogoś i ktoś istnieje dla nas. Ale podobnie jak Meduzy jesteśmy również „tylko dla siebie (...) martwiejąc i żyjąc na przemian i przekraczając w obu tych kierunkach wszelkie przypisane granice". Słońce oświetla nas wyraziście jedynie na owym wąskim skrawku plaży. Wchodząc na ziemię („ta ziemia jest martwa") czy zanurzając się w wodzie („ludzila nieregularnym kształtem — zapowiadała nieosiągalną stałość"), wykraczamy nieustannie poza teren jasności. Wracając na plażę, przynosimy tam ze sobą jakiś innobyt, „jawę inną niż jawa istnienia".

„Księga Ojca" należy do tych bardzo bogatych książek, których nie powinno się recenzować. Domaga się ona od razu obszernych, analitycznych szkiców. Z powodzeniem można o niej napisać cały tom obszernych studiów, wielokrotnie grubszy od niej. Nie dla usprawiedliwienia się piszę ostatnie uwagi. Jeszcze nie raz przyjdzie mi wrócić do twórczości tego tak znakomitego pisarza. A jako że bywam czasami na salonach literatury i wiem jak znakomicie Bernard Sztajnert opowiada swoje historie, pozwolę sobie powtórzyć: „Znamy — ale niech Pan to opowie raz jeszcze."

Bernard Sztajnert, Księga Ojca Łódź 1978.

ZBIGNIEW S. NOWAK

ŻYĆ PO AMERYKAŃSKU

Foto: Archiwum

Rozmowy o życiu w krajach Zachodu z ludźmi stamtąd to często okazja do ciekawych refleksji. Okazja do refleksji zwłaszcza dla ludzi stamtąd, obywateli „wspaniałego, wolnego świata". W świetle tych refleksji ów świat często jawi się wcale nie tak wspaniały i barwny, jak na kolorowych, krzykliwych reklamówkach. Cóż, reklama to reklama, a życie to życie! To dwie zupełnie różne sprawy.

Tak właśnie (refleksyjnie) stwierdził HARRY BEREK, lekarz psychiatra z Chicago, goszczący kilka tygodni temu u rodziny w Polsce. On też podzielił się ze mną garścią ogólniejszych uwag i refleksji, które wydały mi się ciekawe i warte zanotowania. Jak wygląda ów „wspaniały, wolny świat Zachodu" w oczach Amerykanina?

Tytułem wstępu

Rozwój cywilizacji jest nieuchronny, jest częścią naszego życia. Nie można go zahamować, trzeba w nim uczestniczyć. Odwrotu nie ma, możliwa jest tylko adaptacja człowieka, próby przystosowania się do coraz to innych, nowych warunków życia.

Adaptacja człowieka w postępującej wciąż cywilizacji jest procesem ciągłym, permanentnym, stawiającym coraz to inne wymagania, nowe bariery do pokonania, nowe problemy, bez rozwiązania których żyć nie sposób.

W największym stopniu dotyczy to krajów wysoko rozwiniętych, gdzie przemiany cywilizacyjne następują bardzo szybko, we wszystkich dziedzinach życia. Przede wszystkim dotyczy to Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Układ układów

Cywilizacja to przymus. Przymus organizacyjny, obyczajowy, moralny. Przymus kulturowy w najszerszym rozumieniu tego pojęcia. Wymóg dyscypliny w kategoriach przyjętych, akceptowanych i adaptowanych lub narzuconych i egzekwowanych. Ów „układ układów", organizujących dziś wszelkie przejawy życia zbiorowego, często ogranicza w znacznym stopniu funkcjonowanie jednostki ludzkiej.

Dla jednostki cała „sieć kulturalna" w którą jest ona uwikłana, stanowi szczególny rodzaj matni, z której trudno się wyplątać. Dla jednostki kultura jest źródłem cierpień, jak mawiał Freud.

Skala możliwości i niemożliwości adaptacyjnych jednostki jest szeroka. Na krańcach niemożliwości znajdują się tzw. nieprzystosowani społecznie. Najwięcej jest ich w Stanach Zjednoczonych. Różne źródła podają różne liczby — od 30 proc. do 60 proc. ogółu ludności USA. Liczby to ogromne i przerażające. Skąd to nieprzystosowanie?

Odporność ludzka na wymagania współczesnego, wysoko cywilizowanego życia jest bardzo różna. Różna też jest tzw. sprawność życiowa poszczególnych jednostek. Często jednak ludzie mało odporni psychicznie, czy mało sprawni intelektualnie podejmują zadania, którym nie są w stanie podołać. Podejmują je, bądź mając zawyżone poczucie własnej wartości, bądź też pod nieustanną presją otoczenia. A więc atrakcyjniejsza praca, ładniejszy dom, nowszy samochód, wyższe konto w banku. Bo w USA to się liczy przede wszystkim i niemal wyłącznie.

Progi i bariery

Jakie bariery do pokonania stawia nam współczesna cywilizacja? Przede wszystkim natłok informacji. Tak poziom jak i zakres wiedzy dziś wymaganej ciągle wzrastają. Musi się więc powiększać gwałtownie pojemność indywidualnego „zbiornika" informacji jednostki. Możliwości są tutaj bardzo różne.

Układy życia zbiorowego stawiają przed człowiekiem coraz to liczniejsze i większe obowiązki społeczne, zawodowe, polityczne, rodzinne, towarzyskie i inne jeszcze. To ciężki bagaż zobowiązań. Nie wszyscy mogą go udźwignąć.

W niejednaki też sposób ludzie znoszą wysokie tempo współczesnego życia. A przecież ciągły pośpiech i masa różnorodnych bodźców — to codzienność współczesnej cywilizacji. Z czasem będzie coraz gorzej.

Współczesny człowiek jest „zewnątrzsterowny", jak powiada Riesmann. Życie „po amerykańsku" to ciąg błyskawicznych reakcji na pędzącą lawinę bodźców z otoczenia. Jak na giełdzie, gdzie kursy akcji zmieniają się w oszalamiającym tempie. Przy takim tempie często brak czasu na refleksję, na zastanowienie, na świadomy wybór. Tak więc zdarzają się błędy, porażki, dramaty. Tak wygląda życie „po amerykańsku".

Wolna Ameryka (nka)

W procesie adaptacji wielką rolę odgrywa system kontroli społecznej. Jest on konieczny, to oczywiste. Często jednak bywa on niekompetentny, brutalny, czy też wręcz szykanuje jednostkę, usiłując ją podporządkować bezwzględnie określonemu systemowi organizacyjno-ustrojowemu.

Thomas Paine pisał w 1776 r., że „w Ameryce prawo jest królem". Współczesny nam Bertrand Russel nazwał Stany Zjednoczone państwem policyjnym, w którym prześladuje się ludzi myślących samodzielnie i brutalnie tłumi swobody obywatelskie. Tak się dzieje w USA od czasu rządów prezydenta T. Roosevelta i jego ministra sprawiedliwości C. Bonapartego, od chwili utworzenia FBI. Czerwone i czarne listy „niepewnych politycznie", tajne kartoteki obejmujące wiele tysięcy obywateli amerykańskich, podsłuch telefoniczny, ciągła inwigilacja, brutalne „wybebeszanie" sfery życia prywatnego, nawet intymnego, bezprawne aresztowania „do wyjaśnienia", często i morderstwa dokonywane z zimną krwią na wszystkich „niewygodnych" — to dzisiejsza rzeczywistość.

Skutki cywilizacji potęgują się lub pomniejszają zależnie od form organizacyjno-ustrojowych życia społecznego. Nieprzypadkowo najwięcej zjawisk z obszaru patologii społecznej notuje się w wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych, a zwłaszcza w USA. Dlaczego?

Tzw. rzeczywistość społeczno-polityczna w tych krajach nie sprzyja bowiem — wbrew temu, co się głosi — właściwemu, harmonijnemu rozwojowi osobowości człowieka, nie sprzyja adaptacji społecznej jednostki na miarę jej indywidualnych potrzeb i możliwości. A przecież uwzględnienie naturalnych dyspozycji jednostki ma ogromne znaczenie dla tzw. adaptacji pozytywnej.

Osobnicza adaptacja negatywna pociąga za sobą szereg zjawisk o negatywnych konsekwencjach społecznych. Jedni przestają być aktywni, są zastraszeni, przytłoczeni psychicznie. Inni, przeciwnie, wyzwalają w sobie niepohamowane stany agresji. Skutki tego znane są powszechnie z doniesień o coraz to nowych przejawach „choroby cywilizacyjnej" w krajach Zachodu.

Co robią ci mniej agresywni? W wyniku niesprawności psychosomatycznej popadają w stan permanentnej frustracji, narkomanię lub coraz powszechniejsze lekozależności. W USA te zjawiska przybierają coraz większe, niepokojące rozmiary.

Lekobzik

Mniej więcej co drugi Amerykanin odwiedzający gabinet lekarski nie cierpi w ogóle na żadne dolegliwości fizyczne, choć mu się tak wydaje. Ale tacy pacjenci to nie „chorzy z urojenia", to ludzie chorzy naprawdę. Tyle że odczuwane przezeń dolegliwości mają podłoże czysto psychosomatyczne. To właśnie „ofiary" cywilizacji. Ludzie ci naprawdę cierpią, choć nie uświadamiają sobie prawdziwych przyczyn owych cierpień. Niektórzy może nawet są ich świadomi, ale i tak „uciekają w chorobę". Dlaczego?

Bo to im się wydaje najłatwiejszym wyjściem. Wszak w telewizji, w radiu, w pismach fachowych i niefachowych, w codziennych gazetach i jeszcze gdzie indziej ludzi atakują reklamy stwierdzające autorytatywnie, że człowiek nie musi cierpieć. Wszak w każdej aptece znajdzie się lek, który wyleczy szybko i skutecznie każdą chorobę. A jeśli lek wydawany bez recepty okaże się mało skuteczny, każdy lekarz natychmiast przepisze odpowiedni środek.

Tak więc Amerykanie biegają stadami do lekarzy i aptek. Co roku wydają grubo ponad 7 mld dolarów na leki na receptę i powyżej 3 mld dolarów na leki sprzedawane bez recepty. A przecież wystarczyłaby tego tylko połowa. Pacjentom tak, ale nie handlarzom i producentom farmaceutyków. Oni muszą ciągle podkręcać ten interes. W roku ubiegłym firmy farmaceutyczne wydały na reklamę przeszło 1,2 mld dolarów. Prawie połowę tego przeznaczono na przekonanie lekarzy, że powinni swoim pacjentom przepisywać takie właśnie, a nie inne środki. Zwłaszcza te najdroższe. Nie obeszło się bez łapówek dla lekarzy. Niektórzy medycy o głośniejszych nazwiskach za odpowiednim „honorarium" przygotowywali nawet „naukowe" publikacje wychwalające rzekome zalety takich czy innych medykamentów. Ile na tym zarobili producenci? Oficjalne źródła podają kwotę około 10 mld dolarów, po odliczeniu podatków. Jaka jest faktycz na suma, tego nie wie nikt.

Kanty na pigułkach

Często pacjentów „faszeruje" się lekami, bez względu na to, czy jest im to akurat potrzebne. Często ze szkodą dla ich zdrowia. Według statystyk Światowej Organizacji Zdrowia ONZ (WHO) około 10 proc. przyjęć do szpitali w USA następuje z powodu zatruć organizmu i ciężkich niekiedy schorzeń (alergie, mocznica), które są następstwem nadużywania leków i to często „pod kontrolą" lekarską.

Niekiedy pacjentom podaje się leki nawet bez ich wiedzy i zgody. Nie tak dawno ujawniono w USA kolejną wielką aferę w światku medycznym. Senacka Komisja do spraw Zdrowia i Badań Naukowych stwierdziła mianowicie, iż lekarze, oczywiście za odpowiednią opłatą ze strony przemysłu farmaceutycznego, wypróbowywali na pacjentach nowe leki i preparaty, które były rozpowszechniane bez zgody i licencji odpowiednich instancji nadzorujących. Śledztwo prowadzone w tej sprawie przez Federalne Biuro Lekarstw i Żywności wykazało, że około 7 tys. lekarzy pobierało od firm farmaceutycznych stałe pensje za wypróbowywanie leków na pacjentach. Owe pensje wynosiły od 10 do 100 tys. dolarów rocznie, w zależności od pozycji poszczególnych lekarzy. Śledztwo prowadzone jest nadal jeszcze wobec 13 tys. lekarzy. A ilu jeszcze „specjalistów" spod znaku Eskulapa jest zamieszanych w tę aferę? Nie wiadomo i chyba nie da się tego ustalić do końca. Zainteresowani milczą bowiem, we własnym interesie.

A co z interesem społecznym? Przewodniczący podkomitetu senackiego, senator Edward Kennedy, zarządził przeprowadzenie pełnych i dokładnych dochodzeń w tej sprawie. Na ile się to uda?

Foto: Archiwum

Foto: Archiwum

Keep smiling!

Oto jeden z ostatnich dowcipów krążących po Stanach Zjednoczonych. Krótka rozmówka dwóch znajomych:

— How do you do, Mr. Smith?

— Thank you! Dziękuję, nie bardzo.

— A cóż to się stało?

— Mój lekarz przepisał mi tyle leków i za tak wielką sumę, że aż głowa boli...

— To żaden problem, Mr. Smith. W aptekach ukazał się właśnie nowy środek od bólu głowy, podobno rewelacyjny.

— Dziękuję za informacje, biegnę do apteki.

— Powodzenia, Mr. Smith! Good luck, good bye!

Cóż, nie ma to jak żyć po amerykańsku...

U PRZYJACIÓŁ

MOSKWA. W numerze 5 miesięcznika **„Woprosy Ekonomiki"** F. Chabińska omawia przekłady z literatury zagranicznej dotyczącej różnych dziedzin twórczości. Interesują ją przede wszystkim przekłady tych książek, które obejmują problemy gospodarcze, społeczne i naukowe. Po rewolucji najbilniejszym zadaniem było udostępnienie społeczeństwu dóbr duchowych, jakie stworzyła ludzkość. Zadanie to zostało wykonane i dlatego dziś sprawa wygląda inaczej. Dziś — w okresie dokonywania się rewolucji naukowo-technicznej — udostępnienie radzieckiemu czytelnikowi wszystkiego, co wartościowego publikuje się w krajach socjalistycznych, a także na Zachodzie nabiera innego znaczenia.

Tłumaczenia książek zagranicznych autorów i ich publikacje w radzieckich wydawnictwach przyczyniają się do poznania wielu nowych zagadnień, do poszerzenia wiedzy radzieckich specjalistów. F. Chabińska podaje przykład wydawnictwa **„Progres"**, które na wniosek akademików A. Berga i W. Niemczynowa opublikowało pierwsze przekłady literatury traktującej o cybernetyce. Dzięki temu można było na wydziale ekonomicznym Uniwersytetu Moskiewskiego zorganizować kurs cybernetyki.

Wydawnictwo to opublikowało też dwutomowa książkę pt. „Organizacja produkcji w przedsiębiorstwach przemysłowych USA". Publikacja ta wzbudziła ogromne zainteresowanie nie tylko wśród ekonomistów teoretyków, ale wydawnictwo otrzymało wiele listów od organizatorów produkcji różnych szczebli z całego Związku Radzieckiego.

Ale — pisze dalej F. Chabińska — od czasu do czasu pojawiają się wśród wydawców tendencje do ograniczania publikacji przekładów z zagranicznej literatury. I tak, w 1963 roku ukazały się nakładem **Wydawnictwa Literatury Obcej** 23 książki z dziedziny ekonomiki o objętości 408 arkuszy drukarskich, w następnym roku — już 20 książek o objętości 384 arkuszy, w 1965 — 5 książek o objętości 156 arkuszy. Trzeba było interwencji naukowców, aby sytuacja uległa zmianie i obecnie obserwuje się na rynku księgarskim rosnącą ilość książek o tematyce ekonomicznej zagranicznych autorów. Mimo tego pozytywnego zjawiska ilość książek ekonomicznych wydawanych obecnie nie osiągnęła poziomu z 1963 roku.

Miło nam donieść, że wśród książek tłumaczonych i wydanych w ZSRR F. Chabińska wymienia również książkę polskiego autora: **T. Pyka „Programowanie optymalnego podziału inwestycji".**

„Grabie dla konstruktora" — taki tytuł nasiła korespondencja **„Prawdy"** z Krasnodaru. Ukazała się ona w „Prawdzie" 4 czerwca 1978 roku. Powodem był list inżyniera-konstruktora z fabryki obrabiarek im. Sedina w Krasnodarze. Inżynier ten skarżył się, że po odbyciu studiów w Moskwie został skierowany do Krasnodaru, aby czegoś nauczył się w fabryce, zdobył niezbędną mu praktykę. Tymczasem on i wielu innych zamiast w fabryce pracują w parku, gdzie malują ławki lub kosze na śmiecie, przy budowie restauracji, lub porządkowaniu miasta.

— Wszystko, co jest tu napisane jest prawdą — powiedział korespondentowi „Prawdy" główny konstruktor, kiedy zabaczył list swego podwładnego. I wyjaśnił, że robotników nie można odrywać od maszyn, bo stanie produkcja, natomiast władze miasta żądają pomocy, której farbyka nie może odmówić, wysyła się więc do prostych prac inżynierów-konstruktorów oraz pracowników tych działów, które nie są bezpośrednio związane z produkcją. Autorowi artykułu pokazano w dziale kadr fabryki gruba teczkę wypchaną pismami od władz Krasnodaru, gdzie były i takie, że jednego dnia żądano od fabryki 200 robotników z łopatami na pierwsza zmianę i 200 — na drugą.

„Można odnieść wrażenie — pisze „Prawda" — **że kierownictwo dzielnicowego komitetu wykonawczego nie zdaje sobie sprawy z tego, że zakłady przemysłowe mają swoje plany i zobowiązania".** I dodaje: **„Inżynierów, twórców postępu technicznego należy zwolnić od łopaty i miotły oraz prac urzędniczych. Specjaliści mogą i powinni pomagać miastu wykorzystując swoją energię twórczą, projektując mechanizmy i urządzenia ułatwiające ludziom pracę".**

BUKARESZT. W ambasadzie węgierskiej w Bukareszcie rumuński poeta **Mihai Beniuc** otrzymał Order Sztandaru WRL z Wieńcem Laurowym, a **Eugen Jebeleanu** — Order Pracy Złotego Stopnia. Wysokie te odznaczenia rumuńscy poeci otrzymali za przekłady i popularyzację poezji Endre Ady'ego, którego utwory ukazały się w Rumunii z okazji jego setnej rocznicy urodzin.

Mihai Beniuc jest poetą („Jabłoń przy drodze" „Materia i marzenia", „Jesiennie barwy"), powieściopisarzem i dramaturgiem. Tłumaczył z węgierskiego poezje Sandora Petoefi'ego i Atylli Jozsefa.

Eugen Jebeleanu jest autorem poematu „Uśmiech Hiroszimy", za który otrzymał nagrodę literacką we Włoszech.

KOSMICZNE SYSTEMY ŁĄCZNOŚCI NATO

W prasie zachodniej pojawiają się regularnie informacje o wprowadzeniu na okołoziemską orbitę satelitów przeznaczonych do utrzymywania dalekiej łączności radiowej. Wokół Ziemi lata ich już dziesiątki i coraz częściej są wśród nich aparaty przeznaczone specjalnie do celów wojskowych. Obecnie, w krajach NATO używa się eksploatacyjne modele wojskowych satelitów DSCS 2, „Skinet 2" i „NATO 3". Na czym polegają ich właściwości?

Wszystkie te sztuczne satelity opracowywano na podstawie ogólnych założeń i dlatego mogą się one wzajemnie zastępować. Kiedy na przykład w wyniku awarii satelity „Skinet 1" Anglia stanęła w obliczu długotrwałego przerwania łączności kosmicznej, Amerykanie pozwolili pracować angielskim stacjom łączności za pośrednictwem swego sztucznego satelity. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, iż wymienione satelity są umieszczane na geostacjonarnej orbicie, obracają się synchronicznie z Ziemią i dlatego jak gdyby nieruchomo wiszą na niebie. Chociaż wprowadzanie sputników na taką orbitę jest bardziej skomplikowane niż na zwykłą, to jednak jest to znacznie korzystniejsze, bowiem upraszcza konstrukcję naziemnych urządzeń eksploatujących system.

Zachodni specjaliści podkreślają jednak, iż istniejące geostacjonarne satelity o przeznaczeniu wojskowym mają istotne braki. Nie zapewniają one, jak informowano w prasie, wymaganego odbioru bezzakłóceniowego. Nad problemem zmniejszenia stopnia zakłóceń oraz zwiększenia eksploatacyjnej żywotności tych latających obiektów kosmicznych, za granicą a głównie w USA, pracuje się już od dawna. Ostatnimi laty poszukiwania przeszły w stadium eksperymentalnej kontroli. Właśnie w tym celu zbudowano i wystrzelono w Kosmos dwa specjalne sztuczne satelity z oznaczeniem LES. Oba, identyczne pod względem konstrukcji, wprowadzono na orbitę zbliżoną do geostacjonarnej, z kątową odległością równą 90 st. Na mozaikowych ściankach aparatów umieszczono anteny i instalacje jądrowe, wytwarzające energię elektryczną. Maksymalna długość satelitów wynosi około 3 metrów, ich wyposażenie posiada szereg cech uwarunkowanych charakterem prowadzonych eksperymentów. Jeden z nich ma na celu jednoczesne ulepszenie urządzeń antyzakłóceniowych oraz urządzeń łączności. Dlatego, mimo zwykłych decymetrowych i centymetrowych zakresów fal używa się także milimetrowych zakresów.

Na satelitach LES po raz pierwszy umieszczono także urządzenia odbiorczo-przekaźnikowe, z milimetrowym zakresem fal, aby zapewnić łączność radiową na linii: satelita — satelita, na przestrzeni około 50 tys. kilometrów. Do wypróbowania takiej linii łączności radiowej przywiązuje się wielką wagę. Zdaniem amerykańskich specjalistów jest to ważny krok w kierunku stworzenia globalnych kosmicznych linii radioprzekaźnikowych, które byłyby zdolne do zapewnienia stałej łączności w warunkach wojny jądrowej, bez korzystania z niepewnych naziemnych retransmisyjnych stacji oraz łączności kablowej. Zamysł polega tu na tym, iż użycie nowego zakresu fal pozwoli na zwiększenie koncentracji energii w wąskiej wiązce radiowej, a więc na zwiększenie przepustowości linii radiowej, jak również utrudnienie przechwytywania sygnałów radiowych, czy też stworzenie umyślnych zakłóceń na wszystkich odcinkach linii radiowej: Ziemia — satelita — satelita — Ziemia.

Co prawda prasa zachodnia odnotowuje, że te ważne cechy łączności radiowej na zakresie milimetrowym osiąga się płacąc niemałą cenę. Bowiem na jakość łączności w tym zakresie silnie oddziaływają warunki atmosferyczne, a głównie intensywne opady. Dlatego też w celu zmniejszenia niebezpieczeństwa przerw w łączności, trzeba kilku stacji naziemnych lub anten umieszczonych od siebie w określonej odległości. Ponadto w celu zabezpieczenia łączności przy pomocy wąskich wiązek radiowych należy zbudować na Ziemi urządzenia naprowadzające anteny, a na satelicie — system orbitalnej orientacji o wysokiej stabilności. W tym celu na nowych satelitach, niezależnie od nadajników pracujących w podczerwieni i, jak należy przypuszczać, niezbyt dokładnych, umieszczono eksperymentalne żyroskopy. Dodatkowo też zwiększono częstotliwość pomiarów położenia satelity na orbicie i jego korekcji przy pomocy pokładowego urządzenia programująco-czasowego. W konsekwencji, jak uważają Amerykanie, uda się zwiększyć autonomiczność pracy satelitów i wydatnie zmniejszyć ich zależność od niezbyt efektywnie działających urządzeń antyzakłóceniowych naziemnego kompleksu sterująco-pomiarowego.

Jak podaje płk. inż. A. Żowanik w artykule zamieszczonym w dzienniku „Krasnaja Zwiezda", charakterystyczną właściwością ostatnich modeli satelitów eksperymentalnych jest zainstalowanie na ich pokładzie baterii słonecznych. Źródłem zasilania elektrycznego są jądrowe, a ściślej mówiąc — radioizotopowe urządzenia energetyczne z termoelektrycznym przekształcaniem energii.

Radioizotopowe źródła energii powinny, zgodnie z zamierzeniem konstruktorów, przedłużyć czas aktywnej działalności satelity na orbicie. Przy tym, jak podkreślają oni, upraszcza się konstrukcja aparatu, zmniejszają się jego gabaryty i waga. Oprócz tego odpada konieczność instalowania na pokładzie baterii akumulatorowych, ponieważ jądrowe źródło energii pracuje normalnie także podczas wchodzenia satelity w cień Ziemi. Jednakże korzystanie z jądrowych reaktorów ma też bardzo istotne minusy. Źródło radioaktywności, jak odnotowują zachodni obserwatorzy, stwarza niebezpieczeństwo napromieniowania aparatury pokładowej i pozostałego sprzętu. Trzeba więc stosować odpowiednie ochronne ekrany i maksymalnie oddalać zasobnik z „paliwem" radioaktywnym od innych systemów. W tym wypadku zasobnik „wysuwa się na bok" po wprowadzeniu satelity na orbitę. Zastosowanie ekranów ochronnych jest konieczne; wprawdzie zwiększają one nieco wagę aparatu, ale za to sprzyjają ochronie satelity przed „porażającymi czynnikami wybuchu jądrowego". Aluzje co do możliwości bojowego oddziaływania na satelity mają abstrakcyjny charakter. W ostatnich latach amerykańscy specjaliści wojskowi coraz częściej wypowiadają przeróżne opinie sprowadzające się do tego, iż w wypadku pojawienia się tzw. antysatelitów, kosmiczna część systemu łączności stanie w obliczu zniszczenia. Na fali tych sądów, jak pisał dziennik „Association Week and Space Technology", pracuje się już w USA nad skonstruowaniem aparatów kosmicznych do przechwytywania i niszczenia satelitów na orbicie. Zamierza się je uzbroić w pociski, wprawdzie bez ładunku bojowego, ale zaopatrzone w system samonaprowadzający, który działa na zasadzie podczerwonego promieniowania „celu". Informowano i o czymś innym: jedna z amerykańskich firm aerokosmicznych skonstruowała cztery antysatelity, z których dwa próbowano nawet wystrzelić w Kosmos. Próby zakończyły się niepowodzeniem z powodu usterek.

Kontynuując prace w tym kierunku, amerykańscy specjaliści zwracają szczególną uwagę na problemy ochrony wojskowych satelitów łączności przed atakiem na orbicie. I tak, na satelitach typu LES, o których mowa, proponuje się wypróbowanie możliwości ochrony satelitów drogą manewrowania na orbicie. Przewiduje się automatyczne oderwanie się satelity „od prześladującego go antysatelity" (dzięki programowi zapisanemu zawczasu w pokładowym urządzeniu sterowniczym). Jednakże przy opracowywaniu silników manewrowych, Amerykanie natrafili na bardzo istotne trudności i dlatego też trzeba było odłożyć wystrzelenie sputników tego typu w Kosmos prawie o cały rok.

Wyniki eksperymentalnej kontroli zasad i urządzeń przedłużenia efektywności kosmicznych środków dalekiej łączności zamierza się w USA wziąć pod uwagę przy opracowywaniu wojskowych satelitów trzeciego pokolenia DSCS 3, które pojawią się prawdopodobnie po 1980 roku. Jednakże już teraz stosuje się środki mające na celu zwiększenie odporności systemu wojskowej łączności kosmicznej na cios. W tym celu, jako uzupełnienie geostacjonarnych satelitów, wystrzeliwuje się w Kosmos satelity na wysokie, eliptyczne orbity, instaluje się osobne przekaźniki na wielkiej liczbie kosmicznych aparatów różnego przeznaczenia. Takie są główne kierunki udoskonalania wojskowych satelitów za Zachodzie. Wskazują one, iż w celu zabezpieczenia dalekiej łączności radiowej prespektywiczne wojskowe systemy nie mogą się obejść bez szerokiego wykorzystania środków kosmicznych.

JERZY CZECH

„JASTRZĘBIE" W Białym Domu

Jak wskazują ostatnie wyniki badań opinii publicznej, przytłaczająca większość Amerykanów opowiada się za odprężeniem, polepszeniem stosunków i rozwojem współpracy ze Związkiem Radzieckim. Na Zachodzie coraz częściej krytykuje się ostatnie posunięcia rządu amerykańskiego. Próby przeszkodzenia w zawareiu nowego radziecko-amerykańskiego porozumienia o ograniczeniu zbrojeń strategicznych publicysta londyńskiej „Tribune" nazywa bezczelnym oszustwem. Istotnie inspiratorzy „nowego nurtu" w polityce amerykańskiej chcą osiągnąć swoje cele drogą bezceremonialnego okłamywania opinii publicznej. Istota strategii amerykańskich „jastrzębi" polega na rozpowszechnianiu gołosłownych twierdzeń, że takie porozumienie nigdy nie będzie zaaprobowane przez Senat, nawet jeśli jego warunki będą słuszne i korzystne dla USA, ponieważ naród amerykański ponoć sprzeciwia się temu porozumieniu.

Takie i temu podobne twierdzenia są kłamstwem. Jeśli już mowa o przytłaczającej większości narodu amerykańskiego, to jest ona akurat przeciwnego zdania. Należy jednak podkreślić, iż środkom masowego przekazu — kontrolowanym przez koła prawicowe — przemilczającym i ignorującym te fakty, udało się przekonać „szeregowych" odbiorców informacji, że jakoby większość Amerykanów jest przeciwna nowemu porozumieniu o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. A jaka jest prawda? Mniemanie, iż Amerykanie są teraz mniej przychylnie nastrojeni wobec odprężenia i mniej niż przed tym pragnęliby zawarcia porozumienia między ZSRR i USA o ograniczeniu ofensywnych broni strategicznych jest absolutnie bezpodstawne i bezsensowne. Przeprowadzone przez Biuro Harrisa, w dniach 29 kwietnia — 6 maja br. badania opinii Amerykanów zamieszkałych we wszystkich stanach USA pozwoliły stwierdzić co następuje: ■ 71 proc. ankietowanych opowiada się „za odprężeniem, tj. za tym, żeby USA i ZSRR starały się znaleźć sfery w których mogłyby dojść do porozumienia i rozwinąć współpracę". Przeciwko wypowiedziało się 15 proc. W 1976 r. za odprężeniem wypowiedziało się 73 proc. ankietowanych, przeciwko — 16 proc. ■ 75 proc. pytanych (przeciwko 12) jest za tym, żeby USA i ZSRR zawarły nowe porozumienie o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. (OZS). Rok temu stosunek zwolenników i przeciwników zawarcia porozumienia o OZS wynosił 66:8.

Jeśli chodzi o trzy inne dziedziny stosunków, w których jest możliwe porozumienie między USA i ZSRR, przytłaczająca wiekszość Amerykanów żąda: Zwiększenia objętości handlu między USA i ZSRR. Za tym opowiada się 70 proc. Amerykanów, przeciwko — 18 proc. (w ub. roku za — opowiedziało się 66 proc., przeciwko — 16); Podpisania porozumienia „o zakazie wszelkich rodzajów prób broni jądrowej". Za porozumieniem opowiedziało się 74 proc. pytanych, przeciwko — 17 proc. (rok temu: „za" — 63 proc., przeciwko — 12); Przyznania ZSRR „takich samych praw w dziedzinie handlu, jakie ma większość pozostałych krajów". 63 proc. (przeciwko 12 proc.) ankietowanych wypowiedziało się za tą propozycja, której realizacja oznaczałaby udzielenie ZSRR klauzuli największego uprzywilejowania w handlu.

Przytoczone dane wskazują iż w USA nadal panuje sprzyjający klimat dla prowadzenia polityki odprężenia. Zdecydowana większość Amerykanów uważa, iż w wieku atomowym trzeba unikać wszelkich konfrontacji między dwoma wiodącymi mocarstwami świata. Jednakże w USA niezwykle silne pozycje zajmuje wojskowo-przemysłowy kompleks, odznaczający się skrajną agresywnością. Warto jeszcze dodać, iż wyniki badań Biura Harrisa z 27 kwietnia br. wykazały, że 64 proc. ankietowanych Amerykanów przeciwko 23 procentom „nie aprobuje polityki Cartera w Białym Domu". (C)

■ PRÓBA BILANSU
■ OŻYWIENIE ROKOWAŃ
■ TRZECI KRYZYS

Jak wiemy z doniesień agencji — przed kilku dniami zakończyła się debata generalna na specjalnej sesji rozbrojeniowej ONZ. Ze zredagowaniem końcowego dokumentu będzie dużo kłopotów, gdyż propozycji jest bardzo wiele, często kontrowersyjnych, a ponadto niektóre kraje zgłosiły bardzo szczegółowe uwagi i technicznie wielce skomplikowane. Trudno zatem przewidywać, jaki będzie ostateczny kształt dokumentu. Nie zmienia to wszakże znaczenia debaty generalnej, w której **zarysowało się wiele pozytywnych tendencji.** Spróbujmy dokonać lapidarnej oceny dyskusji, w której uczestniczyli przedstawiciele 126 państw.

Za najważniejsze można uznać powszechne zrozumienie, że między rozwojem świata a odprężeniem i rozbrojeniem istnieje ścisły związek. Z jednym wyjątkiem — Chin, wszystkie państwa okazały zainteresowanie rozbrojeniem. Niemal jednomyślnie uznano, też za największe niebezpieczeństwo wyścig zbrojeń nuklearnych, chociaż jednocześnie wypowiadano potrzebę pomniejszenia również zbrojeń konwencjonalnych.

Kto narzuca wyścig zbrojeń?

W wielu wystąpieniach przedstawicieli państw „Trzeciego Świata" padała na to pytanie jednoznaczną odpowiedź: kompleksy wojskowo-przemysłowe, które jego utrzymaniem są zainteresowane.

Debata wykazała, że **niezwykle uniwersalne radzieckie propozycje rozbrojeniowe cieszą się powszechnym zainteresowaniem i szerokim poparciem.** W licznych głosach wspierano radziecką ideę zwołania światowej konferencji rozbrojeniowej, której prerogatywy mogłyby być szerokie.

Nie zajmując się na tym miejscu ekstremalnym przemówieniem chińskim (pisaliśmy o nim poprzednio) z niepokojących tonów niektórych wystąpień trzeba natomiast wymienić próbę unikania odpowiedzi na sugestie, jakie należy podjąć konkretne kroki rozbrojeniowe oraz kwestionowanie celowości utrzymywania w obecnej postaci dotychczasowych mechanizmów rokowań.

W sumie **debata generalna przyniosła jednak bogaty plon,** który powinien być z pożytkiem dla wszystkich dyskutowany.

* * *

Forum dyskusji na temat rozbrojenia są — jak wiemy — również rokowania wiedeńskie. Odnotujmy **duże ożywienie w ostatnich dniach tychże rokowań,** co spowodowane zostało nowymi propozycjami krajów socjalistycznych. Propozycje te są kolejnym aktem dobrej woli i poszukiwania konstruktywnych rozwiązań problemu ograniczenia zbrojeń i sił zbrojnych w Europie środkowej. Państwa zachodnie uważnie teraz analizują naszą inicjatywę i w bieżącym tygodniu mają udzielić na nią odpowiedzi.

* * *

Wydarzeniem tygodnia, o dużym znaczeniu w życiu Włoch, jest **ustąpienie z urzędu prezydenckiego G. Leone.** „Rzymskie Watergate" — piszą o tej sprawie komentatorzy zachodni, porównując ją do słynnej sprzed laty afery, związanej z osobą Nixona. Przeciwko Leone kierowano bowiem od pewnego czasu zarzuty o uchybienia podatkowe i — nazwijmy to tak — manipulacje finansowe.

Kadencja Leone wygasała w grudniu (prezydentem wybrany został 24 grudnia 1971 roku na siedmioletnią kadencję). Złożenie urzędu o sześć miesięcy wcześniej umożliwia przedterminowe rozpisanie wyborów. Może też pociągnąć za sobą dymisję rządu.

W życiu politycznym Włoch **jest to już trzeci kryzys w bieżącym roku,** Pierwszy przełamany został po wejściu komunistów do większości parlamentarnej i udzieleniu przez pięć partii poparcia monopartyjnemu gabinetowi Andreottiego, drugi wynikł z porwania Aldo Moro, a następnie zamordowaniu go. **Skutki obecnego trudno całkowicie przewidzieć,** choć będą raczej duże. Tak, jak określił to Leone w wystąpieniu telewizyjnym, obwieszczającym swą decyzję, rezygnacja „może wpłynąć na ogólną równowagę polityczną i mieć również reperkusje zagraniczne".

Zgodnie z konstytucją włoską w **ciągu najbliższych dwóch tygodni *) deputowani i senatorzy muszą wybrać prezydenta.** Obecnie wymienia się nazwiska: Fanfaniego (przewodniczącego Senatu) i Andreottiego (obecnego premiera). Prezydenta wybiera się w ten sposób, że w trzech pierwszych turach obowiązuje uzyskanie 2/3 głosów. Jeśli żaden z kandydatów takiej wielkości nie otrzymuje — odbywają się następne tury, w których jednakże wystarcza już zwykła większość (Leone wybrany został w 23 turze!).

Włochy stają więc znowu w obliczu ważnych wydarzeń, które mogą mieć niebagatelny wpływ na przyszłość republiki.

W. SŁAWSKI

*) **Wybory — jak ustalono — odbędą się w dniu 29 czerwca br.**

ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI I JEGO „DOKTRYNA WSPÓŁZAWODNICTWA"...

Coraz częściej liczne gazety i magazyny amerykańskie i zachodnioeuropejskie wiążą nazwisko pomocnika prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego, Zbigniewa Brzezińskiego, z tymi kołami USA, które dążą do bardziej agresywnej polityki Waszyngtonu w Afryce, na Bliskim Wschodzie i w Zachodniej Europie. Głosząc „doktrynę współzawodnictwa" między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, stara się Brzeziński sztucznie łączyć rozmowy o ograniczeniu zbrojeń strategicznych z innymi problemami i tym samym hamuje rozwój stosunków radziecko-amerykańskich przeszkadza w prowadzeniu polityki odprężenia. Oto, co pisze na ten temat prasa zachodnioniemiecka i amerykańska.

„DER SPIEGEL"

Każdego ranka, o godzinie 8.30, Zbigniew Brzeziński rozmawia z prezydentem. Jego gabinet w zachodnim skrzydle Białego Domu znajduje się zaledwie kilka metrów od Owalnego Gabinetu J. Cartera. Przez ręce Brzezińskiego przechodzi praktycznie wszystko, co dotyczy zagranicy i amerykańskiej polityki. Z. Brzeziński, pomocnik prezydenta w zakresie bezpieczeństwa narodowego, uważa siebie za najbardziej zaufanego człowieka Cartera we wszystkich sprawach polityki zagranicznej.

Podczas kampanii przedwyborczej Brzeziński dyrygował sztabem Cartera w sprawach polityki zagranicznej i obrony. „A Brzeziński to widział?" — takie standardowe pytanie zadawał kandydat na prezydenta, kiedy tylko doręczano mu jakiś papierek, mający coś wspólnego z polityką zagraniczną. Brzeziński przygotował Cartera do jego decydującej telewizyjnej dyskusji z Fordem na temat polityki zagranicznej.

Brzeziński trzymał w pogotowiu nowe definicje, głosił, iż świat znajduje się u progu nowej technoneutronowej ery, w której dominują takie siły, jak technologia i elektronika i która stwarza Ameryce bezsporną szansę na ponowne ujęcie w swoje ręce steru przodownictwa. Mówił: „Przeżywamy okres w historii, w którym Stany Zjednoczone powinny znów nadać impuls do twórczego procesu kreującego nowy system światowy".

Jego dawni koledzy doszli do wniosku: „Płodzi idee nie przemyślawszy ich, opiera się na przesłankach niedokładnie zbadanych", „Intelektualny oportunizm" — to dwa chodliwe słówka, którymi wielu krytyków charakteryzuje tego profesora, pozwalającego sobie nieraz na zawrotne zygzaki.

Na przestrzeni większej części swojej kariery uczonego (co nie dziwi, biorąc pod uwagę jego polskie pochodzenie) zwracał główną uwagę na Związek Radziecki oraz Wschodnią Europę i dochodził do sprzecznych wniosków i zaleceń. Amerykanom i Niemcom z RFN w 1964 roku „zalecał izolowanie NRD, żeby w konsekwencji sama padła w ramiona Zachodu". W 1965 roku radził Zachodowi, żeby spróbował oderwać od Związku Radzieckiego wszystkie państwa wschodnioeuropejskie. W niektórych kołach uważa się, iż nie kto inny, tylko właśnie Brzeziński wynalazł eurokomunizm, mając na uwadze ukrytą, antyradziecką tendencję rozstrojenia jedności światowego ruchu komunistycznego.

Brzeziński nabrał doświadczenia w pracy politycznej w Radzie Planowania Polityki i w Departamencie Stanu. Tam się właśnie wykazał, zgodnie z pobożnymi życzeniami tygodnika „Newsweek" (który zawsze się zachwycał tym profesorem strzyżonym na jeża) jako „jeden z twórców amerykańskiej polityki zagranicznej", a w każdym razie jako „wytrwały (gazeta „Time") obrońca wietnamskiej polityki prezydenta Lyndona Johnsona". Brzeziński mówił wtedy: „Czy to się nam podoba, czy też nie, ale zostaliśmy wciągnięci w długotrwałą epopeę w Wietnamie. Powinniśmy dać wrogowi do zrozumienia, że dysponujemy dostateczną wytrzymałością i że jesteśmy gotowi do prowadzenia wojny choćby 30 lat, jesteśmy bowiem bogaci i potężni. Taki kraj, jak Stany Zjednoczone, nie może zajść tak daleko, jak my zaszliśmy, w sensie udziału w wydarzeniach, potem ustąpić. Konsekwencje ustąpienia w Wietnamie kosztowałyby drożej, niż dalszy udział w wojnie".

Kiedy w czasie prezydentury Nixona, H. Kissinger, zaczął koncentrować całą uwagę na odprężeniu w stosunkach ze Związkiem Radzieckim, ów „polski Henry" (waszyngtońskie przezwisko Brzezińskiego) zbulwersował nagle społeczeństwo, że świat — a rozumie on pod tym słowem świat zachodni — „można uratować tylko stosunkami zbudowanymi na trójkącie. Jeśli USA, Zachodnia Europa nie wezmą się wraz z Japonią do rozwiązywania wielkich, nie cierpiących zwłoki problemów, uzależnionych przede wszystkim od sprzeczności między Północą a Południem, to będą skazane na śmierć" — grzmiał Brzeziński. „Stosunki ze światem komunistycznym — głosił Brzeziński — są najważniejszym problemem amerykańskiej polityki zagranicznej, ale, być może, już nie centralnym. Trójstronna współpraca powinna mieć teraz absolutny priorytet".

Można dyskutować, czy to on sam wymyślił tę ideę „trójkąta", czy też natchnął go nią jego protektor, David Rockefeller, żeby zapewnić sobie środek wiodący do rozszerzenia i konsolidacji rockefellerowskiego imperium. W każdym razie od tej chwili Brzeziński orientował się wyłącznie na tzw. trójstronne stosunki i na „globalne przemiany" (jego ulubione powiedzonko).

Wespół z Rockefellerem stworzył Brzeziński tzw. Trójstronną Komisję (składającą się z przedstawicieli USA, Zachodniej Europy i Japonii) która postawiła sobie za cel „pracować ze wszystkich sił na rzecz trójjedności, absolutnie niezbędnej dla uratowania świata". Brzeziński, jako pierwszy dyrektor tej komisji, osobiście wyszukiwał i wprowadzał do niej odpowiednich ludzi: wpływowych działaczy politycznych, przemysłowców, prawników, a także „mających perspektywę ludzi z boku" żeby nie stwarzać wrażenia, iż Komisja jest tylko klubem bogaczy i superbogaczy. Jednym z takich „ludzi z boku", mało znanych ale z „perspektywą" był gubernator stanu Georgia, J. Carter. Tenże J. Carter w listopadzie 1976 roku przekonał nieznaczną większość amerykańskich wyborców, że byłoby dobrze i dla nich, i dla Ameryki, gdyby wybrali go na prezydenta USA. Żeby potwierdzić swoje kompetencje w dziedzinie polityki zagranicznej, Carter podkreślał: „Należę do międzynarodowych organizacji, takich m. in., jak Trójstronna Komisja..."

Brzeziński na zadziwiająco wczesnym etapie ustosunkował się poważnie do ambitnego marzenia farmera z Georgii, który chciał zostać prezydentem, i natychmiast pisząc biografię Cartera zapewnił sobie rolę doradcy w sferze polityki zagranicznej. Fakt, iż zwolennik idei „trójkata" — J. Carter — zaraz po wyborach hurtem zgromadził wokół siebie członków Komisji Trójstronnej (poza Brzezińskim byli w niej m. in.: wiceprezydent Mondale, sekretarz stanu Vance, min. obrony Brown, min. finansów — Blumenthal, stały przedstawiciel USA w ONZ — Young) ocenia się jako dowód sukcesu zmowy Rockefellera z Brzezińskim. Komisja Trójstronna była dla Cartera tym, czym był, powiedzmy, uniwersytet harvardzki dla Kennedy'ego.

Ameryka — pisał Brzeziński jeszcze w okresie przedwyborczej kampanii Cartera — nie pójdzie na żadne odprężenie „przy którym Rosjanie będą dyktować zasady i kolejność zagadnień". Ważnemu przemówieniu na temat polityki międzynarodowej, które napisał Carterowi, Brzeziński nadał tak ostry ton, iż Cyrus Vance i ówczesny referent Cartera — Patrick Anderson, uznali za konieczne zmiękczenie tekstu, przypominającego referat z okresu „zimnej wojny".

Zaniepokojeni obserwatorzy amerykańscy przestrzegają, iż wnioski profesora są oparte bynajmniej nie na obiektywnych faktach, a raczej na tym, że jest synem polskiego arystokraty (t.j. reakcjonisty z urodzenia). Gazeta „Wall Streer Journal" pisała, iż Brzeziński „próbował często odgrywać przy prezydencie rolę mentora w sprawach międzynarodowych, ale jego śmiałe analizy są częstokroć puste i sprzeczne".

„NEW YORK TIMES"

Nie tak dawno Z. Brzeziński siedział samotnie w swoim gabinecie w Białym Domu i był mocno zajęty odliczaniem plusów i minusów swojej działalności na stanowisku pomocnika J. Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego. Swoim starannym drobnym pismem robił notatki na kartce papieru, rozdzielonej na dwie rubryki: w pierwszej były wymienione sukcesy i osiągnięcia, w drugiej — niepowodzenia. Brzeziński, który nigdy nie grzeszył zbytnią skromnością, napisał w pierwszej rubryce dwa razy więcej niż w drugiej. W rejestrze sukcesów — i to jest chyba dla niego najbardziej charakterystyczne — napisał m. in., co następuje: „Pomogłem, żeby administracja była twardsza i bardziej odporna".

Oto rola, którą Brzeziński uważa za najważniejszą: sprzeciwiać się Rosjanom. I tak np. „dodał twardości" przemówieniu, które Carter wygłosił w uniwersytecie Wake Forest, oskarżając Związek Radziecki o „zwiększanie potencjału wojskowego". Tę rolę odgrywa Brzeziński bardzo wytrwale. Ona właśnie wyrobiła mu opinię rzecznika twardego kursu w polityce zagranicznej. Jak uważa się w Waszyngtonie, skłonność Brzezińskiego do konfrontacji jest równoznaczna z balansowaniem nad przepaścią.

„LOS ANGELES TIMES"

Zostając pomocnikiem prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego Brzeziński wyrzucał z siebie gejzery słów, mówiąc o swoim zdecydowaniu „znalezienia definicji nowej epoki" w dziedzinie polityki zagranicznej, której najważniejszą cechą powinna być jej odmienność od kursu, który prowadził Kissinger w okresie prezydentury Nixona. Okazało się jednak w końcu, iż tylko mała część jego zamierzeń przybrała relane kształty.

Waszyngton wzbudził rozdrażnienie Rosjan swoją kampanią tzw. obrony praw człowieka, a także naszych sojuszników w Zachodniej Europie i Japonii swoimi propozycjami w dziedzinie polityki jądrowej i energetycznej. Zaczęła się zarysowywać jeszcze bardziej złowieszcza tendencja: zrodziły się wątpliwości co do słuszności nie tylko taktyki, lecz i strategii Brzezińskiego. Praktycznie, na wszystkich głównych kierunkach polityki: w dziedzinie walki o prawa człowieka, w rozmowach z Rosjanami o ograniczeniu zbrojeń strategicznych, przy opracowywaniu strategicznych programów USA i wreszcie w sferze stosunków z naszymi sojusznikami na Dalekim Wschodzie i w Zachodniej Europie podjęto decyzje, które albo sprowadzały się do zera, albo rozsadzały inne.

(Tłum. J. C.)

Eskimosi, zamieszkali na obszarach północnych Kanady i USA oraz w Grenlandii, utworzyli stowarzyszenie pod nazwą „Inuit Circumpolar Conference". Zadaniem tego stowarzyszenia jest wzajemna pomoc w rozwiązywaniu wspólnych, trudnych problemów, o których na łamach szwajcarskiego tygodnika DIE WELTWOCHE pisał Peter H. Pluess.

„Tylko bobry mają prawo budowania tam na naszym terytorium" — napisał przywódca jednego z plemion indiańskich do rządu prowincji Quebec. Dowiedział się on okrężną drogą, że rząd zamierza zbudować tamę na największej rzece regionu. Z południa nie nadeszła żadna odpowiedź. Dopiero, gdy Indianie i Eskimosi wystąpili ze swoim protestem do sądu, zwierzchność raczyła rozpocząć rokowania z najdawniejszymi mieszkańcami północnego Quebecu. Podobne problemy mają także Eskimosi na Alasce i w Grenlandii.

Inuit — znaczy ludzie

Norregade jest jedną z wąskich ale bardzo uczęszczanych uliczek, jakich wiele można znaleźć w Kopenhadze. Małe sklepy detaliczne, których okna wystawowe znajdują się tylko o kilka centymetrów powyżej bruku ulicy — nadają tej ulicy koloryt starych, dobrych czasów ubiegłego wieku. Dom oznaczony numerem 22 jest tak elegancki, że młody człowiek waha się nieco, zanim wejdzie na schody. Jego okna są wysokie i wąskie, tak jak okna w starych domach starych miast.

Na pierwszym piętrze kończy się stara Kopenhaga. Tu, w Instytucie Eskimologicznym zaczyna się całkiem inny świat, który co prawda, czysto zewnętrznie rzecz biorąc, składa się z niezliczonych książek i czasopism, ale który jednocześnie sprawia, że odwiedzający zanurza się w atmosferze wiecznych lodów, Eskimosów, niedźwiedzi polarnych itp. Problemy narodu, który wszyscy znają, ale o którym tylko niewielu ludzi cokolwiek wie — są poukładane na regałach i w szufladach. Są także zebrane w sercu człowieka, który ze studium życia Eskimosów uczynił swoje życiowe zadanie.

— Czystą utopią jest wierzyć w państwo Inuit — oświadczył profesor Robert Petersen, kierownik Instytutu Eskimologicznego Uniwersytetu Kopenhaskiego, w odpowiedzi na pytanie o cel stowarzyszenia pod nazwą „Inuit Circumpolar Conference". **— Około 100 tys. Eskimosów z Grenlandii, Kanady i Alaski było w ostatnich stuleciach poddanych tak różnym wpływom, że mimo wspólnej kultury nie można mówić o identyczności.**

Profesor Robert Petersen dobrze wie, o czym mówi. Prawie nikt nie zna problemów polarnego narodu tak jak on, ponieważ prawie nikt nie ma lepszych warunków. Robert Petersen sam jest „Inukiem". Słowo „Inuk" to liczba pojedyńcza od rzeczownika Inuit. Znaczy to po prostu — ludzie. Tak nazywali sami siebie jako jedyne ludzkie istoty na ziemi. To błędne przypuszczenie zostało im dokładnie wybite z głowy, gdy biały człowiek wkroczył na rodzime obszary. Zachowali jednak nazwę „Inuit" i wolą tę nazwę od określenia nadanego im przez białych ludzi — „Eskimosi".

„Inuit Circumpolar Coference" to nazwa zorganizowanego niedawno stowarzyszenia Eskimosów ze wschodu i zachodu. Stowarzyszenie nie ma w programie realizacji politycznych aspektów narodu Inuit. Chodzi o rozwiązywanie wspólnych problemów kulturalnych i innych w sytuacji konieczności przełamywania narodowych granic. Strzeżone i kontrolowane granice, jakie znają biali ludzie, są na dalekiej północy ogromną rzadkością. Oczywiście białe rządy zaznaczyły na mapach linie graniczne i w ten sposób podzieliły najbardziej północne regiony świata na narodowe państwa. Ale na przekór tym granicom polarni Eskimosi z grenlandzkiego okręgu Thule regularnie przechodzą przez lody Smithsundu, aby w Kanadzie polować na polarne niedźwiedzie. Kto mógłby im w tym przeszkodzić? Czy rząd w Ottawie, oddalonej o tysiące kilometrów?

Stowarzyszenie ICC (Inuit Circumpolar Conference) nie da się porównać z innymi zwykłymi organizacjami, zrzeszającymi mniejszości. Co prawda jego członkowie także pragną samostanowienia i wolności, jednakże wszelkie akty przemocy są sprzeczne z istotą charakteru Eskimosów. Do tego dochodzi fakt, że ogromne odległości, a także przynależność do różnych państw narodowych czyni problemy Eskimosów niezwykle zróżnicowanymi i kompleksowymi.

— Znajdujemy się dopiero w początkowym stadium współpracy Eskimosów —, daje do zrozumienia profesor Petersen. — Nie mamy żadnych celów politycznych.

Czegóż więc chcą ci ludzie, mieszkający w najbardziej niegościnnej części świata, w której zimą słońce nie pokazuje się na horyzoncie przez wiele miesięcy, i w której można od wsi do wsi jedynie lecieć samolotem, albo też długo jechać saniami zaprzężonymi w psy?

— Na razie rozpatrujemy możliwości zwiększenia współpracy w dziedzinie etnicznej, a także w stosunkach handlowych. Najważniejsze wydaje nam się jednak zachowanie naszej kultury i naszego środowiska naturalnego.

Kultura i wszystko to, co można pod tym pojęciem rozumieć — jest najważniejszym hasłem na dalekiej północy. Dochodziła już przysłowiowa „godzina dwunasta", gdy Eskimosi odkryli, że stracą właściwy sobie sposób życia, tradycje i obyczaje, jeśli nadal będą się dopasowywali do kultury białych.

— Wcale nie chcemy być tacy jak wy — oświadczył niedawno pewien młody Grenlandczyk.

Na pewno ma rację, dlaczego mieliby chcieć? Przez całe stulecia udowodnili, że mogą również bez pomocy społecznej żyć w lodowatym kraju. Teraz mają nadzieję, że dzięki wzmożonym kontaktom ze swymi plemiennymi braćmi, będą mogli nie tylko ocalić własną kulturę przed negatywnymi wpływami z południa, ale także nadać jej nowe impulsy i ożywić częściowo już zapomniane, stare obyczaje.

Ostatnia wielka wymiana kulturalna doszła do skutku nieco więcej niż sto lat temu. Po trwającej 7 lat podróży grupa kanadyjskich Eskimosów sforsowała Smithsund i przyłączyła się do polarnych Eskimosów grenladzkiego okręgu Thule. Odziani w futra ludzie, którzy przybyli tu na saniach zaprzężonych w psy, nie wiedzieli nic o zagranicznych paszportach i przekraczaniu granic. To jednak, co wiedzieli o polowaniu na

ESKIMOSI I CYWILIZACJA

Foto: Archiwum

wieloryby było najlepszym dowodem, że plemię Eskimosów musiało mieszkać na północy. Dla polarnych Eskimosów **„ludzi mieszkających na najbardziej północnym końcu świata"** przybysze mieli znaczenie życiowe. Nie tylko przyczynili się do rozrostu plemienia, ale także przywieźli ze sobą dawno zapomniane tutaj metody polowania.

W przeciwieństwie do „Kanadyjczyków" Eskimosi z Thule nie znali ani kajaków, ani łuku i strzały. Kajak, łuk i strzała sprawiły, iż polarni Eskimosi odkryli teraz nowe możliwości: za pomocą kajaka można było polować na foki i morsy w krótkim okresie roku, gdy kra nie pokrywała wybrzeży. Na renifery i inne zwierzęta znacznie łatwiej było polować używając łuku i strzały, niż harpunu i lancy. Okresy głodu zostały zredukowane teraz do minimum. Badacze Eskimosów są dziś zgodni co do tego, że bez Eskimosów z Kanady, Eskimosi z kręgu polarnego albo wymarliby, albo zostaliby zdziesiątkowani. Wymiana kulturalna przyczyniła się więc w istotny sposób do utrzymania przy życiu plemienia. Wszystko to działo się wówczas, gdy czas mierzono jeszcze w zimach, nie zaś w godzinach. Od tego czasu zmieniły się problemy Inuit, ale w żadnym wypadku nie jest ich mniej.

W Quebec

Problem, z którym borykają się obecnie ludzie, żyjący na północy kanadyjskiej prowincji Quebec, nie ma co prawda znaczenia życiowego, ale mimo to przyprawia o wrzenie najspokojniejsze głowy. Po zwycięstwie wyborczym partii „Quebec Libre" coraz większego znaczenia nabiera język francuski. Rząd w Montrealu zamierza nawet zlikwidować poparcie finansowe dla szkół, w których język francuski nie jest używany jako język wykładowy. Jedynym wyjątkiem są szkoły, w których język angielski używany jest jako język ojczysty.

Eskimosi z północnej części Quebecu znaleźli się między młotem a kowadłem. Dotychczas w ich szkołach używało się angielskiego jako języka, w którym prowadzono naukę, ale ich językiem ojczystym jest język eskimoski. Teraz Montreal chce cofnąć finansowe subwencje, jeśli eskimoskie szkoły nie przestawią się na francuski. Od lat Inuit próbowali lepiej zrozumieć białych ludzi, nauczyli się ich języka po to, aby teraz dowiedzieć się, że ten język, którego się nauczyli, nie jest już obowiązujący.

Charlie Watt, przewodniczący stowarzyszenia pod nazwą „Northern Quebec Inuit Association" słusznie zauważa z westchnieniem:

— Kiedykolwiek rząd chciał czegoś na północy, kiedykolwiek chodziło np. o podpisanie dokumentu, śpieszono tu do nas jak na skrzydłach. Teraz jednak, gdy potrzebujemy ich pomocy i zrozumienia, nie znają nas i zachowują się tak, jakby nas w ogóle nie było.

Jednym z wielkich zadań ICC jest troska o rozwój szkolnictwa w języku eskimoskim. Otwarty niedawno uniwersytet Barrow na Alasce jest otwarty nie tylko dla studentów eskimoskich mających obywatelstwo amerykańskie. Serdecznie witani są tam także Inuit z Kanady i Grenlandii.

Wyższe wykształcenie stwarza liczne trudne problemy w krainie „ludzi". Nie chodzi o brak pieniędzy, ale dążenie do zdobycia wyższego wykształcenia jest w istocie jednoznaczne z opuszczeniem własnego ludu, z opuszczeniem własnych stron ojczystych i z „wżyciem się" w inną, obcą kulturę. Człowiek, który przezwycięża wszystkie pokusy, odkrywa najpóźniej w drodze powrotnej do swojego ludu, że lata spędzone na południu od własnych stron ojczystych nie minęły bez śladu i że wśród swoich czuje się obco.

Czyja nafta i gaz?

W dniu, w którym na Arktyce znaleziono ropę naftową i gaz ziemny, zaistniał jednocześnie nowy punkt sporny między „Inuit" a rządami na południu. Kto jest właścicielem krainy Eskimosów? Czy są nimi pierwotni mieszkańcy, a więc Inuit i Indianie, czy są nimi ludzie, którzy dopiero przed kilkoma stuleciami przybyli tu z Europy?

W roku 1971 ratyfikowany został „Alaska Native Claims Settlement Act". Był on rezultatem rokowań na temat praw do ziemi między Eskimosami i Indianami z Alaski, a amerykańskim rządem federalnym. Akt ten przyznał tubylcom, do których zaliczają się „ludzie" teren wielkości 40 mln akrów. Przyznano im odszkodowanie za różne tereny w kwocie 465 mln dolarów. Poza tym akt zawiera postanowienia, w myśl których Eskimosi mają udział w zyskach z podatków płaconych przez koncerny wydobywające różne bogactwa naturalne. Ponieważ konstytucja amerykańska jest bardzo elastyczna, Eskimosi z Alaski mają dobrze funkcjonujące samorządy, które administrują zyskami pieniężnymi.

Inna jest jednak postawa „Inuit" z Kanady i Grenlandii. Eskimosi są tutaj bardziej zainteresowani porozumieniami, które potwierdzą ich własność, nie chcą zaś porozumień, opartych na sprzedawaniu tej własności państwu czy koncernom.

— Cóż znaczy 100 mln dolarów? — pytają Eskimosi z północnego Quebecu.

Podobnie zareagowali Eskimosi mieszkający nad rzeką Mackenzie, gdy okazało się, że w delcie tej rzeki odryte zostały wielkie pokłady gazu ziemnego i że w poprzek przez ich krainę miałby zostać przeciągnięty rurociąg gazowy.

— Musimy odrzucić możliwość sprzedaży kraju w zamian za rekompensatę — postanowili mieszkańcy tego rejonu.

Również na największej wyspie świata — Grenlandii, istnieją podobne problemy. Dotychczas rząd w Kopenhadze przydziela prawa eksploatacji różnym towarzystwom naftowym. Sami Grenlandczycy nie są zorientowani, a na pewno nikt nie pyta ich o zdanie. Jednak również tu zarysowuje się przełom. Od przyszłego roku Grenlandczycy — w ramach większej autonomii — będą stopniowo przejmowali administrację własnego kraju. Co prawda nadal będą musieli dzielić prawa do ziemi z państwem duńskim, jednakże będą mogli mieć bez porównania większy wpływ na przydzielanie uprawnień do eksploatacji,

Można zadać pytanie, dlaczego Inuit tak bronią się przed rurociągami naftowymi i gazowymi, dlaczego przeciwstawiają się postępowi? Porównanie z chłopami pod naszą szerokością geograficzną, zawodzi. Chłop, który sprzedaje ziemię, może na pewno znaleźć zajęcie, które zagwarantuje mu regularny dochód. Cóż jednak ma począć Eskimos, jeśli drogi polowania na renifery zostały zagrodzone przez rurociągi, jeśli przeciek na polu naftowym u wybrzeży morskich truje wieloryby i morsy? Przeciek w rurociągu prowadzącym przez ląd, byłby równy katastrofie. Już budowa rurociągu mogłaby mieć straszne skutki. Natura na obszarach wiecznego mrozu jest niezwykle wrażliwa. Ponieważ ziemia jest permanentnie zamarznięta tylko na głębokości kilku centymetrów pod powierzchnią ślady buldożerów i maszyn budowlanych pozostają przez całe dziesięciolecia widoczne jak otwarte rany. Dzikie zwierzęta znikają wybierając sobie inne drogi. Z czego więc Eskimosi mają żyć? Czy z konserw, przysyłanych z południa?

Białe rządy poczyniły w ostatnich latach nowe doświadczenia. Odkryły, że na dalekiej północy definitywnie skończyła się era kamienia łupanego i z ludźmi, którzy tam mieszkają, nie można już robić co się chce. To, co najbardziej zaskakuje białe rządy, to fakt, że są ludzie, którzy wolą utrzymać własną kulturę, niż sprzedać ją za miliony dolarów.

lewym okiem

DZIEJE WOJEWÓDZTWA

Dzieło zatytułowane jest skromnie — „Szkice z dziejów Sieradzkiego", ale stanowi chyba optymalną summę wiedzy o przeszłości tej ziemi, ktora tak niedawno otrzymała rangę województwa, a przez lata całe była skromnym powiatem. W Sieradzkiem nie zapomniano jednak o dumnej i wielkiej przeszłości tej ziemi, o chlubnych tradycjach, dziejach i pradziejach...

Anna Kufel-Dzierzgowska w szkicu „Pradzieje Sieradzkiego" zaczyna właściwie od epoki kamiennej pisząc: „Około 12.000 lat temu, w ostatnim stadium epoki lodowej, kiedy ziemie środkowej Polski pokrywała subarktyczna tundra, na nasze obszary przywędrowali pierwsi ludzie (...). Swoje obozowiska zakładali na wyniosłych wydmach położonych w pobliżu zbiorników wodnych. Ślady takiego obozowiska odkryto na terenie Zduńskiej Woli...".

Ale było ich więcej i wciąż są znajdowane wyroby mezolityczne w Godynicach, Rzechcie, Niechmirowie... Na tamie w Sieradzu znaleziono toporek rogowy, wyrzucony przez Wartę, datowany również na mezolit.

Ryszard Rosin pisze natomiast, że Sieradzkie zajmowało w zjednoczonym przez Łokietka państwie położenie centralne, a w latach 1245—1479 odbyło się w Sieradzu dwanaście zjazdów, w nowszych opracowaniach zwanych również sejmami. Nie były to żadne prowincjonalne, mało znaczące sejmiki — na jednym z nich podjeto decyzję wybrania po śmierci Jagiełły królem jego najstarszego syna oraz zawarto porozumienie z panami litewskimi... Na innym wybrano królem Kazimierza Jagiellończyka.

Były to zatem sejmy mające ważne i decydujące znaczenie dla losów i polityki całego państwa.

Dziś Sieradz z dumą przypomina epokę swojej historycznej świetności, dziś z dziejów owych wyprowadza się ambitne zamierzenia dla współczesnych losów i planów tej ziemi. Jest to droga od mezolitycznego toporka z rogu do nowoczesnych hal fabrycznych, nowych bloków, nowej struktury ekonomicznej i ambitnych planów.

Redaktor naukowy tego cennego dzieła — Józef Śmiałowski — przypomina przemiany gospodarcze w rolnictwie, rozwój miast i przemysłu w latach zaborów. Bohdan Baranowski omawia stosunki gospodarcze i społeczne w wieku XVII i XVIII, a Jerzy Włodarczyk dzieje polityczne Sieradzkiego od połowy XVI wieku do upadku Rzeczypospolitej.

I tak od epoki kamiennej poprzez wieki prowadzą nas autorzy tomu do lat współczesnych, do przemian politycznych, społecznych i gospodarczych już w okresie Polski Ludowej. Na zawartość i wartość owego tomu studiów składają się prace blisko trzydziestu naukowców, a rzecz została wydana staraniem Urzędu Wojewódzkiego w Sieradzu i Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego.

Znając ambicje i inicjatywę władz województwa, można wierzyć, że następny, podobny tom studiów firmować będzie już Oddział Sieradzki PTH.

Wojewoda sieradzki, Tadeusz Barczyk, pisze we wstępie: „Oddając tę książkę Czytelnikom, żywimy nadzieję, że zawarty w niej materiał, ukazujący skalę przemian, jakie przechodziło i przechodzi nasze społeczeństwo, stanie się czynnikiem pobudzającym do wzmożonej aktywności zawodowej i społecznej w interesie własnej, lokalnej społeczności i w interesie socjalistycznej Ojczyzny".

Podpisując się pod tymi słowami z całym przekonaniem, polecam ów tom szkiców Czytelnikom „Odgłosów".

WIDOK

zdarzenia i zwierzenia

MALUCHY NA START!

Wielkie gwiazdy i gwiazdorzy światowego kina nie mijają bez śladu. Zanim skończy się ich pochód przez ekrany świata — już wchodzą na te ekrany ich synowie i córki, a ostatnio także wnuczki. Widocznie talent aktorski jest dziedziczny i tylko złośliwiec może twierdzić, że to nie talent, tylko chody są dziedziczne.

Córka i wnuczka Chaplina, syn Johna Wayne i tuzin innych młodych ludzi nie potrzebują latami maszyć o roli, jak miliony czytelniczek magazynów filmowych całego świata. To jest to samo zjawisko co z naszą służbą zdrowia: ma pierwszeństwo w nabyciu leków, a przecież nie wiadomo, czy także pierwszeństwo w chorowaniu. Jak się służba zdrowia rozrośnie, to sama da radę skonsumować wszystkie pancreatiny i nawet cały zapas najbardziej ostatnio poszukiwanego na rynku, rzadkiego specyfiku: wapna.

Zresztą nie tylko artyści z Hollywood mają artystyczne potomstwo. Już w kwietniu zapowiedział „Przekrój" wielkie wydarzenie na czerwiec: nadanie przez radio piosenki skomponowanej przez Skaldów, a wykonanej przez ich siedmioro dzieci. Skoro radio nadaje tysiące piosenek, a ta jedna godna jest tak zaszczytnej zapowiedzi, to musi to być szlagier na miarę kosmiczną. Podtrzymujemy więc reklamę: muzyka Andrzeja Zielińskiego, słowa Wincentego Fabera, śpiewają Skaldziątka. Sława zespołu nie zginie, maluchy przejmują pałeczkę.

Jakoś nie słychać jeszcze o zdobywaniu rekordów przez dzieci i wnuki słynnych sportowców. Wielu z nich, co prawda, nie ma czasu na działalność prorekreacyjną, ale co z pozostałymi? Dlaczego nie biega żaden młody Chromik, nie słychać o Zatopkach — juniorach, ani o meczu ligowym w wykonaniu dzieci naszej reprezentacji?

Co do sportu zachowałem sobie w archiwum fragment wywiadu, udzielonego przed rokiem dziennikarce „Kultury" przez Stanisława Królaka. Zachowałem po to, żeby się nie zagalopować w bezkrytycznym entuzjazmie do wyczynów w takiej czy innej dyscyplinie sportowej. Nasz niegdysiejszy rekordzista i ulubieniec powiedział tak: „W 58 roku na etapie do Poznania uciekło (w czasie Wyścigu Pokoju — przyp. mój) trzech Rosjan i trzech Niemców. My ich gonimy, ja daję mocną zmianę, a jeden (Rosjanin czy Niemiec — nieważne) mi przeszkadza. Hamuje, wybija z rytmu, zajeżdża. Więc przystopowałem tak, że wywalił się. Obie gumy mu spadły. Jego wóz techniczny pojechał do przodu, więc nasz musiał mu, niestety, udzielić pomocy. Może nie mieli innego, dali mu takie koło, że tryb nie pasował do łańcucha. Mówię pani — musiał szybciej kręcić, a wolniej jechać".

W jednym z krajów południowo - amerykańskich, gdy przyjechała na mecz drużyna z sąsiedniego kraju, tłumy kibiców z bębnami i trąbami hałasowały całą noc pod hotelem, żeby przeciwnicy nie mogli się wyspać, żeby nazajutrz przegrali mecz. Kiedy to opowiedziałem w gronie naszych zagorzałych kibiców piłkarskich, śmieli się tylko i uznali rzecz za niewinny kawał, zrozumiały wobec chęci wygrania meczu. Po przeczytaniu rewelacji Królaka jakoś mi się nie chciało śmiać. Nie ma się tej żyłki sportowej...

ĆWIEK

propozycje

W FESTIWALOWYM STYLU

Festiwal piosenki radzieckiej w Zielonej Górze mamy już za sobą. Widomy to znak, że zbliża się lato, a z nim cała seria festiwali. Powinniśmy byli już przyzwyczaić się do tego. W końcu Polacy nie gorsi od innych i też własne festiwale mają. Festiwal, w końcu rzecz przyjemna, można popatrzeć, posłuchać, pobawić się. A jak kto się dobrze pobawi, odpocznie, sił nabierze, to i lepiej pracuje. Powinniśmy raczej chwalić festiwale i zabiegać o to, aby było ich więcej. A my się na festiwale boczymy. Taki na przykład Jerzy Urban w „Szpilkach" wyśmiewa łódzką inicjatywę organizowania festiwali przedszkolaków. A dlaczego nie? Niech się do festiwalowego życia młodzież przyzwyczaja od najmłodszych. Ja bym nawet zaproponował festiwal pensjonariuszy żłobków oraz domów społecznej opieki, gdzie spokojnej starości dożywają ludzie samotni.

Co jest istotą festiwali? Rywalizacja w tym, co mamy najlepszego. Zbierają się na przykład w jednym miejscu piosenkarze i śpiewają sobie a publiczności. Publiczność i jury słuchają tego, opiniują i skutku praktycznego z tego faktu nie ma żadnego. Tyle tylko, że paru publicystów zarobi trochę pieniędzy pisząc, że wszystko było denne lub, że było genialne. Innych ocen nie zwykliśmy używać.

Nie miałbym w gruncie rzeczy nic przeciwko festiwalom, gdyby festiwalowy styl nie przenikał do innych dziedzin życia. Niech sobie w Sopocie, Opolu i gdzie indziej spotykają się piosenkarze, niech sobie rywalizują teatry, niech sobie młodzież bawi się, pod warunkiem, że wyjdzie z tego coś dobrego dla kultury, dla rozrywki, dla nas. Natomiast mam coś przeciw przenoszeniu estradowych wzorów do innych dziedzin życia. Rozumiem, że konferansjerowi na estradzie nie wypada powiedzieć, że ta pani, która zaraz będzie śpiewać, to w ogóle nie powinna tego robić, bo ani głosu, ani talentu... Zapowiada więc genialną śpiewaczkę, łżąc bezczelnie w oczy całej publiczności, która i tak wie, co o tym sądzić. Gorzej jednak, kiedy dyrektor fabryki przybiera pozę konferansjera z festiwalowej estrady i łże w żywe oczy opinii publicznej, twierdząc, że jego fabryka osiągnęła szczyty techniki, a te buble, które leżą w magazynach, to wina handlu, który nie umie nimi handlować. I dyrektor roztacza czar, opowiadając o tym, co to oni nie będą robili za kilka lat.

Rozumiem, że konferansjer wmawia publiczności, że za chwilę ukaże się cud dziewica, mając pełną świadomość, że na estradę wyjdzie ani cud, ani dziewica, ani w ogóle. Na estradzie panuje półmrok i ci z ostatnich rzędów i tak nic nie widzą, więc uwierzą. Nie rozumiem jednak Jana Ciszewskiego, który opowiada nam swoimi słowami akurat nie to, co dzieje się na boisku w Argentynie i nie to, co my widzimy na ekranie naszych telewizorów. Wprawdzie Jan Ciszewski jest daleko i nikt nie rzuci w niego zgniłym pomidorem, ale co ludziom napsuje krwi, to napsuje.

Powiada na przykład Jan Ciszewski, że Kazimierz Deyna ładnie podał. Istotnie pan Kazimierz kopnął piłkę, ale nie do polskiego zawodnika tylko wręcz przeciwnie. Opowiada nam Jan Ciszewski jak to się nasi chłopcy napracowali, a my widzimy, że oni grają na stojąco, zupełnie jak na meczu w Łodzi czy w Warszawie, kiedy już nie ma się po co martwić o ligowe punkty. Siedzi więc kibic przed telewizorem i się wścieka, bo nikt nie lubi, kiedy robi się z niego przysłowiowego balona.

Tuż przed Mundialem'78 telewizja przypomniała film zrobiony po Monachium'74 „Polska gola!". Komentujący ten film Jacek Fedorowicz kilka razy prosił Jana Ciszewskiego: — Jasiu nie wyprzedzaj! Ale Jan Ciszewski rady nie posłuchał i nadal przekazuje nam sprawozdania z meczy, które rozgrywają się w jego marzeniach. Rozumiem, że on bardzo by chciał, aby Kazmierz Deyna podał celnie, albo żeby Andrzej Szarmach strzelił gola. Jemu już się wydaje, że nasze orły sięgnęły szczytów, ale rzeczywistość szklanego ekranu, wiernie kopiując rzeczywistość argentyńskiego boiska rozwiewa te złudzenia. I Jan Ciszewski opowiada nam nie o tym, co się dzieje na boisku.

Jak się ten Mundial'78 dla nas zakończy, to zabaczymy, ale pewne wnioski można już teraz z tego wyciągnąć. Popierwsze — bardzo proszę, aby nie przekonywano, że gra w piłkę ma coś wspólnego z festiwalem piosenki i chodzi o to — jak przy śpiewaniu piosenki — żeby było ładnie. W piłce nożnej — jak słyszałem — chodzi o wbijanie goli, a nie o ładne granie, więc nic mnie nie obchodzi, czy Polacy z Argentyną grali ładnie czy nie, ale jaki był wynik tego spotkania.

Po drugie — bardzo proszę, aby w telewizji zastanowiono się, czy sprawozdania z meczu powinny odbywać się na zasadzie opowiadania swoimi słowami tego, co dzieje się na boisku i co telewidz sam widzi. Chyba, że fonia jest dla ślepych, a wizja dla głuchych. Niektórzy następcy Jana Ciszewskiego robią to trochę inaczej, starając się unikać błędów mistrza. A Jan Ciszewski ma przecież ogromną wiedzę o piłce nożnej i mógłby pomóc wielu kibicom w zrozumieniu tego, co dzieje się na boisku, gdyby zechciał zrezygnować z opowiadania swoich marzeń. Być może w Argentynie miał złego doradcę, który nakłonił go, aby chwalił mało skuteczną grę naszych piłkarzy i przekonał, że Mundial'78 to coś na kształt festiwalu w Opolu, a przecież jest to zupełnie coś innego.

MARCIN RODAK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH
WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Kłusem, pisarstwo, kłusem –
Ale czy autobusem?

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

RAMA

Rama — to nazwa dostrzożonego przez Ziemian w 2080 roku w przestrzeni międzygwiezdnej obiektu, aby go powalca. Do tego obiektu, aby go poznać, rusza wyprawa. Jej losy opisał w książce „Spotkanie z Ramą" Arthur C. Clarke. Książkę czyta się dużym zainteresowaniem i — jak się to mówi — z zapartym tchem.

Arthur C. Clarke jest z wykształcenia matematykiem i fizykiem, jest członkiem Królewskiego Towarzystwa Astronautycznego i był prezesem Brytyjskiego Towarzystwa Międzyplanetarnego. Te tytuły wprawdzie nie mogą zastąpić kwalifikacji pisarskich, ale A. C. Clarke je posiada. Mogą więc tylko gwarantować, że autor nie będzie wymyślał niestworzonych rzeczy dla zadziwienia czytelnika, ale stara się pokazać mu ludzi w zetknięciu z nowymi, naukowo możliwymi do przewidzenia, okolicznościami i warunkami. W powieściach naukowo-fantastycznych jest to walor największy.

Polski czytelnik miał już okazję poznać twórczość A. C. Clarke'a z kilku przekładów: „Zdobywamy Księżyc" (1957), „Piaski Marsa" (1958), „Tajemnice koralowej rafy" (1962), „Wyspy na niebie" (1963) i „Kowboje Oceanu" (1972).

Arthur, C. Clarke — „Spotkanie z Ramą", PAX, Warszawa 1978, str. 206, cena zł 40,—

CZARNY ANIOŁ

Mika Walteri, powieściopisarz fiński, cieszący się u nas sporą popularnością, dzięki takim książkom, jak „Egipcjanin Sinuhe" czy „Karin, córka Monsa", za tło swojej powieści „Czarny anioł" obrał moment upadku cesarstwa bizantyjskiego. Stało się to dopiero w połowie wieku XV Bizancjum — wschodnia część imperium rzymskiego — przetrwało bowiem o całe tysiąc lat zachodnią, łacińską część cesarstwa rzymskiego. Kreśląc upadek Bizancjum, które odtąd miało wejść w skład potężnego państwa tureckiego, Mika Waltari wiernie odmalowuje obraz epoki, bezstronnie i obiektywnie charakteryzuje Bizantyjczyków, Turków oraz przybyszów z zachodniej Europy. Nowa, historyczna powieść fińskiego pisarza powinna, tak jak w przypadku „Egipcjanina Sinuhe", przysporzyć mu duże grono czytelników. Sensacyjny niemal wątek, historia miłości głównego bohatera — Johannesa Angelosa, plastyczny, żywy obraz dramatycznych wydarzeń, realia historyczne i obyczajowe — to główne zalety prozy Miki Waltari.

Mika Waltari „Czarny anioł", przełożył Z. Łanowski, Iskry, W-wa 1978, str. 369, cena zł 60.—

MAGAZYN kulturalny Nr14

SYMPATIE I ANTYPATIE (III)

JERZY WALDORFF

Rys. Grażyna Skonieczna.

Naczelnik Urzędu Dzielnicowego Łódź-Bałuty, Zbigniew Błaszczak, dokonuje symbolicznego otwarcia Centrum Kultury Bałut (Rynek Staromiejski, 28 maja 1978).

POETYCKA SPÓŁDZIELNIA PRACY „RADOSNA TWÓRCZOŚĆ" świadczy usługi dla ludności

Autorka

Z niektórych naszych członków jesteśmy coraz bardziej dumni. I tak poeta-astronom Jerzy M. Mielczarek donosi nam, że zdał na dobrze dwa egzaminy: z fizyki i astronomii, a w międzyczasie napisał dwa wiersze. Brawo! Oby równe powodzenie towarzyszyło uczniowskim i studenckim bojom innych naszych kandydatów, których utwory przedstawimy niebawem.

Postanowiliśmy przychylić się do prośby J. M. Mielczarka „o powtórne rozpatrzenie sprawy warunkowego przyjęcia go w poczet członków PSP", a także uznawszy jego argumenty — zaszeregować go do grupy pełnoprawnych członków. Pod jednym wszakże warunkiem: że na każdym miejscu i o każdej porze (a zwłaszcza w obcym nam organie „Szpilek", Hyde-Parku) będzie sławił i popularyzował zgodne z Duchem Czasu idee PSP.

Dzisiaj przyjmujemy do PSP p. Danutę Maks de domo Wójcik. Pani Danuta Maks urodziła się przed II wojną światową ale jej ocena kapitalistycznych stosunków przedwojennej burżuazyjnej Polski, stawia ją w rzędzie najbardziej postępowych członków naszej Spółdzielni Pracy. Pani Danuta Maks wspomina w życiorysie Lwów, w którym zaczęła się jej — jak pisze — „poważniejsza edukacja zakrapiana łzami".

„Do dziś z odrazą wspominam — stwierdza dalej p. Maks — to jedyne Państwowe Gimnazjum Żeńskie we Lwowie, gdzie stopnie stawiano za rangę i stanowisko tatusiów, a nie za posiadane wiadomości. Koleżanki w większości były córkami oficerów, takich jak ja była nieliczna garstka i choćbyśmy stanęły na uszach, to o piątkach nie było co marzyć"...

Wiersze pani Maks „były deklamowane na akademiach i w klubie osiedlowym". „Wiem — pisze autorka — że na ludziach robią wrażenie". Nam natomiast spodobały się dość „Obrazki z Indii". Dwoma z nich pani Danuta Maks zdobyła sobie miejsce w Poetyckiej Spółdzielni Pracy.

PREZES

RYKSZA

Upał gęstą śliną
osiada na ustach,
źródła słone
zalewają oczy,
wolno, coraz wolniej
kręcą się koła
z każdym obrotem
coraz cięższe
są brzuchy bogaczy.
Ostatni kurs
i koń dwunogi
pod kołdrą nocy
wyprostował zbolałe
swe ciało.

* * *

Po Nagpurze chodzą święte krowy
o smutnych oczach,
Po Nagpurze chodzą matki,
żebrzące o krople miłosierdzia,
ulice krzyczą bogactwem i nędzą,
Nieruchome posążki bóstw
patrzą zagadkowym wzrokiem
w przyszłość.

DANUTA MAKS

6 czerwca br. w Ministerstwie Kultury i Sztuki wręczono akty nominacyjne rektorom wyższych uczelni artystycznych na nową kadencję (1 października 1978 — 30 września 1981), m. in. **prof. Zenonowi Płoszajowi** (PWSM Łódź), **doc. Wiesławowi Garbolińskiemu** (PWSSP Łódź) i **doc. Stanisławowi Kuszewskiemu** (PWSFTviT w Łodzi).

*

11 czerwca obradował Okręgowy Zjazd Sprawozdawczo-Wyborczy Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Łodzi. Wybrano nowy zarząd z prezesem Izabelą Nagórską na czele. W styczniu 1979 roku SBP obchodzić będzie swoje 60-lecie. Zrzesza ono aktualnie 545 bibliotekarzy reprezentujących biblioteki łódzkie różnego typu.

*

Znane są już wyniki eliminacji I stopnia ogłoszonego przez Ligę Kobiet konkursu czytelniczego pod hasłem „Istota współczesnego patriotyzmu". Na eliminacjach centralnych 16 czerwca w Warszawie nasze województwo reprezentował **Zbigniew Bobrowski**, związany z **VI Biblioteką Rejonową Łódź-Bałuty**. Sześć bibliotekarek łódzkich, które zgłosiły największą liczbę uczestników konkursu, otrzymało nagrody.

*

Zasługą Pracowni Konserwacji Dzieł Sztuki Łódzkich PKZ, kierowanej przez Jerzego Matwija, było ustalenie autora malowideł o dużej wartości artystycznej (zwłaszcza chodzi tu o obrazy alegoryczne symbolizujące sztukę, muzykę i różne dziedziny przemysłu na sufitowych plafonach) znajdujących się w dawnym Pałacu Scheiblera przy placu Zwycięstwa. W trakcie prac konserwatorskich odkryto sygnaturę twórcy malowideł. Jest nim August Ribault, XIX-wieczny malarz francuski, specjalizujący się w dekoracji wnętrz pałacowych, uczeń Lafitte'a.

*

Piękny koncert narodowych pieśni i tańców dali z okazji inauguracji akcji wypoczynku młodzieży „Lato 78" studenci zagranicznych uczący się naszego języka w Studium Języka Polskiego Uniwersytetu Łódzkiego.

*

Studenckie wydanie „Cudu mniemanego czyli Krakowiaków i górali" Wojciecha Bogusławskiego przedstawili na scenie Teatru Wielkiego słuchacze Wydziału Wokalno-Aktorskiego łódzkiej PWSM. Wybór sztuki, jak podkreślali recenzenci, nie najszczęśliwszy, słabo też z umiejętnościami aktorskimi. Nie szły one w parze z niejednokrotnie wysokimi predyspozycjami wokalnymi. „Trudno nazwać widowisko inaczej, niż szkolnym" — podsumowała recenzentka „Dziennika Popularnego".

*

Po raz pierwszy w Łodzi przeprowadzono interesującą akcję „otwartej pracowni". Miłośnicy malarstwa mogli w Galerii Bałuckiej oglądać prace, a także obserwować proces twórczy i podyskutować ze znanym łódzkim autorem **Henrykiem Płóciennikiem**. Artysta stwierdził że wnioski z tej akcji przydadzą mu się w jego dalszej pracy malarskiej". Jesteśmy tego samego zdania. Pomysł na pewno godny kontynuacji.

*

Niezwykłe spotkanie autorskie z Napoleonem Mitraszewskim, absolwentem Uniwersytetu Łódzkiego, pedagogiem i ociemniałym pisarzem autorem kilku książek wydanych w „Ossolineum" i tomu opowiadań (w druku w „Iskrach"), zorganizował 13 czerwca Polski Związek Niewidomych w Łodzi.

*

„Nowe, ale nużące" — tak zatytułował swoją recenzję **Bogdan M. Jankowski**, pisząc w **„TRYBUNIE LUDU"** (nr 135) o łódzkiej premierze **„Julietty" B. Martinu** w Teatrze Wielkim. Krytyk stwierdza m. in. że wykonawcom nie starczyło warsztatu na opracowanie partii mówionych, w których są **„nienaturalni, nieporadni i niezamierzenie śmieszni"**. Dla kontrastu zacytujmy wypowiedź jednego z łódzkich recenzentów (na ten sam temat): „za to wykonanie — powtarzam — zdało mi się bardzo dobre (...) muzyczna i aktorska dyscyplinę wykazał właściwie cały bez wyjątku zespół z powodzeniem — co uprzednio raczej się w Teatrze Wielkim nie zdarzało — przechodząc od śpiewu do scen mówionych"...

Obgryzałem właśnie pióro, głowiąc się nad zakończeniem humoreski, gdy na biurku zaterkotał telefon.

— Tu kolektura Państwowej Loterii Pieniężnej „Złota podkowa". Zawiadamiamy uprzejmie, że na los pański padła główna wygrana w wysokości dwustu tysięcy. Nasza kolektura pozwoliła sobie fakt ten podać do wiadomości publicznej. Pańskie nazwisko, tak popularne w Łodzi...

Upuściłem słuchawkę, która z głuchym łoskotem opadła na taflę biurka i zamarłem w bezruchu. Po chwili odzyskałem przytomność — i zacząłem stawiać na papierze realne cyfry.

— Mam ćwiartkę losu. Co za kołtun ze mnie! Zaprzepaścić taką szansę! Sam kierownik kolektury doradzał mi wziąć połówkę. Trudno... W takim razie główna wygrana redukuje się do pięćdziesięciu patyków...

Znowu telefon. Tym razem głos statecznej matrony.

— W imieniu Komitetu Budowy Pomnika Kapłanki Ogniska Domowego mam zaszczyt złożyć gorące życzenia w związku z wygraną i prosić znanego ze swej szczodrości pisarza o asygnowanie odpowiedniej sumy na rzecz naszego wiekopomnego dzieła...

W tej chwili słuchawka ześliznęła się na widełki, albowiem w przedpokoju rozległ się trzykrotny, przeraźliwy dzwonek.

— Swoi! — pomyślałem i nie byłem w błędzie. Po kilku sekundach leżałem w objęciach dwóch kolegów.

HORACY SAFRIN

GŁÓWNA WYGRANA

— Ech, ty, niepoprawny szczęściarzu! — rozpoczął pierwszy.

— Mieszkanko niczego sobie — zawtórował drugi. Mebelki retro — a teraz główna wygrana!

— Co tu dużo gadać? Zawsze byłeś swój chłop i miałeś zrozumienie dla braci po piórze. Najlepiej prosto z mostu. Mam talon na samochód, więc nie wątpię, że pożyczysz mi jakieś marne piętnaście tysięcy.

— A moja szanowna połowica ubrdała sobie Paryż. Wycieczka orbisowska, pieniążki z góry. Nie opuścisz mnie chyba w tej ciężkiej sytuacji?

Nie zdążył zakończyć swej przyjacielskiej supliki, gdy ktoś gwałtownie zapukał do drzwi wejściowych. Do przedpokoju wtłoczyła się grupa młodzieńców. Na jej czoło wysunął się mówca — właściciel wypielęgnowanej bródki:

— Mistrzu! Zawsze uchodził pan za przyjaciela narybku literackiego i awangardowej poezji. Obecnie, gdy los obdarzył pana zasłużoną fortuną, żywimy niepłonną nadzieję, że zechce pan dofinansować nasz almanach, w którym zaprezentują się najbardziej obiecujące talenty...

Byłem wzięty w dwa ognie. Nagle w głowie zaświtała mi myśl: tylko ucieczka może wybawić mnie z opresji!

Zbiegłem po schodach, wypadłem na ulicę... Lecz cóż to? Na dworze szarzeje?

Przez okno sączy się blade światełko. Obudziłem się, przecieram oczy. Podchodzę do biurka, biorę do rąk urzędowe pisemko: „Zaległość wraz z karami za zwłokę należy uiścić w nieprzekraczalnym terminie...".

Bogu dzięki, zaczyna się normalny dzień!

ILUZJA RAZ JESZCZE

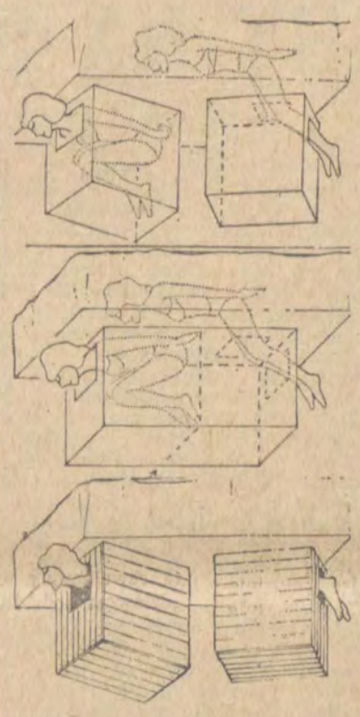

W dziesiątym numerze „Magazynu", poświęconym iluzji, obiecaliśmy Czytelnikom opis sztuki magicznej polegającej na przepiłowaniu na pół kobiety w skrzyni. Iluzję tę wykonywał m. in. Andrzej ŁAPICKI podczas widowiska cyrkowego „Artyści dzieciom" w 1976 roku. Autorem opisu jest Jerzy MECWALDOWSKI, rysunków — Jan KARMOWSKI.

Do skrzyni z otworami w dwóch przeciwległych bokach wchodzi partnerka iluzjonisty. Przez jeden otwór wysuwa nogi, a przez drugi głowę. Iluzjonista piłą przecina skrzynię na pół. Zsuwa obie połowy skrzyni ze sobą i otwiera ją. Partnerka wychodzi cała i zdrowa...

Tajemnicę tricku stanowią: skrzynia, postument i dwie partnerki iluzjonisty. Jedna z nich ukryta jest w postumencie, który posiada w górnej części otwór zamaskowany tkaniną. Skrzynia posiada podobny otwór w dnie. Ustawia się ją na postumencie w taki sposób, aby oba otwory pokryły się. Kiedy druga asystentka iluzjonisty na oczach widzów wchodzi do skrzyni i przez jej boczny otwór wysuwa głowę, pierwsza asystentka, ukryta w postumencie, wysuwa obie nogi przez otwory w postumencie i skrzyni tak, aby trafiły w boczny otwór skrzyni i ukazały się na zewnątrz.

Teraz można przystąpić do przecinania skrzyni bez obawy zranienia partnerki, która skulona w skrzyni jest zupełnie bezpieczna. Po przepiłowaniu skrzyni (w miejscu, gdzie wskazuje strzałka i linia przerywana) obie połowy zostają odsunięte od siebie, tak, aby od strony przeciętej były skierowane w stronę kulis (dzięki temu ich wnętrze nie będzie widoczne). Obie asystentki zostają w tych samych pozycjach. Na zakończenie obie połowy skrzyni zostają dosunięte do siebie. Na dany znak przez iluzjonistę asystentka ukryta w postumencie chowa nogi, a znajdująca się w skrzyni wychodzi z niej...

Efekt tej „dużej iluzji" jest zaskakujący, ale tajemnica i sposób wykonania są bardzo proste. Nie wymaga się od wykonawców żadnych „nadprzyrodzonych zdolności"! Ot, nieco wysiłku fizycznego (przy piłowaniu...) i trochę większego finansowego — na rekwizyty...

Od dziś co miesiąc na łamach „MAGAZYNU" gościć będzie Donosiciel i jego Horoskop (bo czymże jeśli nie donosem z najbliższej przyszłości są horoskopy...). Starajmy się nie zawieść zaufania Donosiciela i robić wszystko, aby jego przepowiednie, wróżby i rady spełniły się...

MAGAZYNIER

KOZIOROŻEC. Uważaj na zdrowie! Cena najczęściej używanego przez ciebie leku uległa znacznej podwyżce!

WODNIK. Jeśli jesteś przypadkiem muzykiem w łódzkiej orkiestrze Polskiego Radia i Tv, czekają cię przygotowania przed wyjazdem do Kołobrzegu. Nie zabieraj rodziny z uwagi na liczne kontakty!

RYBY. Smacznego! Coraz częściej spożywasz symbole swego znaku, ale i do tego można się przyzwyczaić. Szczęśliwy wtorek — wypłata, kłopoty w środę — powrót do domu.

BARAN. Sam wiesz, co powinieneś wyznać bliskiej ci osobie, aby osiągnąć cel.

HOROSKOP

BYK. Nie sądź, że jesteś wyrocznią. Uważasz pierwszy longplay grupy „Happy End" pt. „Jak się masz, kochanie" za polską płytę roku...? Dobrze. Ale inni też mają prawo do własnego zdania. Może to oni mają rację?

BLIŹNIĘTA. Masz pomyślny układ gwiazd: wszystkie „gwiazdy" przewidziane w twoim scenariuszu mogłyby przyjechać na realizację programu. Niestety, realizacja ta będzie niemożliwa. Szczególnie w łódzkim ośrodku TvP.

RAK. Festiwal opolski jest w tym roku festiwalem debiutów i dlatego odbędzie się bez twojego udziału. Ciesz się jednak. Inni przez lata pozostają debiutantami.

LEW. Uważaj w podróży: po kolejnej zmianie w rozkładzie jazdy PKP znów trudniej ustalić, ile spóźnienia mają poszczególne pociągi... Pamiętaj też: (piąty) as w rękawie!

PANNA. Panny samotne poznają kogoś odpowiedniego. Oczywiście, tylko za pośrednictwem Biura Matrymonialnego „Swatka"!

WAGA. Autorowi „Metronomu" zamieszczonego w „Sztandarze Młodych" wszystkie Wagi mają prawo przekazać, by większą (u)wagę przykładał do słowa, bowiem to, co wydumał na temat Klubu Publicystów Estradowych nie ma nic wspólnego ze słuszną (od)wagą...

SKORPION. Już zbyt długo nie byłeś w restauracji Domu Środowisk Twórczych... Przypominam ci zatem, że jest to jedyny w kraju klubowy lokal gastronomiczny, w którym mimo członkostwa musisz wykupić bilet na dancing. Reszta przepowiedni — w gestii ajentki „Spatifu".

STRZELEC. Nie wierz horoskopom zamieszczonym w „Dzienniku Popularnym" i „Expressie Ilustrowanym"! **D.**

FELIKS RAJCZAK

Aforyzmy

*

Ci, co idą po trupach, dążą do doskonałości Gatunku?

*

Są medale, które zasłaniają człowieka.

*

Napisał powieść i kupił sobie pole do p o (d) p i s u.

*

Tak powiedział jeden z najinteligentniejszych ludzi w naszej parafii: „Nie jestem optymistą. Nie jestem pesymistą. Jestem organistą".

SATYRYCZNY PUNKT RECENZENCKI ajent: Ryszard Doroba

O OPERZE „JULIETTA" MARTINU W TEATRZE WIELKIM

Julietta to — jak wiemy —
wdzięk i piękne liczko...
Nie oparł się jej (słusznie!)
maestro Wodiczko.

O POEZJI FELIKSA RAJCZAKA.

„Ósmy świt" me uczucia
rozpalił jak pochodnia,
gdym go czytał ostatnio,
ósmego dnia tygodnia.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652-41 i 680-99. Warunki prenumeraty miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 1355. I-14.